

JAMES FOLLETT
LÓD

PROLOG

I.

Lód ruszył, Ruszył powoli. Jeden jard...
dwa jardy... dwadzieścia jardów...

Przez tydzień, gdy dwadzieścia tysięcy mil kwadratowych
deltę chyliło się ku morzu, rozlegał się przeciągły tęskny krzyk
białej pustyni. W ciągu trzydziestu godzin obiegał dokoła Ziemię
rozdzierający ryk wolności. Zwierzęta pasące się w pierwotnych
lasach karbońskich po drugiej stronie planety uniosły głowy
wietrząc badawczo, zaniepokojone grzmotem dobiegającym
z południa i odbijającym się od ponurego nieba. Lód ruszył.
I znów się zatrzymał. To wielkie osuwanie się do oceanu
powstrzymały góry

o podnóżach mocno tkwiących w uchwycie płaszczka Ziemi,
które wznosiły się ku pokrywie lodowej. Osłabionymi skałami
wstrząsały potężne deszcze, sondując ukryte doliny i pofałdo-
wania w poszukiwaniu słabości, lecz żadnej nie znalazły. Na
nieustępliwe góry natarła swoją nieubłaganą masą spękana
pokrywa lodowa, te jednak się nie poddały. Były o wiele starsze
od życia kipiącego na planecie, powstały w wirze tworzenia
świata. Nie dały się ruszyć.

Próbnę natarcie trwało czas jakiś, po czym osłabło. Wstrzą-
sy, które niczym powtarzające się uderzenia młota waliły
w planetę, zanikały, ustępując miejsca spokojowi.

Lód zamarł w ciszy.

Uwięzione góry, odchyłone na skutek bezlitosnego natarcia,
podjęły swoje odwieczne zadanie — zagradzania lodowi drogi
do morza.

II.

Lód był cierpliwy. Wierzchołki górskie, przebijające się przez
pokrywę lodową, pogrzebały w końcu nie ustające śnieżyce.

Po pięciu milionach lat lód był gotów rzucić wyzwanie góróm.

CZĘŚĆ PIERWSZA ZIMNA WOJNA

Rozdział pierwszy

1

W pokoju coś było.

Julia Hammond zbudziła się i leżała nieruchomo w ciemnościach, ledwie śmiejąc oddychać. Dziwny odgłos oraz własna wyobraźnia spowodowały, że lodowaty dreszcz strachu przeleciał jej po plecach.

Jej nerwy źle znosiły złowieszcze pojękiwanie antarktycznego wiatru za stalowymi żaluzjami i grubym szkłem okna. Lecz to nie wiatr — w pokoju coś było. Coś śpiewało: ledwo uchwytnie pobrzękiwanie, jakby odległy dźwięk kamertonu w pustym grobowcu.

Wodziła pełnymi łęku palcami po ścianie za łóżkiem, póki szczęśliwie nie odnalazły kontaktu. Nagła eksplozja jasności odeгнаła koszmary.

W pokoju niczego nie było.

Miała ochotę się roześmiać, ale światło nie przegnało dziwnego odgłosu. Słyszała go nadal — cichy i niski dźwięk. Postawiła stopy na podłodze, trzymając je z dala od łóżka, i przekonała się, że dziwny odgłos dochodzi od strony szafki, w której znajdowało się kilkaset preparatów z okazami planktonu. Górna szuflada była wysunięta. Dwie szklane płytki znalazły się w tym samym rowku. Wibrowały dotykając się. Przyłożyła do nich palec i pobrzękiwanie ustało. Rozległo się znowu, kiedy palec cofnęła. Ustawiła płytki na swoje miejsca, wsunęła szufladę i nasłuchiwała. Cichy, melodyjny brzęk ucichł, ale palce na wierzchu szafki rejestrowały niemą wibrację dochodzącą jakby spod podłogi.

Skarciła się za zbytnią fantazję i powróciła do łóżka.

Doznała takiej ulgi, że nie przyszło jej już do głowy zba-

dać przyczynę delikatnej wibracji. Zgasiła światło i wkrótce zasnęła.

Nie obudziła się.

Mimo że subtelny brzęk powrócił.

2

Okręt podwodny nie zameldował się w wyznaczonym czasie. Panowała cisza.

Cisza, którą odnotował komputer Honeywell. Przetrawiał tę ciszę przez kwadrans zakładając ewentualność ludzkiej słabości, po czym na ekranie przed oficerem pełniącym nocny dyżur pojawiła się zwięzła informacja:

JEDNOSTKA 7 MELD WYZNACZONY 23 + 00 NIE

OTRZYMANO CZAS OBECNY 23 + 15 KONIEC +

Frank Knight nadal pogrążony był w lekturze książki

w broszurowej okładce. Honeywell odczekał cierpliwie następne dwie minuty, a potem włączył się w nim przyciszony brzęczyk ostrzegawczy. Knight spojrzął na ekran umieszczony w środku konsoli. Gdzieś na świecie jakiś łącznościowiec z którejś ambasady spóźnił się z zameldowaniem. Częsty przypadek, szczególnie w okresie Gwiazdki, kiedy to przypada szczyt sezonu ambasadzkich recepcji. Knight powrócił do swojej książki.

Dwadzieścia po jedenastej brzęczyk rozległ się znowu.

Knight zaklął pod nosem — tego komputera niestety nie zaprogramowano tak, by przyjmował tylko większe odchylenia.

Kawa mu wystygła. Już miał ruszyć przez opustoszałe pomieszczenie łączności do automatu z gorącymi napojami, gdy zauważył, że informacja na ekranie przedłużyła się o trzy słowa:

REAKCJA STATUS PILNY

Knight zapomniał o automacie do kawy. Usiadł i sięgnął po niebieską księgę stałych zarządzeń służbowych. Przerzucał jej strony, póki nie znalazł instrukcji dotyczących Jednostki Siódmej. Jednostki Siódmej?

Zasepił się. Nigdy nie słyszał o Jednostce Siódmej, choć Honeywell podawał o niej informacje. Zgodnie z księgą Jednostka Siódma, cokolwiek to było, meldowała się raz na dwadzieś-

cia cztery godziny. Przynajmniej do tej pory.

Instrukcje były całkiem proste: Knight miał tylko połączyć się za pośrednictwem linii naziemnej z londyńskim numerem i zawiadomić, że ich drogocenna Jednostka Siódma straciła głos.

Podniósł słuchawkę i wykręcił dziewięciocyfrowy numer. Telefon odebrano natychmiast.

— Tak?

Knight, czując się dość głupio, powiedział: — Tu oficer służby nocnej z Dowództwa Łączności Rządowej w Cheltenham. Jednostka Siódma opóźniła się z meldowaniem o dwadzieścia pięć minut.

— Co za Jednostka Siódma? — zapytał głos z Londynu.

Knight poczuł się urażony. — Skąd mam wiedzieć? Mam tu napisane, żeby was zawiadomić.

Upewnił się, czy zadzwonił pod właściwy numer.

— Dobrze — odparł głos. — Sprawdzę u nas.

Połączenie zostało przerwane.

3

Organizacja pilnej akcji ratowania okrętu podwodnego i jego załogi.

Porucznik James Abbott z brytyjskiej marynarki wojennej wpatrywał się w telefon, który właśnie odsunął.

Co za Jednostka Siódma? I dlaczego DŁR, któremu podlega Dyplomatyczna Służba Radiowa, dzwoniło na numer admirała Howe'a? Dlaczego są w to wplątani, jeśli Jednostka Siódma to sprawa marynarki?

Abbott przewracał kartki książki raportów służby. Pod „Siódemką” niczego nie znalazł. Przerzucił dział alfa. Pod „U” też nic. Wtem jego wzrok przyciągnął kawałek papieru. Była to odręczna notatka przypięta do jednej z powielanych stron.

Napisana przez admirała Howe'a.

„Zawiadomić mnie niezwłocznie po otrzymaniu jakiegokolwiek wiadomości dotyczącej Jednostki Siódmej. Howe.”

Big Ben wybił pół do dwunastej.

„Zawiadomić mnie niezwłocznie...”

Abbott zdecydował, że lepiej osobiście obudzić starego admirała, niż wyrwać go ze snu telefonując. Wkroczył na korytarz i ruszył na górę, na najwyższe piętro, do mieszkania Howe'a. Budynek sprawiał wrażenie opustoszałego, ale w większości biur na górnych piętrach w pobliżu telefonów tkwili na służbie oficerowie i zabijali nudę lekturą. W saloniku panował bałagan – admirał był chyba jednym z najbardziej nieporządnym ludzi, jakich Abbott znał. Ową jedyną wadę starego admirała należało przypisać temu, że nie miał żony, która by go strofowała.

Abbott wszedł do sypialni i lekko potrząsnął jego chudym ramieniem. Admirał obudził się natychmiast – była to umiejętność, którą zdobył podczas wojny jako dowódca konwoju.

– O co-chodzi, James?

– Wiadomość z DŁR, sir. Jednostka Siódma nie zameldowała się w wyznaczonym czasie. W księdze raportów służby jest pańska notatka, żeby bezzwłocznie pana zawiadomić.

Admirał Howe nie słucał. Wsunął kościste stopy w pantofle i wkładał już na siebie szlafrok.

– Kiedy dzwonili?

Abbott podążył za admirałem do saloniku, a potem na korytarz. Starszy pan poruszał się zdumiewająco szybko.

– Pięć minut temu, sir.

Admirał Howe spojrział z niepokojem na zegarek nie zwalnając kroku. – Dlaczego zostawili ją na tak długo? – dopytywał się. – Czy nie podali przynajmniej jakiegoś wyjaśnienia? Niepokój tego białowłosego wilka morskiego okazał się zaraźliwy – Abbott miał niezwykle strapioną minę, kiedy odparł, że nie.

Nie, pomyślał admirał Howe, nie zrobiliby tego. Nikt, prócz niego samego i tych członków kierownictwa Ministerstwa Marynarki Wojennej, którzy „muszą wiedzieć”, nie wiedział niczego o Jednostce Siódmej i jej misji. Sowietci oczywiście wiedzieli. Tylko że oni nie wiedzieli, że mieli wiedzieć.

Admirał Howe opadł na fotel i spoglądał na swego adiutanta. Abbott wyczuł, że nie jest to właściwy moment na rozpoczęcie rozmowy. Zaskoczyła go doprawdy przemiana, jaka zaszła

w admirale. Porywająca żywotność widoczna u niego zawsze, niezależnie od pory dnia czy nocy, zniknęła. Iskierki dobrego humoru w oczach pogasły, ogorzała twarz wydawała się teraz blada i napięta.

Admirał Howe czuł u podstawy kręgosłupa ciarki, tak dobrze mu kiedyś znane – ukłucie strachu ostrzegające o bliskości niemieckiego okrętu podwodnego, jeszcze zanim wykrył go operator hydrolokatora akustycznego. Nieprzyjaciel nie powiewał już swastyką, ale uczucie było identyczne.

Zwrócił się ze znużeniem do Abbotta: – Proszę o dyrektywy operacyjne subsmash.

Wtedy dopiero porucznik Abbott zaczął podejrzewać, czym jest Jednostka Siódma.

SATSCAN

Operacja nastawiona specjalnie na nasłuch sygnałów radiowych przekazywanych przez satelitę komunikacyjnego.

Na płaskowyżu San Augustin w pobliżu Socorro w Nowym Meksyku stoi WU (Wielki Układ) największego na świecie nakierowywalnego radioteleskopu należącego do Radioastronomicznego Obserwatorium Stanów Zjednoczonych. Dwadzieścia siedem anten reflektorowych, każda o powierzchni pięciuset jardów kwadratowych, może funkcjonować jak jedna antena o średnicy dwudziestu mil.

O godzinie dziewiątej lokalnego czasu po serii uzgodnień między dyrektorem obserwatorium a Ministerstwem Obrony (Marynarka Wojenna) w Londynie potężny radioteleskop właśnie tak funkcjonował. Lecz zamiast służyć elektronicznej wrzawy z oddalonego o 50 000 lat świetlnych centrum galaktyki, dwadzieścia siedem anten nakierowało się na brytyjskiego wojskowego satelitę komunikacyjnego Skynet III, znajdującego się na geostacjonarnej orbicie na wysokości 22 000 mil nad równikiem.

Prócz pozycji satelity i kanału częstotliwości astronomom nie podano żadnych informacji: gdyby usłyszeli sygnały, nie będą mogli ich rozszyfrować – oczekiwano od nich jedynie słuchania. Dostroili więc swoją czułą aparaturę i słuchali. Cisza.

Podobne sceny powtarzały się na całej południowej półkuli – Afryka Południowa, Australia i Nowa Zelandia bacznie wsłuchiwały się w nawet najsłabsze elektroniczne szумы z eteru, lecz nic nie usłyszały. Nawet skromne stacje odbiorcze amerykańskiej marynarki wojennej na odległych wyspach południowego Pacyfiku poproszono o nasłuch i meldowanie. Jak wszystkie pozostałe, i one nie odebrały żadnych sygnałów.

Z Londynu popłynęły sygnały podziękowania.

Największa z kiedykolwiek podjętych i otoczona największą tajemnicą operacja satscan skończyła się kolosalnym niepowodzeniem.

Lód grubości ponad dwustu metrów bez lodowych świateł, a zatem uniemożliwiający okrętowi podwodnemu-nosicielowi pocisków raketowych używanie systemu łączności czy uzbrojenia.

Upłynęły dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy mie zameldował się okręt podwodny „Asteria”, znany też jako Jednostka Siódma.

Poza nieudaną operacją satscan nic się nie wydarzyło.

Porucznik James Abbott był zbity z tropu. Dlaczego nie przedsięwzięto poszukiwania i akcji ratunkowej? Dlaczego nie zaalarmowano poszczególnych dowództw NATO? A nade wszystko dlaczego admirał Howe automatycznie założył, że stało się najgorsze, gdy tylko okręt podwodny nie zameldował się o określonym czasie? Nie wybuchła przecież panika wtedy, gdy z opóźnieniem zameldował się „Sovereign”, wszyscy bowiem słusznie przypuszczali, że nie udało mu się znaleźć światełka lodowego podczas pory wrogiego lodu na biegunie północnym. Wiadomość o minięciu czasu wyznaczonego na meldunek „Sovereigna” udostępniono nawet prasie. W tym przypadku admirał Howe przed udaniem się do Dowództwa łączności wydał porucznikowi Abbottowi ścisłe instrukcje, żeby nie udzielał nikomu o „Asterii” żadnych informacji.

– Nawet gdyby żądał ich sam premier – tak dokładnie brzmiały jego słowa.

Tak więc porucznik Abbott miał nieprzyjemny dzień — wypowiadał nie kończący się potok telefonicznych przeprosin

7. powodu nieobecności swego szefa na rozmaitych posiedzeniach. Jeden odwieczny podsekretarz spotkawszy się ze strony porucznika z upartą odmową potraktowania go z większą szczerością, groził nawet przekazaniem tej sprawy wyżej. Admirał Howe wszedł do biura, kiedy Big Ben wybijał północ. Zmęczony rzucił na biurko Abbotta plik pękatek teczek z szarego papieru i z ulgą zapadł głęboko w swój skórzany fotel. Abbott przypatrywał mu się z uwagą; nigdy jeszcze nie widział, żeby stary admirał wyglądał na tak wyczerpanego.

– Czy mógłbym coś panu podać, sir?

Howe potrząsnął wolno głową i przymknął oczy. – Za chwilę przyjdę do siebie, James. To był po prostu męczący dzień.

– Czy jadł pan coś?

– Dali mi lunch w kasynie oficerskim w Stanmore.

— Wydawało mi się, że pan mówił o udaniu się do Dowództwa Łączności?

– Byłem też w Stanmore.

Ton admirała nie zachęcał do dalszej konwersacji. Oczy Abbotta powędrowały do teczek rzuconych na biurko. Ta na wierzchu opatrzona była napisem: „Komandor-podporucznik V.S. Sinclair-Holmes”. Rejestr poprawek na okładce wskazywał na to, że teczki nie zmieniano od roku.

– To dowódca „Asterii”.

Abbott podniósł szybko wzrok. Z głębi fotela obserwowały go intensywnie niebieskie oczy.

— Przepraszam, sir — rzekł pospiesznie porucznik. — Myślałem, że pan chce, bym na nie spojrział.

– Oczywiście że chcę, byś na nie spojrział – odparł admirał Howe. – W przeciwnym wypadku po cóż bym zwał je tobie na biurko?

Abbott milczał.

– Jest tam trzydzieści jeden teczek – mówił dalej admirał.

– Po jednej dla każdego członka załogi „Asterii”.

Abbott zdumiał się. – Tylko trzydzieści jeden, sir? Ma pan na myśli oficerów oraz załogę?

Admirał Howe stłumił gniew. Abbott miał prawo być zdumiony. Oparł brodę na rękach, utkwiał niespokojnie oczy

w poruczniku i powiedział cicho: – Trzydziestu jeden ludzi, James. I chcę, żebyś na następnych pięćset dni we wszystkich nich się wcielił.

Abbott rozdziawił usta. – Przepraszam, panie admirale, co takiego?

Admirał Howe skinął głową w stronę teczek. – Znajdziesz w każdej tezcze mikrokartę zawierającą całą korespondencję z rodziną i przyjaciółmi, a w niektórych wypadkach jeszcze z paroma wrogami. Na przykład, mechanik Fisher toczył przez dwa lata batalię prawną z bratem o dom, który zostawiła mu matka. Masz zostać mechanikiem Fisherem i to ty będziesz kontynuował tę batalię.

Howe nachylił się nad biurkiem i brał do ręki kolejne teczki. – Staniesz się komandorem-podporucznikiem Sinclairem-Holmesem, staniesz się drugim oficerem porucznikiem Bryanem Finchem, mającym roczne dziecko, którego nigdy nie widział, staniesz się Era Wallem rozwodzącym się z żoną, którą ledwie widział na oczy. Krótko mówiąc, zamienisz się w tych trzydziestu jeden ludzi, reanimując ich korespondencję z domem przez najbliższych czternaście miesięcy. Do tej pory wszystkie listy do nich przesyłano na numer skrytki pocztowej Dowództwa Łączności. W przyszłości będą najpierw przychodziły do ciebie. Listy od załogi „Asterii”, listy, które ty teraz będziesz pisał, przekazywano do kraju za pośrednictwem satelity Skynet, a następnie teleksem w normalny sposób, nie będziesz więc miał problemów z charakterem pisma. Tylko zadbaj o właściwy styl. Postarałem się o zainstalowanie tu rzutnika do przeglądu mikrokart, tak więc będziesz mógł zapoznać się ze wszystkimi poprzednimi listami.

Abbott przełknął ślinę. – Kiedy zacznę, panie admirale?

– Teraz.

– Dlaczego ja, sir?

– Gdyż wierzę, że będziesz trzymał język za zębami, James, dlatego. Mam też podstawy sądzić, że nie zaczniesz listu miłostnego pisząc „Szanowny Panie” czy „Pani”, co prawdopodobnie by się wydarzyło, gdybym musiał tę robotę powierzyć urzędnikowi z Centrali.

Admirał ruszył ku drzwiom.

- Proszę, obudź mnie o dziesiątej, James.
- Dlaczego nie poinformować, że „Asteria” zaginęła, panie admirał?

Admirał Howe jakby nie usłyszał pytania. – Obudź mnie o dziesiątej – powtórzył.

- Sir, jeśli chce pan, żebym to robił, musi mi pan powiedzieć, dlaczego „Asteria” nie została zgłoszona jako zaginiona — rzekł Abbott stanowczym głosem.

Admirał Howe zastanawiał się przez chwilę. Może mądrze byłoby zapoznać adiutanta choć z częścią prawdy. Usiadł.

- „Asteria” nie jest okrętem podwodnym przeznaczonym do czynnej służby. Została zbudowana przez Vickersa dla izraelskiej marynarki wojennej. Przed samym wodowaniem wkroczył rząd Jej Królewskiej Mości, zastopował zamówienie i wypłacił Vickersowi pełne odszkodowanie. I w efekcie rząd stał się posiadaczem okrętu podwodnego, dla którego właściwie nie ma zastosowania. Następnie ktoś, chwała Bogu nie ja, wpadł na wspianiały pomysł, żeby wykorzystać „Asterię” do prowadzenia eksperymentu podwodnego patrolowania przez tysiąc dni.

Abbott otworzył szeroko oczy ze zdumienia. – Tysiąc dni!

- powtórzył. – Sądziłem, że ogólnie uważa się taką rzecz za niemożliwą. Po pięciuset dniach zazwyczaj dochodzi do psychicznego załamania załogi.

- Właśnie to wówczas mówiłem. Mówiłem, że patrolowanie przez tysiąc dni to mrzonka stratega marynarki wojennej, która zawsze pozostanie tylko mrzonką. Oni jednak oświadczyli: nie, mamy okręt podwodny, to niech spróbuje. Dobrana załoga o specjalnie dużej wytrzymałości fizycznej i emocjonalnej, i tego rodzaju rzeczy. Ostrzegałem, że się to nie uda, ale nie słuchano mnie. – Admirał Howe zrobił przerwę. – Wygląda na to, że miałem rację.

Abbott pokiwał głową. – Próbować nie zaszkodzi, jak sądzę. Dlaczego jednak nie przyznać, że eksperyment skończył się niepowodzeniem?

- Nie możemy – odparł admirał Howe. – Specjalnie

przekazaliśmy drogą przecieku informację Sowietom, że patrolowanie przez tysiąc dni jest rzeczą możliwą i że obecna próba to już drugi tego typu eksperyment... Dlatego właśnie przez najbliższe czternaście miesięcy staniesz się duchem „Asterii”. Pod koniec tego okresu oznajmimy, że „Asteria” się spóźnia. Podamy położenie na Atlantyku, tam, gdzie jest wyjątkowo głęboko.

– Jaka była jej rzeczywista pozycja? – Czekając na odpowiedź Abbott zachowywał kamienny wyraz twarzy.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim admirał Howe powiedział

– Była schowana w naszej antarktycznej bazie, gdzie powinna być bezpieczna.

– W czym? – Abbott był tak zaskoczony, że pominął słowo „sir”.

– Od początku ten pomysł mi się nie podobał – rzekł stary wilk morski wpatrując się w podłogę. – Ale na wszystkie obiekcje mieli gotowe argumenty. Znaleźli na brytyjskim lekto-rium antarktycznym stały szelf lodowy, który nie zrzuca z siebie mas lodowych. Podziurawiony głębokimi pieczarami wyżłobionymi przez wody z letniego topnienia, nadającymi się na wygodną bazę dla okrętów podwodnych, z mnóstwem miejsca na warsztaty naprawcze i obiekty rozrywkowe.

Porucznik Abbott spojrział zaskoczony na admirała. – Ale przecież jest traktat... Antarktyki nie można wykorzystywać do celów wojskowych.

Admirał Howe roześmiał się z goryczą. – Dokładnie to samo mówiłem. Bezpieczeństwo kraju wygrało jednak z niejasnym traktatem. Mówiłem też, że będą kłopoty z zaprowiantowaniem, ale i na to była gotowa odpowiedź: za parawan przedsięwzięcia miała służyć fałszywa baza naukowa w odległości paru mil od brzegów Arktyki, z prawdziwymi jednak naukowcami prowadzącymi prawdziwe badania. Kierować nią miał personel wojskowy, dobrane grono z Królewskiej Piechoty Morskiej.

– Perfidny Albion – mruknął Abbott. – Co więc stało się z „Asterią”, sir, jeśli łód jest bezpieczny?

— Myślano, że jest bezpieczny — uściślił admirał. — Sądzi-
li, jak się wydaje, że było coś takiego, co się nazywa blokadą

lodowcową: ukryte góry tamujące ruch lodu.

– I teraz lód ruszył?

Admirał Howe potwierdził skinieniem głowy. — Według zdjęć satelitarnych w Stanmore, parę tysięcy mil sześciennych lodu.

Wydawało się, że porucznik Abbott nie dowierza. — Parę tysięcy m i 1 sześciennych, sir? — powtórzył.

– Sam w to nie wierzyłem, póki nie zobaczyłem zdjęć. Jest tam teraz zatoka, której nie było podczas ostatniej inspekcji satelitarnej.

– Wobec tego nastawiamy się na subsmash, sir?

Długo panowała cisza. Admirał Howe wolno potrząsnął głową. — To nie takie proste, James: lód zniknął.

Abbott patrzył na admirała szeroko otwartymi oczami.

– Co?

— Normalnie nie cierpię oklepanych frazesów, tym razem jednak jeden z nich pasuje jak ulał: całych osiem tysięcy mil sześciennych lodu ulotniło się. Ulotniło się jak duch.

6

Próbka lodu pobrana z lodowca lub pokrywy lodowej.

– Myślę, że to szaleństwo – powiedział Glyn Sherwood, kiedy na biało ubrany steward nalewał im kawę.

Julia Hammond uchwyciła spojrzenie Oafa i powściągnęła uśmiech. Po trzech latach pracy w Zespole Rosenthala do Badania Antarktyki znała wystarczająco dobrze Sherwooda, by wiedzieć, że nie znosi on zmian w ustalonym porządku dnia.

W miejscach takich jak Antarktyka, o nieprzerwanej ciemności albo stałym świetle dziennym i z walką o to, by pamiętać, czy następny posiłek to śniadanie, czy kolacja, przestrzeganie ustalonego porządku dnia to podstawa, jeśli nie chce się zupełnie zwariować. Teraz jednak na „Orionie”, luksusowym statku pasażerskim znajdującym się w odległości siedemdziesięciu dwu godzin od Sydney i płynącym do Kapsztadu, powróciły normalne okresy dnia i nocy.

Oaf wybuchnął gromkim śmiechem, co skłoniło pasażerów siedzących przy sąsiednich stołach do popatrzenia na olbrzy-

miego Norwega z niechęcią zmieszana z niepokojem. Poklepał Sherwooda po plecach. – Wciąż się martwimy o te cholerne próbki lodu, co, Sherwood?

Geolog potrząsnął głową. – Nie. Śmiem twierdzić, że urządzenie chłodzące w tym pałacu-pułapce o napędzie atomowym uporają się z tym zadaniem. Myślę tylko, że próby bicia rekordów przez transoceaniczne statki pasażerskie nie mają dziś sensu. Julia rozejrzała się po luksusowej restauracji. Przy stole kapitańskim siedziała zaśmiewając się z jakiegoś dowcipu hałaśliwa grupa bogatych przemysłowców i ich żon.

– Może i są bez sensu – zgodziła się Julia. – Ale to wciąż dobry pomysł z punktu widzenia właściciela, jeśli jesteś opóźniony i masz na Heathrow zacarterowaną całą flotę samolotów, czekającą, by porozwozić wszystkich do domów.

Oaf wyciągnął groźnie wyglądający nóż wielorybniczy o długim wygiętym ostrzu. Już miał podłubać jego czubkiem w zębach, kiedy Julia powiedziała do niego łagodnym tonem: – Ile razy ci to mówiłam, Oaf? Nie jesteś teraz na jednym z tych swoich nędznych statków do połowu wielorybów.

Olbrzymi Norweg wyraźnie się speszył. Westchnął i schował nóż z powrotem do pochwy. Wiedział, że Julia Hammond to bardzo prostolinijna młoda kobieta i lepiej było jej się nie narażać. Zauważył, że Sherwood uśmiecha się do niego i donośnie chichocze.

– Sherwoodowi nie spiesz się, żeby wrócić do Southampton. Co, Sherwood?

Szeroki uśmiech geologa zniknął. Julia spojrzała na niego z zainteresowaniem. – Tak? A dlaczego?

Patrzyła przez stół na sympatycznego, niedźwiedziowatego Norwega.

– Jesteś żonaty, Glyn? – ton Julii wskazywał na to, iż denerwuje ją to, że wcześniej nie udało jej się zdobyć o Sherwoodzie jakichś informacji. Nie lubiła tajemnic.

– Jest żonaty, okej – rzekł Oaf demonstrując w szerokim uśmiechu rząd wspaniałych zębów. – Raz mi mówić o tym, wszystko.

– Byłem żonaty – poprawił go Sherwood. – Czy nie

możemy zmienić temat?

Julia przyglądała się Sherwoodowi. Geolog zmieszał się widząc, że utkwiła w nim swoje szare oczy.

– Podpisałeś kontrakt na pracę z Rosenthalem w Antarktyce, żeby zapomnieć? – spytała z sarkazmem.

Sherwood się roześmiał. – Nie, do licha, zrobiłem to z tego samego powodu co wszyscy, bo zaoferowano pracę, i to dobrze płatną. No a teraz, kiedy już zdradziłem wszystkie swoje sekrety, może tak zmienimy temat, co?

– Szkoda, że nie odnowiono naszych kontraktów – zauważyła Julia melancholijnie.

Sherwood spojrział na nią zdziwiony. – A kto nieustannie powtarzał, jak to przyjemnie będzie znowu wybrać się na zakupy w Londynie?

Julia wzruszyła ramionami. – Nie ma tak wiele pracy dla biologów morskich.

– Kupa szarlatanów – bąknął Oaf sondując grubym jak kij wskazującym palcem jeden ze swoich okazowych zębów.

Julia utkwiła w olbrzymim Norwegu pytający wzrok.

– Kto? I zostaw zęby w spokoju.

– Rosenthal – odparł Oaf. – Wielkie szarlatany.

Sherwood i Julia wymienili pełne zakłopotania spojrzenia.

– Oaf – odezwała się Julia – może byś tak przestał dźubać w zębach i powiedział, o kim mówisz?

Oaf przestał dźubać w zębach. – O technikach laboratorium Rosenthala.

– A niby dlaczego?

– Wszyscy więksi od Sherwooda. Bez okularów. Wszyscy o dobrym wzroku.

Sherwood się zachmurzył.

– Nie bądź głupi – rzuciła z irytacją Julia. – Oczywiście, że wszyscy mają dobry wzrok, muszą przejść przez badania lekarskie.

– Z powodu wzrostu? – zagadnął Sherwood uprzejmie.

Julia się zawahała. – No... przypuszczam...

– Szarlatani – powtórzył Oaf. – A Brill to największy szarlatan z nich wszystkich.

Julia zawsze uważała, że kierownik ekipy Rosenthala to człowiek uprzejmy i dobrze wychowany. Była gotowa usilnie go bronić.

Sherwood mrugnął do Oafa i rzekł przekomarzając się z Julią: – Taak. Wszyscy w bazie zauważyli, że się za nim uganiasz.

Julię opanowała złość. – Brill był jedynym dżentelmenem w bazie spośród bandy wygłodniałych seksualnie, nieokrzesanych tak zwanych uczonych, w których pojęciu badania naukowe nie odbiegały zbyt od prób stwierdzenia, co mam na sobie nocą w łóżku.

– Nie wiń mnie za swoją wrażliwość wobec flanelowych piżam – zauważył złośliwie Sherwood.

– Boże, daj mi cierpliwość!

– Of i c e r i dżentelmen – odezwał się nagle Oaf.

Przy stole zapanowała nagła cisza.

– To angielskie wyrażenie, którego się kiedyś nauczyłem

– wyjaśnił Oaf reagując na głupie miny Julii i Sherwooda.

– Brill to oficer. Oficer marynarki wojennej – Norweg postukał się w nos. – Ja ich wywieszę, tych oficerów. – Byłby splunął z pogardą, ale wyczuł, że Julia by tego nie pochwaliła. – Powiem wam coś jeszcze – ciągnął. – Widzieliście kiedykolwiek magazyn? Nie. Wiecie dlaczego? Skrzynie miały znaki. Dlatego technicy z laboratorium nie pozwalają nigdy i nikomu tam wejść.

– Jakiego rodzaju znaki? – spytała Julia.

Oaf narysował na serwetce krótką, szeroką strzałkę zazwyczaj znajdującą się na przedmiotach stanowiących własność Rządu Jej Królewskiej Mości. – Widziałem je raz, gdy zwiąło brezent – wyjaśnił.

Sherwood wychylił się do przodu. – To ciekawe. Pamiętajcie, jak usunięto etykiety ze wszystkich ubrań ochronnych, które nam wydano?

– I co z tego? – spytała Julia. – Rosenthal kupił rządowe nadwyżki. Co w tym złego?

– To dlaczego próbowano ten fakt ukryć? – odparował Sherwood.

Julia zwróciła się do Oafa. – Co więc próbujesz nam powiedzieć? Że Rosenthal to baza wojskowa?

– Nie – rzekł Sherwood, zanim Norweg zdążył się odezwać. – To byłoby naruszenie Traktatu Antarktycznego. Przy wszystkich swoich wadach rząd brytyjski nie łamie międzynarodowych traktatów.

– Właśnie – zgodziła się z nim Julia. – A gdyby nawet, to jakąż wartość wojskową mogłaby mieć dla kogokolwiek Antarktyka?

Oaf zachował milczenie.

Tej nocy Sherwood nie mógł spać. Przygnębiała go atmosfera malutkiej kabiny znajdującej się głęboko we wnętrzościach statku.

Leżał w ciemnościach, zastanawiając się, dlaczego wciąż jeszcze w sprawach skutecznej klimatyzacji nie doszło do technicznego przełomu, nawet na tak nowoczesnym statku jak „Orion”.

Zapalił światło i próbował czytać książkę. Po pięciu stronach stwierdził, że jego umysł nie przyswaja niczego z czytanej opowieści. Słowa zlewały się w bezsensowną mazanię. Rzucił książkę na szafkę i strącił na podłogę broszurę z informacjami o „Orionie”. Sięgnął po nią. W środek wetknięto niedbale wydrukowaną ulotkę ze szczegółami proponowanej próby bicia rekordu. Po opłynięciu Przylądka Horn „Orion” miał zwiększyć prędkość prawie do czterdziestu węzłów i, jeśli pogoda pozwoli, utrzymywać ją przez siedem dni, tak że zawinie do Southampton na czas.

Przeczytał raz jeszcze to zdanie. Trzydzieści siedem węzłów przez cały tydzień! To niewiarygodna prędkość. Wrócił do broszury i wertował dane „Oriona”, które dołączono dla osób o „zainteresowaniach technicznych”. Cztery reaktory nuklearne... Cztery turbiny... Maksymalna prędkość czterdzieści dwa węzły. Wątpił, czy statek testowano kiedykolwiek przy jego maksymalnej prędkości. Nie był inżynierem, ale wydawało mu się, że już sama myśl o zmuszeniu nie sprawdzonego statku do rozwijania maksymalnej prędkości to czyste szaleństwo. Leniwie przerzucając strony broszury trafił na schemat

pokładów. Nic dziwnego, że nie mógł spać – pokład G znajdował się dwadzieścia stóp poniżej linii wodnej i bezpośrednio nad pomieszczeniami reaktora. Rzucił broszurę na podłogę, zgasił światło i ponownie usiłował zasnąć.

Dwadzieścia stóp poniżej linii wodnej...

Można było być pewnym, że Rosenthal zamówi najtańsze kabiny-

Dwadzieścia stóp poniżej linii wodnej...

Liczył w pamięci i wyszło mu, że każda stopa kwadratowa blachy kadłuba statku koło jego głowy musi wytrzymać ciśnienie jednej tony wody.

7

Siedem miesięcy zajęło porucznikowi Jamesowi Abbottowi pokonanie niechęci do konieczności występowania w roli męża wobec dwudziestu trzech żon, kochanka wobec sześciu kobiet i ojca wobec trzydziściora i jednego dziecka.

Cała ta sprawa zamieniła się teraz w gładko przebiegającą operację, wspomaganą przez gigantycznych rozmiarów tabelę na ścianie podającą daty urodzin, rocznice, imiona dzieci i ich wiek oraz masę szczegółowych informacji o sympatiach i antypatiach.

Abbott znał teraz prywatne życie każdego z członków załogi „Asterii” i mógł pisać listy bez posługiwania się tabelą i skorowidzem kart, uważał jednak za rzecz zasadniczej wagi, by za każdym razem najpierw sprawdzić wszelkie dane. Błąd taki jak wtedy, gdy poplątał imiona dwu żon, mógłby okazać się fatalny w skutkach.

Był piętnasty dzień miesiąca. Piętnastego każdego miesiąca mechanik Robetson pisał list – zawsze o pięciuset słowach i zawsze pełen składniowych niezręczności.

Porucznik Abbott westchnął i sięgnął po swój notatnik.

8

Generał Nikołaj Zadkin z Zarządu Wywiadu położył płasko swoje wielkie dłonie na biurku admirała Turgieniewa i rzekł niepokojąco łagodnym tonem: – A więc gdzie jest teraz ten brytyjski okręt podwodny, admirale?

Admirał Turgieniew, naczelny dowódca sowieckiej Floty

Czarnomorskiej, nie ugiął się przed spojrzeniem zimnych słowiańskich oczu. Nie bał się takich zbirów jak Zadkin. – Generale, nikt poważnie nie wierzy w to, żeby możliwe było patrolowanie podwodne przez tysiąc dni. Albo wasz wydział się pomylił, albo dostaliście fałszywą informację.

– Gdzie jest ten okręt podwodny?

– AGI zgubił jego ślad na południowym Oceanie Indyjskim. Użycie sonaru z powierzchni w takiej zimnej wodzie jest faktycznie niemożliwe. Warstwy inwersyjne załamują wiązkę fal. Jedyne sposoby na skuteczne wykrycie okrętu podwodnego bez aparatury do satelitarnego monitorowania termicznego śladu torowego, jaką mają Amerykanie, to użycie innego okrętu podwodnego.

– Zlokalizowanie i monitorowanie tego okrętu podwodnego – odparł lodowato generał Zadkin – to sprawa o pierwszorzędym znaczeniu. Niezwykle ważne jest dla nas stwierdzenie, czy Brytyjczykom naprawdę udało się wysłać ludzi na trzyletni patrol, czy też załoga odpoczywa na okręcie-bazie na południowym Atlantyku.

– Prawie na pewno to właśnie robią – powiedział z irytacją admirał.

– Żądam dowodu! – zagrmiał Zadkin uderzając pięścią w biurko. — A nie opinii marynarzy zza biurka!

Ostatnie, obraźliwe słowa Zadkina zagłuszył przeraźliwy ryk ośmiu maszyn MiG-25 z pobliskiej bazy lotniczej Eupatoria. Generał Zadkin podszedł do okna i osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem słońca bijącym od Morza Czarnego. Myśliwce przeleciały nisko nad sewastopolską stocznia marynarki wojennej i szybko nabrały wysokości, kierując się przez Morze Czarne na południe, w stronę Turcji. Szarpiące nerwy wycie szesnastu silników Tumanskiego ze zdumiewającą prędkością cichło aż do ledwo słyszalnego grzmotu, gdy odrzutowce zniknęły w dalekiej mgiele.

Generał Zadkin obserwował z dumą malejące czarne punkciki; Amerykanie nie mieli niczego, co mogłoby dorównać MiG-om 25 pod względem prędkości, czasu wznoszenia i puła-

pu operacyjnego. MiG zaczął bić światowe rekordy w roku 1970 i od tego czasu nieustannie je bił.

Odwrócił się szybko w stronę Turgieniewa. – Jeśli najlepszym sposobem upolowania okrętu podwodnego jest użycie w najgłębszej tajemnicy innego okrętu podwodnego, to zrobimy to.

— Będziemy potrzebować co najmniej dwudziestu do przeszukania południowego Atlantyku – rzekł impulsywnie Turgieniew. – Nie możemy dać tak wielu okrętów.

Zadkin się uśmiechnął. – A kto mówi o użyciu floty czy atomowych okrętów podwodnych, admirale? Użyjemy prototypu Delty II.

Turgieniew potrząsnął głową. – To najbardziej szalony pomysł, o jakim słyszałem, generale.

– Pamiętajcie, do kogo mówicie – zwrócił mu łagodnie uwagę Zadkin.

Turgieniew się zachnął. – Nie dbam o to. Szaleństwem jest nawet rozważenie ewentualności wysłania Delty II na południowy Atlantyck. Znacie naturalnie ich wielkość? Osiemnaście tysięcy ton. Zaprojektowano je do osiągnięcia z wód macierzystych celów w Ameryce Północnej.

– Mają najlepsze szumonamierniki w całej marynarce wojennej, zgadza się?

– Tak, ale...

– I wyposażone są w symulatory dźwiękowe SOSUS?

– Tak – przyznał z desperacją Turgieniew. – Ale jeśli Delta II zostanie wykryta na południowym Atlantyku, Amerykanie uznają to za wielką prowokację.

– Delta II otrzyma surowy rozkaz pozostawania stale w zanurzeniu i utrzymywania stałej gotowości maskowania radiowego.

– Zostanie wykryta przez satelitarne wykrywacze termicznego toru wodnego – rzucił z irytacją Turgieniew. – I druga rzecz, inercyjne systemy Delty II nie nadają się do ustalania pozycji na południowym Atlantyku.

– Użyjcie systemu Omega – odparł gładko Zadkin.

– Wiem, że marynarki wojenne, amerykańska i brytyjska, używają go bez skrępułów na swoich okrętach podwodnych,

choć to system cywilny. Sygnały o bardzo małej częstotliwości generowane przez nabrzeżne radiolatarnie Omegi przenikają wodę na głębokość sześciu metrów, czyż nie? Mam nadzieję, że wyposażenie Deltę w trałową przewodową antenę, która pozwoli utrzymać stałą pozycję aktualizowaną bez konieczności wynurzania się na powierzchnię, nie będzie przekraczało umiejętności waszych techników.

– Generale, proszę mnie posłuchać – rzekł kategorycznym tonem admirał Turgieniew. – Zanim zaryzykujemy wysłanie okrętu podwodnego o wyporności osiemnastu tysięcy ton na nieznane wody, powinniśmy jednak przeprowadzić poważniejsze badania oceanograficzne. Gdyby Delta musiała nieoczekiwanie wejść w warstwę zimnej wody, to utraciłaby przegłębienie i wystrzeliła na powierzchnię. Ponadto wiele...

– Admirale Turgieniew – przerwał mu Zadkin groźnym tonem. – Wyślecie Deltę II na południowy Atlantyk z nagraniami cech charakterystycznych „Asterii”. Rozkazuję odnaleźć ten okręt podwodny!

9

Julia w rozmarzeniu patrzyła przez kilka sekund na migocący szczyt Góry Stołowej, po czym wręczyła lornetkę Sherwoodowi.

– Wstyd mi, cholera – mruknęła. – Ale nie mogę się doczekać robienia zakupów w Kapsztadzie.

Sherwood oparł łokcie na wyłożonym mahoniem relingu pokładu otwartego i nastawił lornetkę na odległy wierzchołek górski. – Miałaś trzy godziny w Sydney – zauważył.

Julia zaśmiała się z sarkazmem. Już miała przystąpić do wygłoszenia tyrady o tym, jak to od trzech lat nie miała praktycznie szansy porządnie nachodzić się po sklepach, gdy zauważyła uśmiech na twarzy Sherwooda.

— Znowu kpisz sobie ze mnie?

Sherwood opuścił lornetkę. Oczy miał okrągłe i niewinne.

– Ja, panno Hammond? Dlaczego miałbym chcieć coś takiego zrobić?

Ripostę Julii przerwał steward. Był bardzo uprzejmy.

– Przykro mi, że państwu przeszkadzam, ale właśnie zamykamy ten pokład.

Julia omiotła to miejsce wzrokiem. Z podobną prośbą zwracano się do innych pasażerów.

Sherwood wziął ją za rękę. – Chodź. Zagram z tobą w elektronicznego tenisa. Prawdopodobnie zamkną wszystkie pokłady otwarte, gdy tylko przystąpią do tej szalonej próby bicia rekordu.

– Pokład rufowy pozostanie otwarty – poinformował przepraszającym tonem steward. – Znajdzie się poza strumieniem śruby. Będą dodatkowe filmy i oficer kulturalny organizuje specjalne rozrywki.

— Panie i panowie — ozwał się pobliski głośnik. — Wkrótce zwiększamy naszą prędkość do trzydziestu siedmiu węzłów. „Orion” to statek o wysokiej stabilności, doprawdy możecie się państwo przekonać, że jest o wiele bardziej stabilny, kiedy płynie z dużą prędkością...

Sherwood się zachnął.

– ...Komunikat meteorologiczny jest pomyślny, wygląda więc na to, że dokładnie za tydzień od dziś znajdziemy się u ujścia Southampton. Mamy nadzieję, że wszyscy państwo cieszą się, że mogą uczestniczyć w tym epokowym wydarzeniu.

Głośnik umilkł.

– Epokowe wydarzenie – powtórzył kwaśno Sherwood.

– To będzie zabawa – orzekła Julia, gdy Sherwood przeprowadził ją przez przesuwne drzwi wiodące do oszklonej promenady.

– To będzie cholernie niebezpieczne.

– Kto tak mówi?

— Oaf. A on jest dobrym inżynierem. Twierdzi, że maszyn nie powinno się nigdy zmuszać do pracy przy całkowicie otwartej przepustnicy, o ile to nie jest niezbędną.

Julia się zatrzymała. – Widzę, że jesteś wystraszony, Sherwood.

Rzeczywiście geolog wyglądał na zaniepokojonego. – Wcale nie jestem wystraszony.

Kłamał, przeraziło go tych dwadzieścia stóp poniżej wodnej linii, na których znajdowała się jego kabina. Wiedział jednak, że to irracjonalny strach i że właściciele i kapitan „Oriona” nie pozwoliliby na próbę bicia rekordu, gdyby nie byli pewni, że jest to bezpieczne.

Dotarli do przedniego pokładu spacerowego nad dziobem „Oriona” kołyszącym się w usianej białymi plamkami martwej fali. Julia miała właśnie pokazać Sherwoodowi stado kapsztażkich gołębi lecących ku lądowi, kiedy oboje usłyszeli, jak nienatrzęte dotąd pojękiwanie turbin „Oriona” zaostcza się do tego stopnia, że przebija się przez nieustanną muzykę. Pokład drgnął im pod stopami.

– Wydaje się, że dali mu popęd – skomentowała wesoło Julia.

„Orion” zanurzył dziób w martwej fali i na przedni pokład opadły pióropusze rozpylonej przez wiatr wodnej chłosty. Podekscytowani, szczebioczący pasażerowie zgromadzili się wzdłuż relingu. Kolejna wzbierająca fala spowodowała jakby zawahanie się statku. Pasażerowie odskoczyli instynktownie, gdy rozbryzg powierzchniowy uderzył o szybę.

Julia pozwoliła zaprowadzić się na dół do centrum rozrywkowego, gdzie rozbrzmiewał nieprzyjemny dla ucha klekot automatów do gry. Zauważyła, że jej towarzyszowi lekko trzęsła się ręka, kiedy wrzucał monetę do automatu.

– O co, do cholery, chodzi? – spytała.

Sherwood przez kilka sekund obserwował poruszający się świetlny punkcik na ekranie. – Na pokładzie G są drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. Zauważyłaś je?

– Tak – powiedziała Julia, zaintrygowana.

– Drzwi prowadzą na schody, a te na pokład otwarty.

– No i co?

– Mogą się przydać w razie niebezpieczeństwa.

Następna silna fala przechyliła cały statek.

10

Delta II klasy SSBN*, „Podorny”, zachwiała się. Była to lekka chwiejba, ale wystarczająca, by kapitan trzeciej rangi Igor

Liczinski dał nurka ze swojej koi i wypadł na zejściówkę prowadzącą do centrali.

Okręty podwodne płynące na głębokości trzystu metrów się nie chwieją.

– Co to, do cholery, było? – dopytywał się Liczinski. Wpadłszy do centrali.

Oficer dyżurny był zakłopotany. – Nie wiem. kapitanie...

– zaczął i „Podorny” kiwnął się znowu. Sternikowi w ostatniej chwili udało się jakoś nie spaść z krzesła. Z mesy oficerskiej doleciał brzęk tłuczonej porcelany. Liczinski już chciał wydać

* SSBN – okręt podwodny o napędzie atomowym.

rozkaz kierownikowi maszyn, żeby zmniejszyć prędkość, kiedy w żyłach ścieła mu się krew – podłoga centrali przechyliła się i „Podorny” zaczął tracić przegłębienie. Zanim kierownik maszyn sięgnął do przełączników, które uruchamiały pompy balastowe, „Podorny” przechylił się gwałtownie i przewrócił na bok. Liczinski usiłował się ratować chwytając się oparcia krzesła sonarzysty. Nie dopuszczając do świadomości, że znajoma centrala obraca się o dziewięćdziesiąt stopni, doznał zawrotu głowy. Wokół roztrzaskiwały się różne przedmioty. Krzyczeli ludzie. Rozszedł się swąd spalenizny i zamigotało światło.

– Światła awaryjne! – krzyknął Liczinski.

– Siedzicie na tablicy kierowniczej! – odkrzyknął ktoś.

Automatyczne przełączniki włączyły się z cichym traskiem

– światła paliły się teraz równo, nie migocąc. Przez kilka sekund panowała cisza, turbiny nadal pracowały i „Podorny” sunął na boku. Dla milczących, spotniałych ludzi sekundy te wydawały się wiecznością. Nie pozostało im nic innego, jak tylko się modlić. W przedziale załogi trzydziestu marynarzy leżało w kupie na grodzi, która była burtą okrętu, i modliło się wśród pozostałości roztrzaskanego projektora filmowego.

W kuchni pokładowej modliło się dwóch kuków ciężko poparzonych na skutek upadku na palniki. Na całym okręcie ludzie się modlili czekając, co będzie.

Dwa tysiące ton ołowiu wlanych do przestrzeni stępki zewnętrznej „Podornego” zaczynało się upominać o swoje

prawa. Powoli potężny okręt podwodny obrócił się wzdłuż osi. Kiedy podłoga powróciła na swoje miejsce, ludzie zsunęli się z burty. Wyszkolenie zrobiło swoje – za pośrednictwem światłowodowego systemu łączności do centrali zaczęły napływać meldunki o uszkodzeniach.

– Rakietowe stanowisko dowodzenia. Wszystkie systemy działają. Uszkodzenie jedynie trzeciego stopnia.

– Przedział reaktora. Uszkodzenie trzeciego stopnia. Jeden marynarz ma chyba złamaną rękę.

– Maszynownia. Uszkodzenie drugiego stopnia: pękła jedna rura wysokiego ciśnienia, właśnie ją odcinamy.

Dziesięć podobnych meldunków przekazano przez głośnik w centrali. Liczinski odetchnął z ulgą. Nie było meldunków o uszkodzeniu pierwszego stopnia – nie ucierpiał żaden z głównych systemów okrętu. Nie trzeba wydawać rozkazu wynurzenia „Podornego”. Spojrzał na pobladłego szefa maszynowni.

– Co to, na miłość boską, mogło być, szefie?

Ten nie odpowiedział. Milcząc pokazał na głębokościomierze. Liczinski popatrzył za jego palcem. Głębokościomierze wskazywały zero, a wskazówki światłomierzy zewnętrznych wyszły poza skalę, poza maksymalne odczyty.

„Podorny” był na powierzchni.

Liczinski zaklął i włączył kamerę telewizyjną na kiosku.

Daleki widnokrąg i niebieskie niebo wypełniły ekran. Widnokrąg lekko się przechylał. Ruch ten dawał się także wyczuć pod stopami, bo „Podorny” reagował na falę.

– Zejść na sto metrów! – krzyknął Liczinski.

– Nie da rady, kapitanie – powiedział sonarzysta.

Liczinski odwrócił się do niego. – Dlaczego?

– Ledwie pięćdziesiąt metrów wody pod kilem.

Liczinski wlepił wzrok w sonarzystę. – Jesteśmy na środku południowego Atlantyku, idioto!

– Proszę spojrzeć, kapitanie.

Sonarzysta miał rację – wszystkie trzy niezależnie działające echosondy „Podornego” wskazywały tę samą głębokość, pięćdziesiąt metrów, chociaż powinny były wskazywać głębo-

kość pięciu kilometrów.

Liczinski nie wierzył własnym oczom.

– Twarde echo też – dodał sonarzysta. – Nie ma przenikania poddenego, wygląda więc na to, że jesteśmy nad skałą.

Przez chwilę umysł Liczinskiego pracował gorączkowo.

— Maszyny stop! — rozkazał.

Okręt podwodny stracił równowagę, zanim Liczinski wyszedł z windy na pomost manewrowy. Półkule, wielorybi dziób „Podornego”, idealny przy płynięciu w zanurzeniu, dawał mu złe właściwości manewrowe na powierzchni i teraz jego cylindryczny kadłub, pozbawiony stabilizującego wpływu sterów głębokości z powodu leżenia w zatrzymaniu, pochylił się o trzydzieści stopni. Liczinski włożył słuchawki telefonu wewnętrznego i wetknął wtyczkę w jedno z przeciwnieniowych gniazdek. Usłyszał głos sonarzysty.

– Głębokość czterdzieści metrów.

Liczinski omiótł widnokrąg lornetką. Ani śladu lądu. Słuchał głosów z kabiny radiowej, kiedy pierwszy i drugi oficer nawigacyjny przystąpili do ustalania dokładnego położenia z satelity i stacji nadbrzeżnych.

Usadowiwszy się na smukłym kiosku wysoko nad powierzchnią Liczinski przepatrywał morze, jakby miał nadzieję, że znajdzie jakiś klucz do wyjaśnienia tajemnicy tej płycizny.

– Centrala do pomostu – rozległ się w słuchawkach głos szefa maszynowni. – Nie wiem, czy to coś oznacza, ale temperatura wody wynosi tylko plus dwa stopnie.

Liczinski się zasępił. Jeśli pozycja „Podornego” była właściwa, to okręt podwodny szedł na północ wzdłuż Prądu Benguelskiego pięćset mil od zachodniego brzegu Republiki Południowej Afryki. Prąd Benguelski, odnoga Antarktycznego Prądu Zachodniego, to prąd zimny. Lecz z pewnością nie tak zimny. Nie na wysokości trzydziestu stopni na południe od równika.

– Złapaliśmy dwie stacje Radia Południowoafrykańskiego – powiedział jakiś głos w słuchawkach Liczinskiego. – Wygląda na to, że współrzędne położenia są w porządku.

Liczinski dał rozkaz posuwania się z bezpieczną prędkością trzech węzłów.

– Głębokość stale czterdzieści osiem metrów – zameldował sonarzysta.

Liczinski kazał mu używać przedniego sonaru, tak by okręt w porę został uprzedzony o zmianie głębokości.

– Na odległość trzech kilometrów jest stale czterdzieści osiem metrów głębokości, towarzyszu kapitanie, a potem na tak daleko, jak sięga sonar, schodzi do siedemdziesięciu metrów.

Boczne dane są takie same.

Liczinski chrząknął. Coś nie grało z tymi mapami południowego Atlantyku. Czy to możliwe? Czy to możliwe, żeby jakieś niedawne trzęsienie ziemi przeszło nic zauważone? Odegnął tę myśl – żadne podziemne wypiętrzenie nie mogłoby unieść morskiego dna z głębokości pięciu kilometrów do niemal pięćdziesięciu metrów od powierzchni i pozostać nie zauważone.

– Kabina radarowa do pomostu.

– Pomost – odezwał się Liczinski.

— Mamy mapę radarową na dziewięć-dziesiątych z Aeriaosa Osiem.

Aerios Osiem to satelita dostarczający pozahoryzontowego obrazu radarowego sowieckiej flocie handlowej na Atlantyku. W ten sposób dawano sobie radę z tym, że radary nie sięgają poza horyzont. „Na dziewięć-dziesiątych” oznacza nadzwyczaj dobry odbiór.

– Jest coś ciekawego w pobliżu? – spytał Liczinski.

– Przed nami nic, towarzyszu kapitanie. Sześćset kilometrów za nami znajduje się amerykański liniowiec pasażerski o napędzie jądrowym „Orion”. Właśnie opłynął Przylądek Horn.

Coś dziwnego działo się z morzem. Liczinski popatrzył w dół. Usłyszał własny głos: – Myślałem, że wchodzi do Kapsztadu.

– Nie, towarzyszu kapitanie. Idzie wciąż za nami.

Lecz kapitan Liczinski nie usłyszał tej odpowiedzi. Wpatrywał się z kolosalnym zdumieniem w morze, nie dowierzając

własnym oczom.

– Głębokość stale czterdzieści osiem metrów – wyrecytował sonarzysta.

Kiosk się zakolysał. Liczinski wpatrywał się ze zgrozą w wodę, która zaczynała się ku niemu wznosić. Zaszło mu w gardle. Mimowolnie ścisnął mocno reling, aż pobiełały mu knykcie. Bryzg piany ochlapał mu twarz, czego nawet nie zarejestrował. Nie usłyszał też ostrzeżenia z kabiny radarowej o lekkim samolocie w pobliżu „Podornego”. Jedna myśl zdominowała zdumiony umysł kapitana.

Morze zamieniało się w miód.

Dlaczego morze ma kolor gówna? – dopytywał się

1BP operator CBS News.

Pilot Cessny Skymaster popatrzył w dół na morze i wzruszył ramionami.

– Może to piaskowa zawiesina – odparł ze swoim afrykańskim akcentem.

– Ależ skąd!

– No i po co się martwić o morze? Chce pan sfilmować „Oriona”, zawiozę pana do „Oriona”, ale nie odpowiadam na pytania o morze.

Operator spoglądał w dół przez pleksiglasową szybę Cessny.

– To naprawdę dziwne.

— Złudzenie optyczne — skomentował pilot.

Operator nałożył na kamerę teleobiektyw i spojrział na morze przez wizjer. Dzięki teleobiektywowi ocean przybliżył się i wydawało się, że jest oddalony zaledwie o pięćdziesiąt stóp.

– Wciąż ma kolor gówna – oznajmił.

– No więc co mam zrobić? Może rzucić do niego jakąś farbkę?

Operator nie odezwał się, lecz nadal patrzył uważnie przez swój wizjer. Skierował wolno kamerę na widnokrąg. Zesztywniał.

– Jezus!

– Co takiego?

Operator wciąż trzymał kamerę nakierowaną na horyzont i poprawiał ostrość. Nie odejmując oka od wizjera oznajmił:

– Jakieś dziesięć mil przed nami widzę olbrzymi okręt podwodny.

Pilot spojrział tam, gdzie wycelowana była kamera. Jego wprawne oko wychwyciło biały rąbek fali załamującej się w miejscu, gdzie nie powinna się załamywać. Nie spuszczać jej z oka sięgnął po lornetkę.

– Widzi go pan? – zapytał.

– Taak, widzę.

Obaj zafascynowani wpatrywali się w potężny, przypominający wieloryba kadłub. Okręt podwodny pruł bez wysiłku wzburzone morze, a jego nijakie, szare powierzchnie boczne z wolna muskała odbarwiona martwa fala. Operator znał większość klas okrętów podwodnych różnych marynarek wojennych świata, nigdy jednak nie widział czegoś takiego jak ten potwór, którego miał teraz w wizjerze. Inaczej niż w przypadku większości okrętów podwodnych, wysmukły kiosk umieszczony był daleko na przodzie, niemal na samym półkolistym dziobie. Wzburzone morze waliło weń i rozbryzgiwało się z wielką siłą, a rozpylona woda morska, zanim opadła z powrotem, wisiała jakby w powietrzu.

Leć pan do niego – szepnął operator.

– A co z „Orionem”?

– Mniejsza o „Oriona”. Jeśli to maleństwo nie da nurka, to poświęcę mu cały film.

Pilot skorygował lekko kurs.

Operator załadował kasetę do kamery, a pilot tymczasem próbował połączyć się z Kapsztadem, żeby poinformować o okręcie podwodnym. Klął po afrykanersku manipulując pokrętłem dostrajania.

– Co się dzieje?

– Radio absolutnie do kitu – odparł pilot ze złością.

– Hałas na całym paśmie. – Zsunął słuchawki z uszu.

– Może celowo – rzekł po namyśle operator.

– Myśli pan, że ten okręt nas zagłusza?

i' — Żyjemy w epoce wyrafinowanej techniki elektronicznej

S — zauważył operator podnosząc kamerę do oka.

Pilot wymamrotał jakieś przekleństwo. – Myślałem, że to

[może robota Amerykanów.

– Skądże znowu...

Olbrzymi okręt podwodny oddalony był teraz o mniej niż milę. Obaj mężczyźni w Cessnie mogli dostrzec głowę i ramiona człowieka na kiosku. Operator zaklął pod nosem, gdy na podstawie wielkości sylwetki ludzkiej próbował oszacować wymiary okrętu.

– Do diabła, musi mieć z pięćset stóp długości. Dobry Boże, nie pozwól mu zanurkować. Weź go na niższą wodę, chcę go mieć z ukosa. – W podnieceniu wyrzucał zdanie po zdaniu. Cessna zbliżała się do okrętu podwodnego od rufy, lecąc nad dziwnym podwójnym kilwaterem, charakterystycznym dla jednostek w kształcie cygara pływających na powierzchni. Pilot Cessny nigdy dotąd nie widział okrętu podwodnego, toteż ogrom „Podornego” nie przeraził go tak jak operatora. Mimo wszystko było coś przerażającego w arogancji, z jaką ten kolos pruł swoim poddartym dziobem wzburzone morze.

Kamera zaterkotała.

– Zataczaj pan krąg w prawo i lecimy znowu za nim!

– krzyknął operator, obracając się na siedzeniu, żeby wciąż mieć w wizjerze potężny okręt podwodny.

Cessna przemknęła nad „Podornym” na wysokości pięćuset stóp, przechylając się mocno przy zakręcie. Operator odwrócił się i celując obiektywem dotknął głowy pilota.

– Hej, weź pan to z mojego ucha!

– Prawy zakręt i za nim, tak nisko i tak wolno, jak tylko możliwe. Jezus, on nic chyba sobie z nas nie robi!

Było to najbardziej nietrafne twierdzenie, jakie w swoim życiu wypowiedział. Kapitana Liczńskiego bardzo niepokoiła obecność tego małego, jednomotorowego, dwukadłubowego samolotu. Toteż gdy nadlatywał ponownie od strony rufy, żeby nad nimi przelecieć po raz drugi, wydał rozkaz, żeby coś z nim zrobiono.

— Niżej! — krzyknął operator, wycelowując obiektyw kamery przez przednią szybę. – Na miłość boską, widać jego wyrzutnie rakiet!

Pilot przypuszczał, że mówi o podwójnym szeregu dwudzies-

tu kolistych placków z tyłu za kioskiem.

– Wolniej!

Dał się słyszeć wesoły, świergotliwy dźwięk sygnalizujący przekroczenie przez Cessnę granicy nośności.

– Jeśli zejde jeszcze niżej, to po prostu zwalimy się do morza! – warknął pilot.

Samolot śmignął po raz drugi nad okrętem podwodnym.

Operator gorączkowo zmieniał obiektywy.

— Ale też wybrał pan sobie moment na rozbieranie tej pańskiej idiotycznej kamery – utyskiwał pilot.

– Obiektyw szerokokątny. O, cholera! Zerwałem gwint.

Musi pan rzucać tak tą Cessną?

Na pomoście pojawił się drugi mężczyzna. Obaj mieli twarze zwrócone w stronę samolociku.

– Patrzą na ciebie, mała – powiedział operator. – Utrzymuj ją pan równo, to będziemy mogli zrobić parę ładnych ujęć.

Cessna przemknęła nad „Podornym” po raz trzeci i zakręciła tak ostro, że zbliżyła się do granicy nośności.

Operator wymontował szerokokątny obiektyw z korpusu kamery i nałożył obiektyw zmiennoogniskowy.

– Dobra, teraz podchodzimy z boku. Tak wolno, jak się da. Muśnij pan kołami wodę albo coś w tym rodzaju.

– Gdybym to zrobił, zwalilibyśmy się do morza, i to na plecach — burknął pilot, ale przymknął przepustnicę i poderwał dziób Cessny, tak że samolot ledwo utrzymywał prędkość lotu.

– Piękny... piękny – szeptał operator, gdy olbrzymi sowiecki okręt podwodny robił się w jego wizjerze coraz większy. Nakierował obiektyw na dwu zauważonych przez siebie mężczyzn. Jeden z nich trzymał coś na ramieniu, coś, co chyba już kiedyś widział. Co to, do diabła, takiego? Był zbyt podniecony swoim łupem, żeby myśleć racjonalnie.

– Co też on takiego trzyma? – dopytywał się pilot.

Cessna podchodziła do „Podornego” pod kątem, żeby zmniejszyć prędkość zbliżania się. Operator nastawiał zmiennoogniskowy obiektyw, tak by utrzymać stale w kadrze okręt podwodny w całej okazałości. Widział, jak człowiek na pomoś-

cie wycelowuje rurę trzymaną na ramieniu. Gdzieś w jakimś zakamarku mózgu zadźwięczał mu dzwonek alarmowy – żołnierze egipscy podczas wojny arabsko-izraelskiej w siedemdziesiątym trzecim!

Z pomostu okrętu coś błysnęło. Pilot dostrzegł ten błysk.

– Co to było?

Operator nie odpowiedział. Był zawodowym fotografem.

Jego świat to ten widziany w wizjerze. I jako profesjonalista, filmował tak długo, póki się ten świat nie rozpadł.

Rozdział drógi

12

Dwadzieścia minut po północy zniknął kilwater „Oriona”. Sherwood drzemał na leżaku na ciemnym i całkowicie opustoszałym pokładzie rufowym, osłonięty nadbudówką statku przed strumieniem” śruby „Oriona” płynącego z prędkością czterdziestu mil na godzinę. Czteryście mil w lewo od niego rozciągało się zachodnie wybrzeże Afryki Południowej, a cztery jardy na prawo chichotała jakaś niewidoczna parka. Otworzył oczy i popatrzył na księżyc. Dla niektórych, jak przypuszczał, była to romantyczna sytuacja – luksusowy statek pasażerski, tropikalna noc i księżyc iskrzący się na fali, dodający swoją luminescencję do pobłyskującego poświatą kilwateru.

Tylko że kilwater zniknął.

Sherwood zaintrygowany wychylił się z leżaka do przodu.

Fenomenalna prędkość „Oriona” wytwarzała widowiskowy kilwater – smuga świetlistej turbulencji ciągnęła się przez morze aż po widnokrąg. Teraz nie było nic, tylko dziwna, błotnista w kolorze zmacona woda, która niemalże przestała już odbijać księżycowe światło. Przeszedł przez pokład do relingu i popatrzył w dół na jeden z wielkich wirów tworzących się wokół „Oriona” z powodu jego nieprawdopodobnej prędkości. Właśnie wtedy zwrócił uwagę na ten zapach – wilgotny, nie dający się wprost określić, który tak dobrze poznał w ciągu trzech lat. Zapach wywołujący ciarki, a, jak mówił Oaf, zdolny nawet zabić smród krwi i tłuszczu patroszonego wieloryba na

statku-przetwórnici.

– Lód – zauważył ktoś tubalnym głosem obok niego.

Sherwood podskoczył, po czym się uspokoił. Wielki Norweg potrafił poruszać się bezszelestnie jak kot.

– Myślałem, że nos płąta mi figle – mruknął Sherwood, zły, że go zaskoczono.

Oaf potrzęsnał swoją siwą grzywą i oparł się na relingu. Obaj wpatrywali się w żółty ślad na wodzie, obrócenii plecami do dziobu „Oriona”.

– Żadnych figli, Sherwood. To lód jak się patrzy. Zostawiam Julię i idę na przód. Czysta noc. Żadnego lodu. Chociaż to niemożliwe. Nie w tej części oceanu. Ale czuję go dobrze.

Szukam cię. Twoja kabina pusta, więc przypuszczam, że jesteś tu.

Oaf błysnął zębami, które przywodziły na myśl głazy Stonehenge.

– Myślę dobrze, co, Sherwood?

– Kiedy poczułeś po raz pierwszy ten lód?

– Piętnaście minut temu. Może więcej.

Sherwood popatrzył zaskoczony na górującego nad nim kolosa. – Piętnaście minut temu? I przez cały ten czas go czułeś?

– Mam dobry węch – odparł z prostotą Oaf. – A teraz kilwater przestaje świecić. To źle, Sherwood. Bardzo źle.

Sherwood już miał go spytać, co ma na myśli, kiedy pokład gwałtownie się uniósł. Na przodzie rozległ się straszny trzask, a po nim seria ogłuszających uderzeń, która z prędkością ekspresu jakby rozpruwała statek. Siła przyspieszenia ujemnego byłaby rzuciła Sherwooda na nadbudówkę, gdyby mocarne I ramię Oafa nie objęło go w pasie i nie przytrzymało niczym imadło. Reling, którego się Sherwood uchwycił drugą ręką, I załamał się pod jego ciężarem, gdy „Orion” wszedł na mieliznę i stanął. Rozpylone fale waliły w statek na całej długości, komasując się w jedną długotrwałą eksplozję, która, jak się wydawało, trwać miała wiecznie. Ludzie krzyczeli. W powietrzu zaroilo się od lecących leżaków, kawałków lin – wszystkiego, co nie było przytwierdzone. Sherwood oszołomiony i nie

rozumiejący, co się dzieje z jego uporządkowanym światem, zobaczył parę zakochanych wypadających ze swojej kryjówki, kiedy pokład przemienił się w zbocze wybuchającego wulkanu. Mężczyzna przeleciał przez relingi i spadł, chyba na pokład spacerowy. Dziewczynie udało się na moment uchwycić jakiegoś wspornika, ale siła upadku i ostre pochylenie pokładu oderwały ją od niego – runęła do żółtego oceanu, który, jak się Sherwoodowi wydawało, pędził w jego stronę. Oaf coś krzyczał, trzymając go w uścisku niczym anakonda, tak że ledwie mógł, oddychać. Potężne kolejne eksplozje mieszały się ze strasznymi, przenikliwymi krzykami dobiegającymi z szybów klimatyzacyjnych. Pokład znowu się uniósł.

– Pędem do łodzi ratunkowych! – Oaf przekrzykiwał kakofonię zgrzytów prutego metalu dochodzącą jakby z dołu.

– Słyszysz mnie, Sherwood? Łodzie ratunkowe!

Sherwood skinął głową. Czuł się dziwnie obojętny pośród otaczającego go pandemonium.

Oaf złapał jego ręce i zmusił go, by objął palcami reling.

– Złap się mocno, zanim puszczę!

Sherwood pokiwał głową i uchwycił się mocno relingu. Czuł, że Oaf rozluźnia ucisk w pasie, i niemal uległ panice widząc chorobliwie żółte morze na końcu pochyłości, którą stanowił teraz pokład. Strach zmobilizował w nim niespodziewane rezerwy siły, ze zgrozą przywarł do relingu.

– W porządku? – krzyknął Oaf.

Sherwood usłyszał własny skrzek: – W porządku.

– Znajdę linę i dobrą łódź ratunkową. Wróć.

Księżyc schował się za chmurę. Sherwood, uczepony relingu, którego nie mógł dojrzeć, wykrzyknął przerażony.

Oaf jednak odszedł. Sherwood pozostał zupełnie sam,

towarzyszyły mu jedynie rozpaczliwe krzyki dochodzące z szybu klimatyzacyjnego. Potem usłyszał słaby męski głos przemawiający przez głośnik – jakby wzmacniacze nie działały jak należy. Dokuczały mu wykręczone boleśnie kostki, gdy próbował utrzymać się w pozycji pionowej na niemiłosiernie przechylonym pokładzie. Słyszał szamotaninę i rozpaczliwe krzyki tych,

których zmiatało za burzę.

Pokład znowu zadrżał. W pobliżu ktoś krzyczał przez tubę, ale nie udało mu się zrozumieć co. Coś o łodziach ratunkowych. Księżyc wyłonił się zza chmury. Sherwooda ogarnęła znów panika, kiedy zobaczył, jak stromy zrobił się pokład. Coś go uderzyło. Oskoczył przerażony. Była to lina.

– Przełóż ją pod reling i rzuć z powrotem do mnie
– rozległ się spokojny głos Oafa z czeluści zejściówki prowadzącej na rufowy pokład spacerowy.

Sherwood po omacku odszukał jedną ręką koniec liny.

Zwinął ją niezdarnie i rzucił w stronę, skąd dochodził głos Norwega. Poczuli, że lina się naprężyła.

– Okej – zawołał Oaf. – Teraz schodzisz po linie jak małpa.

Nogi ześlizgnęły się Sherwoodowi, gdy puściwszy reling złapał się liny. Na wprost spadał, a na wprost zsuwał się po linie, póki wielkie palce Oafa nie zacisnęły mu się na przedramieniu i nie postawiły go na nogi.

Rakieta świetlna wystrzeliła wysokim łukiem w czarne niebo i eksplodowała olśniewającym światłem zawieszonym na spadochronie. W górę poszybowały jeszcze cztery rakiety. Pod wspaniałymi magnezjowymi słońcami noc zamieniła się w dzień.

– Tak lepiej – warknął Oaf. – Idź za mną, Sherwood.

Znalazłem tratwę.

Sherwood potykał się schodząc po schodach za Norwegiem. Stwierdził, że stąpa po krawędzi schodów, które były teraz właściwie poziome.

– Dziwne, cholera, nie? – rzucił przez ramię Oaf.

Sherwood znów się ześlizgnął. Oaf zaklął po norwesku i podniósł go, jakby był szmacianą lalką. Dotarł do końca schodów i odwrócił się ku lewemu pokładowi spacerowemu, który prawie nad nim górował, tak ostry przechył na prawą burzę miał „Orion”. Tu Oaf opuścił na dół Sherwooda i wskazał na górę. Ujrawszy wyraz oszołomienia na jego twarzy, przytknął zwinięte dłonie do ucha geologa usiłując przekrzyczeć wrzask pasażerów i ryk przenośnych głośników z prawej burty.

– Musimy iść na górę! Chodź, Sherwood. Ruszajmy się, i to już!

Sherwood podążył wzrokiem za palcem Oafa na koniec pokładu, gdzie rysowało się nadburcie na tle oświetlonych światłem księżycy chmur.

– Nie tamtędy! – zawołał Sherwood. – Wszystkie łodzie ratunkowe będą tam stłoczone!

– Tratwa! – odkrzyknął Oaf. – Łatwo ją spuścić obok statku. I żadnych wielkich oszalałych tłumów. Chodź! „Orion” nagle się kiwnął. Z drugiego końca statku znowu doleciały krzyki. Sherwood przestał zwracać na nie uwagę i skupił się na wspinaniu na pokład spacerowy. Drogę na górę ułatwiały liczne listwy tikowe wyrwane z pokładu na skutek kolosalnego skręcenia wywołanego długością kadłuba statku. Dotarł do żurawika szalup ratunkowych i podciągnął się do pozycji stojącej. Ta bezkresna, jak mu się wydawało, wspinaczka go wyczerpała. Oaf przesadził nogę przez nadburcie i trzymał się liny ginącej w ciemnościach.

– Potrzebuję pomocy, Sherwood! Ty też ciągnij.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Sherwood zaparł się na żurawiku i próbował uchwycić linę. Pociągnięcie przez Norwega liny szarpnęło mu ręce do tyłu.

– Wyciągaj, do cholery – warknął Oaf.

Następne rakiety świetlne poszybowały z wdziękiem w niebo i eksplodowały światłem. Sherwooda bolały ramiona od wspinania się po pokładzie, ale ciągnął z całej siły. Do końca liny przyczepiony był wielki tobół tratwy ratunkowej.

– Musimy przetrzucić ją przez burtę, Sherwood. Pospiesz się!

– Chryste, Oaf. Na miłość boską, odpocznijmy minutkę.

– Na odpoczywanie będzie mnóstwo czasu na tratwie. Podnieśli we dwójkę ciężki płócienny tobół na nadburcie i trzymali go tam przez chwilę, podczas gdy Oaf szukał linki zaworu powietrza.

– Dobra, Sherwood. Teraz na trzy podważamy. Raz... dwa... trzy...

Tobół spadł obok kadłuba „Oriona” ciągnąc za sobą linkę.

Sherwoodowi zrobiło się słabo, gdy spojrzął wzdłuż nachylonego boku „Oriona” na groźne, żółte morze. Tobół wylądował na powierzchni z plaśnięciem, którego nie mogli usłyszeć. Oaf szarpnął linkę. Unoszący się na wodzie tobół napęczniał zrywając specjalnie słabe zapięcie. Pojawiła się jaskrawopomarańczowa tkanina, rozpostarła się utworzywszy krąg o średnicy jakichś dwudziestu stóp. Następnie krawędź kręgu zaczęła się napępiać gazem, aż powstały ścianki o wysokości dwu stóp. Oaf przywiązał kawałek liny do żurawika szalup ratunkowych i rzucił drugi jej koniec na tratwę.

Sherwood potrząsnął głowę. – Ja tego nie zrobię, Oaf. Idź beze mnie.

Oaf wepchnął Sherwoodowi linę do rąk. – Zjeżdżaj na dół, gnojku, albo cię zrzucę!

Sherwooda ogarnęła rozpacz. – Oaf, nie mogę!

Wielki Norweg groźnie ruszył w jego stronę. – Idziesz pierwszy. I to już, do cholery! Odwróć się tyłem i nie gap się na dół!

Sherwood wziął linę i niechętnie przerzucił nogi przez nadburcie. Zrobił to, co mówił Norweg, i zdumiał się stwierdzwszy, że zejście nie jest tak trudne, jak sądził. Popuszczał linę niczym alpinista, schodząc tyłem po długim stoku ku oczekującemu żółtemu morzu. Przeżył jeden okropny moment, gdy wzrastające w kadłubie ciśnienie wysadziło tuż obok niego z siłą eksplozji szkło iluminatora.

Po dwóch minutach jego stopy przekroczyły linę wodną i stwierdził, że stąpa po miedzianej przeciwporostowej powłoce, widocznej na skutek mocnego przechyłu „Oriona”. Lina drgnęła. Popatrzył w górę. W dół ku niemu sunęło potężne ciało Oafa. Usłyszał głucho dudnienie martwej fali uderzającej w stalowy kadłub. Tratwa ratunkowa wznosiła się i opadała. Sherwood wybrał moment następnego podrzutu i odważył się zeskoczyć z ostatnich sześciu stóp do wody.

Intensywny ziąb poraził go niczym piorun. Zaparło mu dech. Zaczął machać rękami w panice, przerażony, że gwałtowny szok przyprawi go o zemdlenie.

Oafowi udało się wylądować na tratwie. Dobrze świadczyło ojej producentach to, że mimo swoich dwustu osiemdziesięciu funtów wagi nie przebił tkaniny podłogi. Chwycił Sherwooda za kołnierz i pasek od spodni i wciągnął na tratwę. Geolog leżał na podłodze wykaszując lodowatą morską wodę, której się opił, a Oaf walił go w plecy niczym kowalskim młotem o mały nie roztrzaskując mu żeber.

– Na rany Chrystusa, Oaf – wybełkotał Sherwood.

– Zabijesz mnie.

Podniósł się do pozycji siedzącej. Nie przebywał w wodzie nawet trzydziestu sekund, a trząsał się niczym osika i zęby mu szczękały jak kastaniety. Oaf podniósł rękę, którą zanurzył w wodzie, żeby złapać Sherwooda.

– Cholernie zimna, co, Sherwood? Trzy minuty i człowiek nie żyje.

Sherwood potrząsnął głową. Jeśli ktoś wypowiadał opinię, z którą się nie zgadzał, gotów był się sprzeczać, niezależnie od stanu, w jakim się znajdował. „Ty się będziesz kłócić jeszcze na łożu śmierci”, mawiała jego matka.

– To Prąd Benguelski, Oaf. Zimny, ale nie aż tak.

– Prąd nie ma tu, do cholery, znaczenia – burknął Oaf.

– Jest taka zimna, że zabija. I to bardzo szybko.

– Słuchaj – oponował Sherwood. – Jeśli mówię...

! – Ja mówię, że wrzucę cię z powrotem – warknął Oaf.

– Cholernie mało tu miejsca.

Sherwood spojrział niepewnie na olbrzyma. Oaf błysnął w szerokim uśmiechu rzędem swoich olbrzymich zębów. Geolog zapomniał o przeraźliwym zimnie i roześmiał się.

– Dzięki ci za wszystko, co zrobiłeś, Oaf.

Norweg się nie odezwał, tylko patrzył w górę na przechylający się ogrom „Oriona”.

– Czy nie byłoby lepiej odepchnąć tratwę? – zapytał Sherwood.

– Szkoda babki – rzekł Oaf. – Cholernie dobra. Niewiele takich na świecie.

– Myślisz o pannie Hammond?

Oaf kiwnął głową. Rakieta świetlna wypaliła ślad na niebie. Bryła statku przypominała Sherwoodowi wielki celtycki kurhan grzebalny.

– Dobra w czym? – zapytał, na pół domyślając się, jaka będzie odpowiedź Norwega.

W odpowiedzi Oaf szeroko, znacząco się uśmiechnął.

Sherwood usłyszał jakieś słabe krzyki. Spojrzał w górę zwalistej pochyłości. Tratwę ratunkową zniósł na odległość pięćdziesięciu jardów od statku. Wspięcie się na niego nie wyglądało już na rzecz możliwą. Zwrócił się do Oafa.

– Byliśmy wszyscy na pokładzie G po tej stronie, prawda?

– Zgadza się. Dwa pokłady poniżej linii wodnej.

Sherwood wskazał na widoczną linię wodną „Oriona”.

– Ale teraz powyżej linii wodnej, Oaf. Czy mamy w tym zasobniku jakąś latarkę?

Oaf otworzył zasobnik z niezbędnym do przeżycia ekwipunkiem. Wyciągnął izolowany dach tratwy i podtrzymującą go konstrukcję z aluminiowych rurek, dwa składane wiosła, pojemniki z wodą i paczki z prowiantem. Były tam nawet jakieś przybory wędkarskie. Latarka znajdowała się w wodoszczelnym woreczku, który Sherwood rozerwał.

– Ruszaj się, Oaf. Wiosłujemy z powrotem do „burty”.

Rozłożyli wiosła i skierowali tratwę z powrotem do „Oriona”. Sherwood poświecił latarką w iluminator wysadzony przez ciśnienie powietrza. Lina, której używali przy schodzeniu po burcie, leżała obok niego.

– Co też chodzi ci po głowie, Sherwood?

– Jestem na tyle mały, że przecisnę się przez ten iluminator i sprawdzę jej kabinę. Który to był numer?

– G12. Zwariowałeś, Sherwood? Może ona jest w łodzi ratunkowej.

– A może nie – Sherwood wepchnął latarkę do kieszeni.

Oaf potrząsając głową kierował ostrożnie tratwą ratunkową na wody kipiące wokół kadłuba statku. Sherwood przytrzymał się napełnionej gazem ścianki tratwy, czekając na okazję, żeby złapać linę.

Fala uniosła tratwę. Sherwood sprężył się i skoczył. Jego palce zacisnęły się z wdzięcznością wokół liny. Wciągnął się na burzę „Oriona”, gdy tymczasem Oaf obserwował to zaniepokojony, odpędzając wiosłem tratwę od kadłuba statku. Dwie minuty później Sherwood wsunął się w otwór iluminatora i zniknął. Zaskoczyła go cisza na statku. Zapalił latarkę i zszedł w dół do przejścia. Pokład E był wyludniony. Odnalazł zejściówkę stewardów i schodził ostrożnie po diabło pochyłych schodach — stawiając stopy w kącie stopnicy, a częściowo na przegrodzie. Pokład G, dwa poziomy niżej pokładu E, przedstawiał się zupełnie inaczej. Z kabin dolatywały straszne jęki. Usłyszano, że się na czymś potknął. I nagle uwięzieni pasażerowie zaczęli krzyczeć i tłuc w drzwi. Spróbował jedno z nich otworzyć, ale były zablokowane z powodu przechylenia się statku. Szedł pochylonym przejściem utrzymując jedną ręką równowagę, a latarką trzymaną w drugiej oświetlał numery kabin. G20... G19... Jeszcze siedmioro drzwi do G12. Brodził po kostki w wodzie. Ciepłej wodzie. Poświecił latarką. Przejście chyliło się w dół. Kabina G12 znajdowała się na końcu i woda sięgała do klamki drzwi. Dlaczego, u licha, woda była tu ciepła, skoro na zewnątrz tak lodowata? Wtem przypomniał sobie o reaktorach jądrowych. Przy G12 woda sięgała mu do pasa. A co, jeśli jest radioaktywna? Cóż, jeśli nawet, to i tak za późno. Spróbował otworzyć drzwi. Były zablokowane albo zamknięte. Załomotał w nie.

– Julia?

Usłyszał płacz.

– Julia! Czy drzwi są otwarte?

Podniecony głos odpowiedział: – Nie. Zablokowały się. Nie mogę ich otworzyć.

– Naciśnij klamkę w dół! – zawołał.

Usłyszał jakiś ruch w kabinie. Klamka opadła w dół.

– Tak jak teraz? – W głosie Julii pojawiła się nadzieja.

Bezskutecznie naparł na drzwi. To nic nie da – woda udaremniała niemal cały jego wysiłek, a mocne pochylenie

„Oriona” sprawiało, że musiałyby je podsadzić. Może kopniak... Oparł się plecami o grodz naprzeciwko i walnął w drzwi dwiema nogami. Uderzenie odczuł na całym ciele. Drzwi wpadły do środka. Julia krzywiąc się z bólu usiłowała rozewrzeć palce, pokaleczone i krwawiące od rozpaczliwego szarpania i łomotania w nie ustępujące drzwi. Padła w ramiona Sherwooda.

– Myślałam, że nikt nie przyjdzie – powiedziała głosem ochrypłym od krzyku.

„Orion” drgnął. Przechylił się powiększył. Sherwood chwycił Julię za rękę i pociągnął do przejścia. Nie zważał na grymas bólu na twarzy dziewczyny, gdy jego dłoń zacisnęła się na jej pokiereszowanych palcach.

– Chodź! Nie mamy czasu!

™

W ciągu dziesięciu minut dotarli do otwartego iluminatora. Sherwood wyjrzał. Oaf zamontował na tratwie zewnętrzną powłokę. Teraz otworzył pokrywę wejściową i spoglądał w górę. Na widok Sherwooda uśmiechnął się z ulgą.

– Czy zdołasz zejść na dół po linie? – spytał Sherwood Julię.

Popatrzyła w dół i zobaczyła wzburzone, żółte morze walące w bok statku. Głos jej nie zdradzał przerażenia. – Tak, myślę, że tak.

– Jesteś pewna?

Ton Sherwooda ją zaniepokoił, nic jednak nie powiedziała i pozwoliła, żeby jej pomógł przy przeciskaniu się przez iluminator. Huczące morze stłumiło okrzyk bólu, który wydała chwytając linę. Ręce miała śliskie od krwi i byłaby się nie utrzymała, gdyby Sherwood jej nie złapał widząc, jak wyglądają.

– Będziesz musiała się mnie trzymać! – krzyknął.

– Dam sobie radę! – odkrzyknęła wyzywająco.

– Nie dasz. Pozwól, że ja będę schodził w dół po linie, a ty się mnie trzymaj! – Otoczył ją ramieniem w pasie i robił, co mógł, by wisząc na linie i trzymając ją drugą ręką naśladować chwyt na sposób imadła użyty przez Oafa. – Trzymam cię.

– Dyszał. – Odciąż mnie trochę, jeśli zdołasz, ale trzymam cię.

Julia postanowiła się nie spierać. Mimo pokaleczonych dłoni przekonana była, że zdołałaby zejść na linie bez pomocy. Oczywiście, czuła wdzięczność do Sherwooda za to, że po nią wrócił, ale dotknęło ją, że tak automatycznie potraktował ją jak bezsilną kobietę.

Sherwood podtrzymując Julię rozpoczął szarpiające nerwy, mozolne, wolne schodzenie tyłem na linie. Był już w połowie drogi w dół, gdy zalało ich lodowate morze tłukące w kadłub statku. Uderzenie zwaliło Sherwooda z nóg. Przestraszywszy się rozluźnił uścisk ręki obejmującej w pasie dziewczynę. W momencie gdy chciał złapać ją znowu mocniej, uderzyła w nich kolejna fala. Sherwood krzyknął, gdy zabrała Julię. Przez ułamek sekundy myślał, że dziewczyna spadnie na tratwę miotaną falami. Mocne ramiona Oafa wyciągnęły się ku niej. Było jednak za późno. Bezsilne ciało Julii spadło głową w dół w kipiel żółtej wody.

Sherwood pozwolił, by ostatnich kilka jardów liny zdarło mu palce do krwi. Oaf wykrzykiwał pod jego adresem nieprzyzwoitości. Wylądował na olbrzymim Norwegu w chwili, gdy tamten obracał tratwę kierując ją w tę stronę, gdzie wpadłszy do wody zniknęła Julia.

Oaf przeklął siarczyście Sherwooda i zrzucił go z pogardą na dno tratwy. – Głupi skurczybyk! – warknął.

– Nic nie mogłem poradzić! Przysięgam, że nie! – bronił się zrozpaczony Sherwood.

Oaf nie słucał. Przepatrywał miodowego koloru morze w poszukiwaniu Julii, wykrzykując jej imię. Dostrzegł coś i zaczął gorączkowo wiosłować rękami, nadal obrzucając Sherwooda mieszaniną angielskich i norweskich przekleństw.

– Chodź, Sherwood! Pomóż!

Sherwood chwycił wiosło, ale Oaf wyrwał mu je z rąk i wyrzucił.

– Odpychaj szczątki rozbitego statku!

Szukali przez pięć minut – niekiedy Oaf rozbełtywał lodowatą wodę, tak energicznie, że aż wytwarzała się piana, gdy tylko coś przyciągnęło jego wzrok, podczas gdy Sherwood

zajmował się szczątkami, które przedostawały się do morza niczym krew z ukrytej rany w kadłubie skazanego na zagładę statku.

Nagle Oaf zawołał: – Hej, Sherwood! Wiosłujmy co sił w rękach!

Nie było czasu na wyłowienie wiosła. Idąc w ślady Oafa Sherwood zanurzył obie ręce w wodzie. Ziąb był wprost przerażający. Wydawało mu się, jakby odjęto mu zgrabiałe ręce. Nasilił się wiatr. Wzbijał bryzgi piany ze wzburzonego morza i smagał twarz niczym okrutny bykowiec. Sherwood na oślep młócił rękoma wodę, wykonując posłusznie jak android wykrzykiwane przez Oafa rozkazy.

Norweg rzucił do przodu swoje niedźwiedziowate ciało.

Nastąpiła seria gwałtownych ruchów.

– Okej, Sherwood. Przestań wiosłować. Opuść szybko klapę.

Sherwood otworzył oczy. Na dnie tratwy leżała Julia. Jej twarz miała ten sam odcień upiornej bladości, jaki raz już widział u technika z laboratorium Rosenthala, którego sprowadzono z powrotem do bazy w trzy dni po tym, jak zepsuł mu się ratrak. Pełen poczucia winy patrzył na smętnie i cicho spoczywającą Julię.

– Czy ona nie żyje, Oaf?

– Daj spokój, do diabła – warknął Norweg. – Zamknij porządnie klapę. Niech nie wieje.

Sherwood zaciągnął suwak klapy i wysunął na całą długość rurkę podpierającą dach, żeby mieli więcej miejsca nad głowami. Potem zawiesił na niej latarkę.

Oaf podtrzymywał głowę Julii na zgiętym ramieniu. Delikatnie rozwarł jej szczęki. – Uciskaj jej klatkę piersiową za każdym razem, gdy przestanę dmuchać – rozkazał Sherwoodowi.

Zmusił ją do otwarcia ust i zakrył je swoimi. Wdmuchiwał powietrze do jej płuc przez trzy sekundy, po czym uniósł swoją wielką głowę. Sherwood nacisnął na mostek.

– Obiema rękami! – ryknął Oaf. – I mocno! Nie uszkodzisz jej!

Oaf wdmuchnął następną porcję powietrza i Sherwood nacisnął oburącz na klatkę piersiową Julii. Jej piersi ziębiły przez cienki materiał bluzki. Słychać było słaby syk powietrza uchodzącego ze zlodowaciałych warg dziewczyny.

Potem Oaf znowu wdmuchiwał powietrze, a Sherwood uciskał raz jeszcze jej klatkę piersiową.

Obaj utrzymywali stały rytm. Wdmuchnięcie... ucisk... Wdmuchnięcie... ucisk.

Upłynął kwadrans. Wichura się nasilała. Usiłowali nie zwracać uwagi na szalone podskoki tratwy.

Wdmuchnięcie... ucisk... Wdmuchnięcie... ucisk...

Minęły jeszcze dwie dramatyczne minuty.

Sherwood wyczuł pod obolałymi palcami drgnienie życia.

Podniósł głowę i wykrzyknął podniecony: – Ona żyje, Oaf! Żyje! Wyczułem bicie serca!

Oaf warknął: – Biło cały czas. Pierwszy raz zaczyna bić mocniej.

Sherwood zapomniał o swoim poczuciu winy. Uśmiechnął się uszczęśliwiony do Norwega. – Nic jej nie będzie, prawda? Będzie żyć!

– Może tak. Może nie – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Oaf zaczął rozpinać guziki przy bluzce Julii.

– Co ty robisz, do diabła? – spytał z irytacją Sherwood.

– Ty ściągasz džinsy, Sherwood. – Oaf popatrzył na geologa. — No szybko! Chcesz, żeby umarła?

Pochylił Julię do przodu i ściągnął z niej bluzkę, podczas gdy Sherwood mocował się z zamkiem błyskawicznym nasiąkniętych wodą spodni. Oaf zniecierpliwiony klął. Sherwood uchwycił dwa brzegi materiału i szarpnięciem sforsował rozporek. Oaf pociągnął Julię na dno tratwy, a Sherwood zrolował jej spodnie do kolan. Twarz Julii zastygła w masce śmierci. Przez przezroczystą skórę widać było siatkę żyłek. Ściągnął jej džinsy ze stóp. Oaf zerwał opakowanie z koców znajdujących się w zasobniku i rozłożył jeden z nich na podłodze tratwy. Zdjął z siebie sweter i koszulę i zaczął ściągać spodnie.

– Rozbieraj się, Sherwood. Ze wszystkiego.

– Dlaczego?

– Rób, nie gadaj. Trzeba ją ogrzać. Jedyne nadzieje.

Sherwood wyplątywał się z ubrania, podczas gdy Oaf tulił do siebie Julię. Olbrzymi Norweg obrośnięty był gęsto włosami od klatki piersiowej po pachwinę. Uśmiechnął się do Sherwooda rozkładając koce.

– Szybko, Sherwood. Weźmiemy tę małą między siebie, co?

Ten nagle zrozumiał. Wiedział z krótkiego kursu, na który uczęszczał przed wyjazdem na Antarktydę, gdzie uczono, jak się zachowywać, by przeżyć w trudnych sytuacjach, że ciepło to najlepszy ratunek przy przechłodzeniu organizmu. Jakkolwiek nie wspomniano tam metody Oafa.

Oaf wyciągnął swoją goryla rękę i zgasił latarkę. Sherwood położył się przy Julii. Leżała zwrócona do niego twarzą, wtulona jak dziecko w łuk twardego ciała Norwega. Sherwood zaczął dygotać, gdy lodowata nagość jej ud i piersi wysączyła łakomie ciepło z jego ciała.

Leżał bez ruchu w ciemnościach, wsłuchując się w sztorm i stentorowy oddech swego towarzysza. Na ramieniu czuł uspokajający powiew powietrza z płuc Julii. Położył jej rękę na brzuchu. Bliskość dziewczyny przypomniała mu o żonie. Zastanawiał się, co też porabia Clare, czy w Kapsztadzie będzie czekać na niego list, czy przeżyje... czy Clare będzie to obchodzić... Bardzo prędko usnął.

13

(Naczelny Dowódca Sił Sprzymierzonych NATO)

Zadaniem SACLANT-a w czasie wojny jest zapewnienie bezpieczeństwa całego obszaru atlantyckiego i niedopuszczenie do wykorzystania go przez nieprzyjaciela.

Dla admirała Brandona Pearsona, SACLANT-a, sprawa była na tyle pilna, że z kwatery głównej w Norfolk, w stanie Wirginia, poleciał swoim bombowcem, Hustlerem, prosto do Ośrodka Badawczego Zwalczenia Okrętów Podwodnych w La Spezia w północno-zachodnich Włoszech.

Jego, jak również adiutanta, kapitana Rolfa Hagana z Pie-

choty Morskiej, zabrano natychmiast do biblioteki „podpisów” okrętów podwodnych i puszczono im zapis sonarowy zrobiony przez USS „Eurekę”, okręt do badań oceanograficznych amerykańskiej marynarki wojennej, z odległości siedmiuset mil.

Analiza komputerowa wykazała, że „podpis” – dźwiękowy odcisk palca – tajemniczego okrętu podwodnego zgadzał się z nagraniami dokonanymi na obszarze próbnym sowieckiej marynarki wojennej na Morzu Białym. Był to przekonujący dowód, że jeden z rosyjskich kolosów – 18 000-tonowych atomowych okrętów podwodnych klasy Delta II – grasował na południowym Atlantyku.

Pearson żuł koniec cygara słuchając rozmaitych ekspertów. Spierali się co do motywów, którymi kierowali się Sowieci wysyłając to najnowsze, generalnie nie sprawdzone paskudztwo na jego skrawek oceanu. Admirał był to tęgi, silny mężczyzna koło sześćdziesiątki, o spokojnym wyglądzie i swobodnym, wzbudzającym zaufanie obejściu, twardy, pomysłowy i sprawny. Niezależnie od swoich umiejętności dowódczych wykazywał wręcz niebywałą znajomość sowieckiego sposobu myślenia, nabytą podczas pobytu w Moskwie, gdzie się znalazł jako młodszy oficer łącznikowy w końcowej fazie drugiej wojny światowej. Mówił też płynnie po rosyjsku.

Martwił się. Nie potrafił znaleźć żadnego powodu, który usprawiedliwiłby wysłanie przez Rosjan Deltę II na Atlantyk. Jaki to miałoby sens, skoro jej rakiety SS-N-8 mają taki zasięg, że mogą zniszczyć każde miasto w Ameryce Północnej bez opuszczenia przez nią wód terytorialnych? Dlaczego ryzykować nie wypróbowaną broń taką jak Delta II tam, gdzie za daleko na pomoc w razie jakiegoś zagrożenia?

Hagan odczytywał jego myśli. W tej dziedzinie kapitan zyskał już wprawę. – Może to próba prowokacji, sir?

Pearson potrząsnął przecząco głową. – Do tego celu używają swoich starych „Listopadów”, które nie tyle alarmują Pentagon, ile prasę.

Martwiło go coś jeszcze: okręt podwodny słyszano na tym samym obszarze, na którym zatonął „Orion”. Nagryzł cygaro

i podsumował sytuację czterowyrazowym zdaniem, które zwięd-
łością nadrabiało brak finezji: – Te skurczybyki coś szykują.

14

SARAH (system radionawigacyjny używany w ratownictwie na
morzu)

Plawny, niewyrotny automatyczny nadajnik radiowy, który
emituje stały sygnał naprowadzający na międzynarodowej często-
tliwości sygnałów zagrożenia 2182. Standardowe wyposażenie
łodzi ratunkowych, tratw ratunkowych itp.

Blade światło dzienne przesączało się przez pokrywę tratwy
ratunkowej, kiedy Sherwood się obudził. Nie miał czucia w ciele,
sparaliżowało go mordercze zimno, które przeniknęło przez
izolowaną podłogę i zaczynało się teraz do niego dobierać.

Nie czuł nic, prócz tego, że tratwa jest nieruchoma.

Niebezpieczny punkt osiąga się wówczas,
gdy nie czuje się już zimna.

Twarz Julii była śmiertelnie blada. Usta miała otwarte, ale
nie oddychała.

– Ona wkrótce umrze – powiedział Oaf.

Wygląd Julii przeraził Sherwooda.

Odsunął się i położył rękę poniżej jej piersi na sonej teraz
skórze. Wyczuł ledwie uchwytny ruch, gdy płuca napełniały się
stopniowo powietrzem.

Uniósł delikatnie jej powiekę. Szare, matowe oko spogląda-
ło na niego oskarżycielsko.

Zabiłeś mnie. Pozwoliłeś, żebym spadła do
morza przez twoje idiotyczne męskie „ja”,
izabięśmnie.

Oaf był ubrany. Ukląkł przy Julii. — Wkrótce umrze

– powtórzył. – Wielka szkoda, Sherwood. Dobra mała do
pieprzenia.

Sherwooda ogarnęła wściekłość z powodu słów Norwega.

Zajrzał w jego głęboko osadzone niebieskie oczy pod krzaczas-
tymi brwiami i już miał coś zjadliwego powiedzieć, ale tamten
wyczuł tę jego złość i rzucił szybko: – Ja ją tylko pieprzyłem,
a ty ją upuściłeś.

m

Sherwood się nie odezwał. Okrył kocami zimne ciało dziewczyny i zaczął się ubierać.

W

! – Jak długo spałem?

– Trzy godziny.

– Na miłość boską, Oaf, możemy chyba coś z nią zrobić.

Nie będziemy chyba siedzieć i patrzeć, jak ona umiera.

Oaf wzruszył ramionami — Nie ma ciepła. Ona bardzo potrzebuje ciepła.

– O. Chryste Panie, moglibyśmy spalić jakieś pływające kawałki drewna czy zrobić coś w tym guście!

– Nie ma ich – odparł z prostotą Oaf.

– A słońce, idioto?

– Nie ma słońca.

Sherwood wyciągnął rękę, żeby odsunąć suwak dachu.

— Wypuścisz ciepło — zwrócił mu uwagę Oaf.

Sherwood zignorował to, odsunął zamek błyskawiczny i wstał.

Norweg miał rację, słońca nie było. Tylko gęsta, nasyciona mgła. Tak gęsta, że stała nieruchomo. Widoczność nie sięgała nawet czterech jardów. Miodowego koloru woda była dziwnie spokojna i cicha.

Na oceanie zawsze jest fala.

– Co, do cholery, zrobimy, Oaf? – zapytał z rozpaczą Sherwood.

– Włączyłem SARAH – odpowiedział Oaf. Stał koło Sherwooda i wskazał na mały pływający nadajnik radiowy przyczepiony do tratwy sznurem. – Zapomnieliśmy o nim jak te głupki. Może ktoś go niedługo usłyszy.

– Jak daleko jesteśmy od „Oriona”?

– Zniosło nas porządnie na północ podczas sztormu

– odparł Oaf.

– Nic nie klapuje – rzekł Sherwood przypatrując się wodzie. – Temperatura wody, ta paskudna żółta ciecz, cokolwiek to jest. A teraz mgła i brak fali.

Oaf splunął. – Ludzie określają dla morza reguły, Sher-

wood. A morze zawsze je łamie, co?

Z mgły doleciał jakiś dziwny odgłos. Jakby świst przypominający oddech jakiegoś niewyobrażalnego morskiego potwora. Sherwoodowi włosy zjeżyły się na głowie.

– Co to takiego, do cholery?

Dźwięk się powtórzył, przygotowując go o ciarki – na wprost jęk, na wprost westchnienie mrozące i tak już zmrożoną krew w żyłach. Potem nastąpiła cała seria donośnych plusków, stawały się one coraz głośniejsze, jakby jakiś złośliwy stwór z głębin morskich płynął w ich stronę długimi, stanowczymi rzutami ciała. Z lodowatej mgły, stamtąd, skąd dobiegał przerażający odgłos, rozchodziły się zmarszczki. Tratwa ratunkowa zaczęła się kołysać w rytmie, który przyspieszał się wraz z uderzeniami serca Sherwooda. W sękatej, wielkiej jak bochen pięści Oafa pojawił się ostry jak brzytwa nóż wielorybnicy. Sherwood jednak wiedział, że nie zda się on na nic wobec tego, co zbliżało się do nich z mgły.

15

TAT 12 (Transatlantycki Kabel Telefoniczny)

Telekomunikacyjny kabel o czterech tysiącach kanałów łączący Afrykę Południową ze Stanami Zjednoczonymi. Taki sam typ kabla jak w Linii Stany Zjednoczone — Francja TA T 6. Adiustator dziennika „New York Times” patrzył na tekst depeszy wystukiwany przez dalekopis.

...MGŁA WCIĄŻ UNIEMOŻLIWIA LOTNISKOWCOWI ŚMIGŁOWCOWEMU SPRINGBOK WYSŁANIE SWOICH MASZYN WASP NA POSZUKIWANIE ROZBITKÓW Z ORIONA. POŁUDNIOWOAFRYKAŃSCY SPECJALIŚCI OD POGODY ZASKOCZENI UPORCZYWOŚCIĄ I GĘSTOŚCIĄ MGŁY, KTÓRA POKRYWA DZIESIĘĆ TYSIĘCY – POWTARZAM – DZIESIĘĆ TYSIĘCY MIL KWADRATOWYCH OCEANU W REJONIE KATASTROFY. PREMIER AFRYKI POŁUDNIOWEJ OKREŚLIŁ DZISIAJ KATASTROFĘ ORIONA JAKO NAJSTRASZNIJSZĄ KATASTROFĘ MORSKĄ W CZASACH POKOJU OD ZATONIĘCIA TITANICA. RZECZ-

NIK...

Dalekopis zatrzymał się nieoczekiwanie w środku zdania. W tym samym czasie w całych Stanach Zjednoczonych zostały przerwane bez uprzedzenia wszystkie rozmowy telefoniczne z Afryką Południową, a tysiące rozłożonych abonentów po obu stronach Atlantyku krzyczało bez skutku do słuchawek.

Dziesięć minut później został również przecięty kabel telegraficzny.

Rozgorączkowani technicy w Kapsztadzie i Nowym Jorku przeprowadzili próby rezystencji po swoich stronach obu kabli i ustalili, że do niewytłumaczalnego przerwania doszło na głębokości trzech mil w Basenie Przylądkowym, koło Afryki Południowo-Zachodniej. Było to zdumiewające, ponieważ kable oceaniczne spoczywają zazwyczaj bezpiecznie w ciemnościach i spokoju w przepastnych głębinach oceanu. Mogą zostać uszkodzone tylko wtedy, gdy wystawione są na włoki i fale pływu w płytkich przybrzeżnych wodach przy szelfie kontynentalnym.

A jeszcze dziwniejszy był fakt, że kable zostały przecięte mniej więcej w tym samym miejscu, skąd „Orion” wzywał pomocy.

16

– Zamknij się, Sherwood! – syknął Oaf. – Zamknij się, to posłucham!

Sherwood zamilkł. Czuł się głęboko urażony sposobem, w jaki Norweg przejął bez pytania dowództwo.

Oaf wsłuchiwał się uważnie w przerażające, niesamowite j— «

odgłosy dolatujące z mgły. Nagle zaklął, wpakował długi wielorybiczny nóż z powrotem do pochwy i rzucił jedno ze składanych wiosł swemu towarzyszowi.

– Szybko, Sherwood! Wiosłujmy co sił w rękach!

Sherwood usłuchał tego rozkazu więcej niż chętnie. Chwycił wiosło i zanurzył je w wodzie. Strach dodał mu sił. Okręcił tratwę.

– W tę stronę! – krzyknął Oaf, wskazując kciukiem w kierunku, skąd dochodził dźwięk, i zatrzymując tratwę wiosłem.

Sherwood wytrzeszczył oczy. – Zwariowałeś?

Oaf nie zwracał na niego uwagi, wywijał wiosłem i bez większego trudu popychał tratwę do przodu. – Szybko, ty leniwy gnojku! Wiosłuj co siłą! – Nagle złapał Sherwooda za ramię i pogroził mu podniesionym wiosłem: – Wiosłuj co siłą albo cię zabiję!

Sherwood zrobił, co mu kazano, i zabrał się do wiosłowania, pozostawiając sterowanie Oafowi.

Okropny dźwięk był coraz bliżej.

Upłynęła minuta morderczego wysiłku rąk. Oaf zasignalizował Sherwoodowi, żeby przestał wiosłować. Tymczasem sam nadstawiał uszu wsłuchując się w mgłę, odwracał głowę w lewo i w prawo, żeby ustalić kierunek. Dźwięk nasilał się, a zmarszczki zamieniły się w niewielkie falki.

– Jak daleko? – spytał szeptem Sherwood. Jak daleko, ale do czego?

– Mgła płąta figle – odparł Oaf. – Może bardzo blisko.

Wiosłuj.

Sherwood wiosłował. Rzucił okiem na Julię. Twarz dziewczyny zmieniała barwę, ze śmiertelnie bladej robiła się szara jak popiół. Był pewien, że teraz Julia już nie żyje.

Przerażające odgłosy oddychania dochodziły z odległości mniejszej niż dwadzieścia jardów. Nagle rozległo się gwałtowne syczenie, jakby supergorąca para uchodziła przez wentyl bezpieczeństwa. Po nim dźwięk deszczu. Gorące kropelki pary wodnej przysnęły Sherwoodowi na twarz. Wiosłował nie myśląc. Doszedł do takiego punktu, kiedy już nie dbał o to, co się z nim dzieje.

Rozległ się przeraźliwy plusk. I sekundę później tratwa ratunkowa omal się nie wywróciła w oszalałej kipieli wzburzonej wody.

Sherwood upadł na Julię. Słyszał krzyk Oafa: – Wiosłuj z powrotem! Wiosłuj z powrotem!

Tratwa zawróciła – Oaf gorączkowo wiosłował do tyłu. Wtedy Sherwood zobaczył upiorne dwugłowe widmo z dziecinnych koszmarów wynurzające się z mgły. Przez przerażającą chwilę unosiło się wysoko w górze w rozproszonym przez mgłę świetle. Mimo przerażenia w Sherwoodzie odezwał się naukowiec: oceniał, że te dwie głowy mają co najmniej szesnaście stóp długości. Oaf krzychał coś do niego na cały głos, ale był zbyt zafascynowany tą zjawą, by zainteresować się, o co chodzi. I znów rozległo się wściekłe syczenie. Dwie głowy opadły w dół i zanurzyły się do wody. Usiłując nie spaść z podskakującej tratwy, Sherwood uświadomił sobie nagle, co to za widziadło.

Dwudzielny ogon płetwala błękitnego.

– Płyńmy do jego boku! – krzychał Oaf.

Tratwa ratunkowa, którą Oaf sterował za pomocą wiosła, okrążyła z dala ogon olbrzymiego ssaka.

– Dlaczego w ogóle zbliżać się do tego cholernika? – krzyknął Sherwood.

Oaf nie odpowiedział. Sterował tratwą płynąc wzdłuż boku płetwala. Sherwood był przekonany, że Norweg oszalał. Wiedział, że Oaf widział niejednego, w czasach gdy był wielorybnikiem i lemmerem, po co więc ryzykować i zbliżać się do płetwala, kiedy ten może lada chwila zanurkować.

– Bliski śmierci – rzekł Oaf, jakby czytał myśli Sherwooda.

Ogon uniósł się ponownie. Ospałym ruchem.

– Skąd wiesz?

– Bo wyrzucony na brzeg. Łamie go własna waga i nie może normalnie oddychać.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy na płytkich wodach?

– spytał z niedowierzaniem Sherwood.

Oaf wskazał na wygięte cielsko wieloryba, przypominające przewrócony statek. – Dużo go wystaje z wody. Na pewno wyrzucony na brzeg.

Z nozdrzy zwierzęcia dmuchnęło powietrze. Sherwood poczuł na twarzy ciepły, cuchnący podmuch. Odór był przeraża-

jący. Niemal przyprawił go o mdłości.

– Jak, do cholery, możemy być na pływającej wodzie?

Oaf wzruszył ramionami – To ty jesteś naukowcem, Sherwood. – Wyszarpnął z uchwytu aluminiową rurkę podtrzymującą dach, obejrzał ją uważnie, po czym wygiął próbując jej wytrzymałość.

Tratwa dryfowała w pobliżu absurdalnie małego oka zwierzęcia i oko to spoglądało bez zainteresowania na Sherwooda.

Oaf oparł się dla równowagi jedną ręką o bok płetwala, w drugiej ręce trzymał aluminiową rurkę. Jednym szybkim ruchem wbił w oko swój naprędce sklecony harpun. Po czym umieściwszy dłoń na końcu rurki wsadził ją na całą długość, pięciu stóp, głęboko w ciało zwierzęcia.

Przez kilka sekund nie działo się nic – pewno płetwal już i tak był bliski śmierci. A potem wolno, z gracją ogon uniósł się wysoko w mgłę i zamiast plasnąć na powierzchnię wody, delikatnie opadł, ledwie ją marszcząc.

– Już martwy – oznajmił niepotrzebnie Oaf. Nie czekając na odpowiedź wskoczył na grzbiet wieloryba, wyciągnął nóż i wbił ostrze w grubą warstwę wielorybiego tłuszczu.

Sherwood obserwował go zafascynowany.

– Czy myślisz, że zdołasz to wszystko zjeść, Oaf?

– Przywiąż tratwę do harpuna – warknął Norweg.

Sherwood to zrobił. – A co teraz?

– Daj tu dziewczynę, ale migiem.

– Dlaczego, na miłość boską?

Oaf sobie nie przerywał. Wepchnął rękę głęboko w wielkie jak góra cielsko. – Zrób to.

Sherwood usiłował jak najdelikatniej przyciągnąć bezwładne ciało Julii do ścianki tratwy i unieść je w górę. Koc z niej spadł, próbował go więc umieścić z powrotem na dawnym miejscu.

– Nie trzeba koca – rzekł Oaf. Sięgnął w dół i zakrwawioną ręką chwycił Julię pod pachę.

We dwójkę wciągnęli nagie, zlodowaciałe ciało na grzbiet wieloryba.

– Potrzebuję wiosła i kamizelki ratunkowej – oznajmił Oaf wskazując na tratwę.

Kiedy Sherwood mu je podał, wziął wiosła i kamizelkę i wyciągnął rękę. – Pomożesz mi – wyjaśnił.

Sherwood uchwycił śliską od wielorybiej krwi rękę i został wciągnięty na grzbiet płetwala obok Julii.

Norweg powrócił do wyrąbywanego przez siebie z martwego cielska płata wielorybiego tłuszczu o powierzchni dwu stóp kwadratowych. Sherwood obserwował zafascynowany szybkie ruchy noża przecinającego tkankę. Oaf kiwnął na niego.

– Trzymaj i ciągnij.

Sherwood pomógł oderwać gruby płat tłuszczu. Dolna warstwa przyjemnie grzała zlodowaciałe palce. Zaczynał się domyślać, co planuje jego towarzysz. Nóż wniknął głęboko, uwalniając mocny, obrzydliwy odór i kłęby pary, bo zimna mgła mieszała się z ciepłym powietrzem buchającym z rany. Oaf zrobił długie nacięcie i rozwarł je za pomocą jednego z wiosła. Sherwood postąpił tak samo używając drugiego. Przez szeroko rozwarte nacięcie z wnętrza martwego płetwala wypłynęło życiodajne ciepło.

Norweg wziął głęboki oddech i trzymając nóż nad głową zanurzył się w cielsko wieloryba. Rozległ się donośny gulgot. Oaf wysunął się tyłem z otworu. Górna połowa jego ciała pokryta była gorącą, gęstą krwią, która tryskała z przeciętej arterii niczym z cysterny, napełniającej ziejącą ranę.

Norweg otarł krew z oczu i wskazał na kamizelkę ratunkową.

– Żeby nie zsunęła się za głęboko. Przymocuj jej to wokół cycków.

Sherwood przywiązał Julii kamizelkę ratunkową wokół klatki piersiowej i we dwójkę opuszczali ją nogami w dół w tę gorącą, parującą krwawą kipieli, póki nie zanurzyła się w niej po szyję. Oaf wyjął wiosła, tak że brzegi nacięcia zacisnęły się obejmując mocno Julię.

– Wiele lat temu – powiedział Oaf, spłukawszy krew z włosów lodowatą morską wodą – pewien człowiek próbuje

iść po tłustym lodzie i się zapada. My go wyławiamy na pół martwego jak tę dziewczynę. Zabijamy słonia morskiego, rozcinamy brzuch i wsadzamy gościa do środka. — Uśmiechnął się. — Dwie godziny później on znowu chodzi, ale śmierdzi potwornie całe tygodnie.

Sherwood siadł na grzbiecie płetwala. Nie zdawał sobie do tego momentu sprawy, jak jest wyczerpany.

– Powinieneś prowadzić u Rosenthala kurs przeżycia w trudnych warunkach, Oaf.

Ten w odpowiedzi splunął do morza. — Te ciamajdy nigdy nie wyściubiły nosa z Londynu.

Sherwood obserwował twarz Julii. Była spokojna. — Czy będzie żyła?

– Dowiemy się za godzinę. Może później. Może wcześniej. Okazało się, że wcześniej.

Ku ich zachwytowi twarz jej zaczęła nabierać koloru po trzydziestu minutach.

Pięćdziesiąt minut po umieszczeniu jej w płetwale, kiedy nasilające się słońce rozpraszało mgłę, Sherwood uświadomił sobie, że Julia ma otwarte oczy. Przyglądała mu się z dziwnym wyrazem zaciekawienia na twarzy. Kamizelka ratunkowa pod brodą ograniczała jej widoczność, widziała jedynie niebo. Głos Julii, kiedy się odezwała, wydał mu się najsłodsza muzyką:

– Halo, panie Sherwood. Gdzie ja jestem?

Sherwood gapił się na nią. — Oaf! — wrzasnął. — Oaf!

Norweg wygramolił się z tratwy na grzbiet wieloryba i ukląkł przy dziewczynie. Pocałował ją, obejmując potężnym ramieniem za głowę. Sherwood odwrócił się, pozwalając im na rozmowę w cztery oczy. Ciekaw był, jak Oaf powie Julii o wielorybie. Zazdrość należała do uczuć, których nie zaznał w życiu. Wgramolił się z powrotem do tratwy. Oaf zdążył jeszcze przedtem wyczyścić metalową rurkę, której używał jako harpuna. Sherwood włożył ją teraz do wody sondując głębokość. Zanim lodowata woda sięgnęła mu do ramienia, koniec rurki dotknął dna morskiego. Zapomniał o zazdrości, gdyż nie dawała mu spokoju zagadka tak wielkiej płycizny w Basenie Przyłądkowym. Dno badane aluminiową rurką sprawiało wra-

zenie skalistego, ale mimo to obracał rurkę w nadziei, że uda mu się wydobyć próbkę.

Z oddali doleciał huk silnika. Oaf zaczął podskakiwać na wielorybim grzbiecie i machać jaskrawożółtymi wiosłami jak flagami sygnalizacyjnymi.

Sherwood podniósł głowę. Mgła gwałtownie znikła. Na bladym niebie ujrzał Waspa, śmigłowiec do zwalczania okrętów podwodnych, ze znakami Królewskiej Marynarki Wojennej.

Wytracał wysokość naprowadzany przez sygnały radiowe automatycznej radiołatarni SARAH na tratwie ratunkowej.

Sherwood przypomniał sobie, żeby popatrzeć na koniec rurki, którą sondował dno morskie, kiedy śmigłowiec znajdował się w odległości dwustu jardów. Jego oddech topił dziwną, szarobiałą, proszkowatą substancję. Wlepił w nią wzrok. Upłynęło kilka sekund, zanim sobie uświadomił, co to takiego.

Lód.

17

Prezenter wiadomości ITN przybrał poważny wyraz twarzy, odkładając słuchawkę telefonu.

– Dowiedzieliśmy się właśnie – powiedział do kamery i piętnastu milionów widzów w całym Zjednoczonym Królestwie – że śmigłowiec z brytyjskiej fregaty „Snów Tiger”, która pomaga marynarce Republiki Południowej Afryki w poszukiwaniach i akcji ratunkowej, odnalazł dzisiaj jeszcze trzech rozbitków.

Admirał Howe drzemał przed telewizorem. Głos prezentera wiadomości nie docierał do jego umysłu. Wyczerpał go długi dzień w jego biurze w Whitehall. W pokoju panował jak zwykle nieład.

– ...trójka ta: Julia Hammond, biolog morski z południowego Londynu, Glyn Sherwood, geolog z Kingston nad Tamizą, i Oaf Johansen, norweski inżynier, wracali do Southampton po trzech latach pracy w zespole badawczym Rosenthala na Antarktydzie...

Na wzmiankę o Bazie Rosenthala admirał ocknął się nagle i wysłuchał z uwagą reszty słów prezentera. Wzmianki o Rosen-

thalu w środkach masowego przekazu zawsze wprawiały go w zdenerwowanie.

– Niezwykle wysoka śmiertelność spowodowana jest wyjątkowo niską temperaturą wody. Oceanografowie z Republiki Południowej Afryki przyznają, że zaskoczyła ich obecność lodu w morzu i temperatura wody wynosząca zaledwie jeden stopień powyżej zera...

Ostatnie zdanie oszołomiło starego wilka morskiego. To niemożliwe, pomyślał. Nie po siedmiu miesiącach.

Potem przypomniał sobie, jak dużo zniknęło lodu. Artretyczna ręka mu drżała, kiedy wykręcał numer porucznika Abbotta.

— A teraz pozostałe wiadomości...

Admirała nie interesowały jednak te pozostałe wiadomości.

18

George Fielding, zazwyczaj wyrozumiały emerytowany prezes banku w Houston, zaczynał odczuwać irytację z powodu uprzejmej indagacji, jakiej został poddany przez oficera marynarki wojennej Republiki Południowej Afryki w szpitalu okrętowym na krążowniku „Springbok” płynącym do Simonstown.

– Niech pan posłucha – powiedział Fielding. – Weźmy to znowu od początku. Wkrótce po północy udałem się na pokład spacerowy zaczerpnąć powietrza. Był zamknięty dla pasażerów, ale przeszedłem przez linę.

– Czy nie było zimno? „Orion” płynął z szybkością trzydziestu siedmiu węzłów.

– Chłodno – odparł Fielding. – Nie zwracałem jednak na to uwagi.

– I ujrzał pan ten biały tor na wodzie trzydzieści minut po północy?

– Tor torpedy – poprawił Fielding.

Oficer marynarki westchnął.

– Tuż przed rozerwaniem statku – dokończył Fielding.

– Proszę pana – rzekł poważnym tonem oficer marynarki

– chciałbym, żeby pan to sobie przemyślał. Jest pan absolutnie

pewien, że to, co pan widział, to był tor torpedy?

– Tak – odparł Fielding bez najmniejszego zawahania.

Już na wstępie oznajmił, że widział tor torpedy, a nie należał do ludzi zmieniających zdanie. Może biały szlak, który pojawił się na powierzchni na kilka sekund, był trochę nieregularny, ale czytał gdzieś, że nowoczesne torpedy nie muszą podążać prosto – kluczą naprowadzając się na swój cel. Tygodnik „Time” wydrukował o nich artykuł, co najzupełniej wystarczało George'owi Fieldingowi.

— Czy widział pan bańki powietrzne z tego... tego toru torpedy?

Bankowiec popatrzył na oficera marynarki ze zdumieniem.

– Do diabła, nie. Od kiedy nowoczesne torpedy używają sprężonego powietrza?

Teraz z kolei oficer wytrzeszczył oczy. Spoglądał zaskoczony na Fieldinga.

– Wiem, jak wyglądają tory kawitacyjne – oświadczył z uporem Fielding. – Byłem na starej „Nevadzie” w Pearl Harbor.

Oficera ogarnęła rozpacz. Niezmiernie ważną rzeczą było przekonanie tego nie najmłodszego już biznesmena, że może się mylić. Za dwadzieścia godzin „Springbok” wpłynie do portu. Simonstown roiło się od dziennikarzy z całego świata, którzy palili się do robienia wywiadów z rozbitkami z „Oriona”.

– Panie Fielding, m u s i a ł się pan pomylić. Dlaczego ktoś miałby torpedować „Oriona”?

– Widziałem błyszczkę – upierał się Fielding. – Jeśli to nie torpeda eksplodowała przy kadłubie „Oriona”, to dlaczego na powierzchni miotało się stado na wprost ogłuszonych wielorybów miażdżąc wszystkie łodzie ratunkowe prócz naszej?

Kiedy godzinę później siedząc w mesie oficer pisał swój meldunek, do pomieszczenia wszedł jego dowódca i opadł zmęczony na fotel. Popatrzył przez salę na oficera.

– Rozmawiałem dopiero co z tym japońskim producentem koszul. 'Był wtedy na lewym pokładzie spacerowym. Nigdy by

pan nie uwierzył, jaką to wymyślił idiotyczną przyczynę zatopienia statku.

– Mówi, że „Orion” został storpedowany, co? – zaryzykował oficer.

Dowódca popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Pański powiedział to samo?

Jego podwładny pokiwał głową ze smutkiem.

– Cholera – szepnął dowódca.

19

Był to pierwszy wypadek, kiedy oficer prasowy miał do odczytania spoconym dziennikarzom, stłoczonym w dusznej sali konferencyjnej w Simonstown, pisemne oświadczenie. Jak dotąd, konferencje prasowe przypominały sesje, na których zadawano liczne pytania i udzielano nieformalnych odpowiedzi. Trzymał w ręce kartkę papieru i czekał, aż umilknie pstrykanie migawek aparatów fotograficznych. Nigdy przedtem o to się nie troszczył. Kiedy zaczął mówić, słychać było tylko cichy warkot kamer filmowych.

– Dzisiaj o dziesiątej rano zdecydowano przedłużyć poszukiwania i akcję ratunkową o kolejne siedemdziesiąt dwie godziny, to znaczy do tej samej pory w środę. Liczba uratowanych wciąż wynosi dwadzieścia trzy osoby. Dwadzieścia znajduje się na krążowniku „Springbok” i trzy na brytyjskiej fregacie „Snów Tiger”. Oba okręty dysponują znakomitym sprzętem medycznym, tak więc uratowani mogą pozostać na ich pokładzie aż do odwołania poszukiwań.

Z ust wszystkich dziennikarzy wyrwał się głośny jęk.

– Czy to znaczy, że nie będziemy mogli zobaczyć ich przez te trzy dni? – dopytywał się jakiś Kanadyjczyk.

–; Tak – odpowiedział oficer prasowy.

– A gdybyśmy wynajęli śmigłowiec? Moglibyśmy wylądować na krążowniku albo na fregacie?

Oficer prasowy uśmiechnął się ze skromnością. — Przykro mi, panie i panowie, ale podczas poszukiwań urzędnicy do obsługi śmigłowców na obu okrętach są zarezerwowane całkowicie dla własnych maszyn.

Odpowiedź była zbyt gładka. Dziennikarze zawsze robią się podejrzliwi, gdy myślą, że uniemożliwia im się dostęp do jakiejś sprawy.

Ralph Kroll z CBS News miał pytanie:

– Jakich poszukiwań, panie Stevasson?

Oficer prasowy wyglądał na zdziwionego. – Nie rozumiem pańskiego pytania, panie Kroll.

Kamery skierowały się w stronę Krolla.

– Proszę mi wybaczyć, panie Stevasson – rzekł przyszpilając swoją ofiarę Kroll, mający trzydziestoletnią praktykę w postępowaniu z urzędnikami – ale odniosłem wrażenie, że nie są to takie prawdziwe poszukiwania, że wasze śmigłowce kierują się tylko na radiolatarnie łądzi ratunkowych.

Oficer prasowy się zawahał. Myślał gorączkowo. – W morzu mogą być ludzie – oznajmił.

Kroll pokiwał głową. – Nieżywi z powodu przechłodzenia, jak tych siedemset trupów, które do tej pory znaleźliście?

Oficer prasowy uśmiechnął się. – Istnieje jeszcze możliwość, że gdzieś pływa łądź ratunkowa i osoby znajdujące się w niej nie włączyły radiolatarni, bo nie wiedziały, co to takiego.

– Oczywiście, że istnieje taka możliwość – przyznał Kroll.

– Nawet jeśli instrukcje obsługi umieszczono na każdej z nich w ośmiu językach, w tym po chińsku i po japońsku.

– Nie wolno nam ryzykować ludzkiego życia – oświadczył ze spokojem oficer prasowy.

Kroll coś zapisał, a potem spojrział na oficera prasowego z wyrazem zakłopotania.

– Czy jest jakiś związek między zatonięciem „Oriona” a przybyciem tu, do Simonstown, naczelnego dowódcy sił sprzymierzonych NATO na Atlantyku?

W sali zapanowało poruszenie. Dziennikarze patrzyli na Krolla z wdzięcznością.

–: Nie mam informacji – oznajmił oficer prasowy zerkając na zegarek.

Niewinne niebieskie oczy Krolla otworzyły się szeroko.

– Może więc mógłbym pana oświecić, panie Stevasson.

Jego Hustler stoi w bazie powietrznej Simonstown. Rozpoznałem znaki na ogonie. Gdziekolwiek leci ten Hustler, tam też leci admirał Brandon Pearson. Może byłby pan tak dobry i powiedział nam, dlaczego tu jest, i wybawił wszystkie te panie i panów od konieczności przekazywania do kraju kupy spekulacji na ten temat.

Odpowiedź oficera prasowego zabarwiona była wrogością.

– Nie mam informacji.

Senne niebieskie oczy nadal się w niego wpatrywały. – I jak przypuszczam, dotyczy to również wiadomości o moim koledze, którego samolot zaginął?

– Przykro mi, nie mam informacji.

Na twarzy Krolla w dalszym ciągu gościł ten sam wyraz.

– Czy zechciałby pan skomentować pogłoskę, że śmigłowiec południowoafrykańskiej marynarki wojennej odnalazł na morzu wrak lekkiego samolotu i wydobył zwłoki? Zwłoki trzymające kamerę filmową?

– Nie mam informacji – powtórzył z uporem oficer prasowy.

Nikt w sali mu nie uwierzył.

20

Przy balustradzie Pałacu Buckinghamskiego w sześciu rzędach tłoczyli się turyści, oglądając zmianę warty. Porucznik Abbott przyspieszył, wyprzedzając załadowany autobus. Admirał Howe siedział obok niego zatopiony w myślach, nie zwracając niemal uwagi na podejmowane ze strony Abbotta próby nawiązania konwersacji.

– Myślę wciąż o tym siedmiomiesięcznym okresie między zaginięciem okrętu podwodnego a zatonięciem „Oriona” – powiedział Abbott. – Nie rozumiem, jak w ogóle łód mógł spowodować to zatonięcie. Nie wydaje się to po prostu możliwe.

– Słyszałeś tych ekspertów – mruknął Howe, wyrывая się z zamyślenia.

– Ale oni się nie angażowali, sir.

– A czy kiedykolwiek się angażują?

Umilkli obaj. Abbott skoncentrował się na prowadzeniu

samochodu. Admirał Howe odezwał się pierwszy.

– Na szczęście ta trójka uratowanych z Rosenthala jest na jednym z naszych okrętów.

Abbott obrócił głowę. – Jakie to ma znaczenie, na jakim są, sir? Oni nie wiedzą o tej bazie.

— Nie, nie wiedzą niczego. Ale nie podoba mi się to, że personel Rosenthala mógłby być narażony na sondaże prasowe i na rozgłos.

– Przecież nikt z uratowanych nie widział niczego niezwykłego, sir.

– To jest tylko opinia Południowoafrykańczyków. Ta trójka uratowanych to wykwalifikowani obserwatorzy, a jedna z tych osób, dziewczyna, jest oceanografem. Nie chcę, by

70

JAMES FOLLETT

rozmawiali z prasą, na pewno zaś nie z takimi wścibskimi dziennikarzami, jakich agencje posłały do Simonstown.

– Jak więc, pana zdaniem, mamy ich powstrzymać, sir?

– Potrzebujemy czasu na tę operację, James.

– Ale jak możemy ich powstrzymać przed rozmawianiem z dziennikarzami? – Abbott obstawał przy swoim.

Admirał Howe zastanawiał się przez chwilę. – Będziemy musieli coś wymyślić, James.

21

Pearson i Hagan rozpoznali twarz martwego kamerzysty CBS News natychmiast, gdy ją odsłonięto.

– Tak, znam go – rzekł Pearson. – Znam większość ich z widzenia. Ale pan nie ściągnąć mnie tu chyba po to, żebym zidentyfikował zwłoki, panie Differing?

— Nie, panie admirale. — Minister obrony RPA czekał, aż odejdzie lekarz z marynarki wojennej. — Wie pan, ten gość trzymał swoją kamerę tak mocno, że lekarze, którzy badali zwłoki, musieli mu wyłamać dwa palce. Teraz wiemy dlaczego. Film zniszczyła woda morska przedostawszy się do kasety, ale końcowe cztery metry mogą pana przekonać, że warto było przylecieć.

Minister mówił szybko, wymawiał spółgłoski twardo, po kapsztadzku. Odprowadził swoich gości do drzwi. – Pokazali mi, jak używać projektora w sali wykładowej.

– O retę – mruknął pod nosem Pearson w ciemnościach.

– Mam identyczne uczucie – rzekł Differing.

Na ekranie widniała sowiecka Delta o 18 000 ton wyporności. Obraz był tak żywy, tak sugestywny, że Pearson niemal słyszał huk rozbijanej fali, gdy potężny okręt podwodny pruć z pogardą masywnym dziobem w kształcie pocisku wzburzone żółte morze. Już sama jego fizyczna obecność ożywiała lodowatym tchnieniem nadgryzione zębem czasu, na wpół zapomniane terminy ukute w niespokojnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych: śmierć totalna... nadzabijalność... strefa rażenia... główna strefa rażenia...

Najazd kamery na dwóch mężczyzn na kiosku. Jeden wycelował cylindryczne urządzenie w zbliżającą się kamerę.

– Sowiecki Grał, odpalany z ramienia przeciwlotniczy pocisk rakietowy — powiedział Differing. — Niech pan patrzy uważnie.

Zobaczyli jasny błysk na kiosku okrętu podwodnego.

Differing zwolnił obroty projektora. Zmianie każdego kadru towarzyszyła seria trzasków. Cienka jak ołówek, błyszcząca rakietka pomknęła ku kamerze. Ekran pociemniał.

Pearson przerwał ciszę, która zapanowała, kiedy Differing zapalił światła. – Dłaczego, do diaska, nie dał nurka, zanim nadleciał samolot? Oni mają urządzenia radarowe działające poza horyzontem.

– Proste – rzekł Differing. – Przypuszczamy, że ciągnął linę holowniczą o długości kilku tysięcy metrów z przecinaczem kabla telefonicznego na końcu.

Pearson zapalił cygaro. – I musieli użyć swojego najnowszego i największego okrętu podwodnego?

– Z pewnością. Sześć mil liny holowniczej zabiera dużo miejsca.

– Szkoda, że na tym kawałku filmu nie widać jego rufy

– zauważył sarkastycznie Pearson.

Differing uśmiechnął się blade. – Może pan otrzymać

oryginał tego filmu, panie admirale. Pańscy eksperci również potwierdzają, że został zniszczony przez wodę morską. Jedyna rzecz, jakiej nie potrafimy wyjaśnić, to ten niezwykły kolor morza. Nie jest spowodowany złym wywołaniem, zachowaliśmy ostrożność.

Pearson zastanawiał się przez chwilę. – Czy rozmawialiście ze wszystkimi uratowanymi z „Oriona”?

— Z wszystkimi prócz trzech naukowców powracających z Antarktydy. Zabrała ich brytyjska fregata „Snów Tiger”.

Będą w Simonstown jutro.

– Chcę porozmawiać ze wszystkimi uratowanymi z „Oriona”, zanim wyciągnę wnioski, jakie wyciągnął pan, panie Differing.

Differing wyglądał na zasmuconego. – Opieramy się na relacjach dwu wiarygodnych świadków, panie admirale. Jeden z nich to pański rodak, który wie, co to znaczy być storpedowanym. A uratowani, którzy nie widzieli toru torpedy, opowiedzą panu wszystko, co trzeba, o stadzie wielorybów, które miotało się na powierzchni i roztrzaskiwało łożdzie ratunkowe. Oczywiście jest, że eksplozja nastąpiła na zewnątrz kadłuba „Oriona”.

– A ta lodowata woda, panie Differing? Ma pan odpowiednią teorię również na ten temat?

Minister obrony Republiki Południowej Afryki wzruszył ramionami. – Kaprysy natury, panie admirale.

Pearson rozkoszował się cygarem, troskliwie dobierając słowa.

– Zakładając, że to Sowieci zatopili „Oriona”, czy zapytał pan sam siebie, dlaczego mieliby zrobić coś tak bezsensownego?

– Pierwszego dnia ostatniej wojny zatopiono „Athenię”

– rzekł Differing. Milczał przez chwilę, zanim dodał beznamietnym tonem: – Jak się wydaje, to nowoczesny sposób rozpoczęcia ich w naszych czasach.

Rozdział trzeci

22

Po rozszyfrowaniu depeza, którą wystukał wysokiej często-

tliwości dalekopis brytyjskiej fregaty, brzmiała następująco:
ACQ LONDYN DO DOWÓDCY LEYSDOWNA,
SNÓW TIGER. GRATULUJEMY URATOWANIA PER-
SONELU ROSENTHALA. WAŻNE ŻEBY NIE MIELI
KONTAKTU Z PRASĄ LUB OSOBAMI POSTRONNY-
MI. NIE WRACAĆ DO SIMONSTOWN. POR. JAMES
ABBOTT W DRODZE DO WAS Z INFORMACJĄ. POZO-
STAĆ NA POSTERUNKU.

23

- Lód? – wykrzyknęła Julia. Roześmiałyby się, gdyby nie to, że Sherwood mówił serio. — Jesteś pewien?
- Wiem, jak wygląda lód — odparł.
- Nawet w rurce do podtrzymywania dachu?
Sherwoodowi nie chciało się odpowiadać. Julia nie miała mu tego za złe. Jako naukowiec nie wypowiadałby się, gdyby nie był pewien faktów. Patrzyła w zadumie na kilwater pieniaący się spod rufy fregaty, bacznie studiując jej tańczący cień na wzburzonej powierzchni. Przeprosiła Sherwooda, ale ten szybko ją zbył.
- To ja chcę cię przeprosić — powiedział.
- Za co?
- Za to, że puściłem cię do wody. To była dziecinada z mojej strony, że nie pozwoliłem ci spróbować zejść po tej linie. Julia roześmiała się, żeby zmniejszyć jego zażenowanie.
- Zapomnij o tym. Już przedtem puszczali mnie mężczyźni. Nie sądzę, żeby przydarzyło mi się to po raz ostatni. A zresztą nie doznałam żadnego trwałego uszkodzenia. W gruncie rzeczy lekarz okrętowy powiedział mi wątpliwy komplement stwierdzając, że jestem silna jak koń.
Sherwood się roześmiał. — Ale jaki koń!
- Julia jakby go nie słuchała. Zmrużyła oczy, żeby popatrzeć na słońce. — Czy mówiłeś komuś jeszcze o tym lodzie?
- spytała.
- Nie.
- Zwróciła znowu uwagę na Sherwooda. — Dlaczego nie?
- Nie sądziłem, żeby ktokolwiek mi uwierzył.
- To dlaczego powiedziałeś mnie?

- Myślałem, że ty może potrafisz zaproponować jakieś wyjaśnienie. Bo mnie nie udaje się nic wymyślić.
- Julia zastanawiała się przez kilka sekund, po czym spojrzała znowu na słońce. – J e ś l i to był lód, to bez sensu. Choć może to lód z „Oriona”? Poczekać chwilę... a te twoje próbki lodowe umieszczone w ładowni chłodzonej liniowca? Było tego lodu kilka ton, prawda?
- Tak, ale...
- Masz odpowiedź: pewno wraz z tratwą ratunkową dryfował jakiś zatopiony kawałek „Oriona” z twoimi próbkami, a ty wbiłeś rurkę do podtrzymywania dachu tratwy w jedną z nich. Proste. Podziękuj mi.
- Przypuszczam, że to możliwe wyjaśnienie – przyznał Sherwood.
- Powinieneś być mi wdzięczny za rozproszenie twoich obaw – powiedziała z uśmiechem Julia.
- Tylko że to nie wyjaśnia niezwykłego koloru morza ani jego temperatury bliskiej zera.
- Dam ci prawdziwą zagadkę do rozwiązania – rzekła Julia.
- Powiedz mi, dlaczego ten niedobitek naszej znamienitej kiedyś marynarki wojennej co trzydzieści minut przekręca się o kilka stopni w lewo, tak że płyniemy dokonując wielkiego okrążenia. Zaintrygowany Sherwood popatrzył na słońce. Było na niewłaściwym miejscu.

24

NORAD (Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Powietrznej)

Wspólna amerykańsko-kanadyjska organizacja obrony kontynentu północnoamerykańskiego przed niespodziewanym atakiem od strony rejonów polarnych.

Admirał Brandon Pearson był wściekły. Kapitan Hagan znalazł się pod ręką i można było wylać na niego gniew. To rzecz doprawdy niesłychana, żeby państwo należące do NATO odwołało się do klauzuli „pilnego interesu narodowego”, by wycofać statek bez wcześniejszego uprzedzenia.

— Żadnych wyjaśnień? — warknął.

– Nic, sir.

– Mówił pan Northwoodowi, że chce porozmawiać z tymi trzema uratowanymi, których zabrali na fregatę „Snów Tiger”?

– Tak, sir. Powiedzieli, że bardzo im przykro, ale „Snów Tiger” w tym momencie nie może powrócić do Afryki Południowej.

Pearson chrząknął. – Kłopoty ze strony tej ich cholernej lewicy, jak przypuszczam. Okej. Proszę mi załatwić śmigłowiec. Udam się tam osobiście.

Hagan się wahał. – Zanim pan to zrobi, sir, myślę, że powinien pan zobaczyć tę wiadomość z „Johnsona”. – Wyciągnął płożożółtą kopertę z depeszą. „Transportowiec zameldował, że przestało funkcjonować dziesięć zakotwiczonych na dnie pław radiohydroakustycznych zagrody na południowym Atlantyku.

Oni sugerują, żeby wypełnić luk jednym z detektorów 707 do wykrywania anomalii magnetycznych, należących do NORA-DU, zanim można będzie zainstalować na miejscu nowe pławy”.

Pearson obrócił się szybko, na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– Dziesięć pław?

Hagan twierdząco pokiwał głową. – Tak właśnie myślałem. Być może sowiecki okręt podwodny nie tylko przecinał kable telefoniczne.

Pearson myślał gorączkowo. Sowieci najwyraźniej coś szykowali. Coś wielkiego. Coś, co przyprawiało go o ciarki.

Dziesięć pław! Oznacza to, że w zaporze jest luka, przez którą może przepłynąć nie wykryta cała sowiecka marynarka wojenna. Przystąpił do wydawania rozkazów.

– Udaję się natychmiast na „Johnsona”. Niech im pan powie, żeby ich stanowisko dowodzenia sił uderzeniowych zostało postawione do mego przybycia w stan gotowości bojowej, a satelitarne bezpieczne łącza konferencyjne do Waszyngtonu, Norfolk, Mons i Northwood sprawdzono i oczyszczono z zakłóceń do natychmiastowego operacyjnego użycia. Zarządzam też gotowość AQ dla wszystkich SSBN-ów. Następnie poleci pan, kapitanie Hagen, na fregatę „Snów Tiger”

i pogada z tymi trzema uratowanymi. Wie pan, o jaki rodzaj pytań mi chodzi. To wszystko.

Hagan został odprawiony. Zasalutował i wyszedł.

Znalazłszy się za drzwiami gabinetu porządkował kłębiące się w głowie myśli. Sondując główne stanowiska pod swoim dowództwem admirał zarządzał alarm.

Alarm najniższego stopnia, być może nie potwierdzony.

Lecz mimo wszystko alarm.

25

CICHY BIEG

Stan na zanurzonej okręcie podwodnym, w którym hałas silników i ruchy załogi zredukowane zostają do minimum, żeby uniknąć wykrycia przez pasywny sonar.

„Podorny” szedł na ślepo na głębokości trzystu metrów, gdy zderzył się z lodowym masywem podwodnym.

Bez żadnego ostrzeżenia; przedni skanerowy sonar wyłączono, żeby zredukować hałas. Załoga nie mająca wachty, której surowo zakazano poruszania się, oglądała film w przednim przedziale rakietowym, słuchając dźwięku przez słuchawki.

Zginęli natychmiast – zmiażdżeni przez kataklizmiczne wdarcie się Atlantyku, gdy nie dający się powstrzymać impet 18 000 ton „Podornego” sprawił, że okręt podwodny rozwarł się jak samootwieralna puszka sardynek.

W momencie zderzenia kapitan trzeciej rangi Igor Liczinski podawał do Sewastopola pozycję „Podornego” za pośrednictwem wleczonej na powierzchni anteny. Nagłe przyspieszenie ujemne rzuciło go na grodzie przedziału łączności. A potem runęły na niego niezliczone tony wody, pozbawiając jego płuca powietrza i ciało życia jednym miażdżącym uderzeniem, które zniszczyło cały okręt podwodny w niecałe trzy sekundy.

Zgniecione w harmonijkę resztki „Podornego” długo unosiły się na morzu, w ciszy uderzając w masyw, który do reszty je zniszczył. Potem, niezwykle ostrożnie, zaczęły się zsuwać po stoku podwodnego masywu, rozpoczynając pierwszy etap swojej trzymilowej ostatniej drogi na niezwykle głębokie dno

Basenu Angolskiego na południowym Atlantyku.

Na powierzchni wypłynęły tysiące rozmaitej wielkości kamieni nagrobnych o nieregularnych kształtach, znacząc mo-
gile „Podornego”. Obracały się i potrącały, rozkołysane na
długiej łagodnej fali.

Następnie zaczęły topnieć.

Był to lód.

26

Brytyjska fregata „Snów Tiger” dokonała kolejnej, niemal
niedostrzegalnej zmiany kursu, gdy Julia usiadła na wolnym
krześle między Oafem i Sherwoodem. Oaf spał mocno i chrapał.
Przyjemnie grzało popołudniowe słońce. Sherwood spojrzął
pytająco na Julię moszczącą się wygodnie.

– Widziałaś się z kapitanem? – spytał.

– Tak. Powiedział, że poszukują tratwy ratunkowej z „O-
riona”, którą widział w tym rejonie pasażerski samolot Połud-
niowoafrykańskich Linii Lotniczych. Spytałam go, dlaczego
nikt z ludzi na wachcie nie używa lornetki, a on mi na to odparł,
że ich radar jest bardziej czuły. Nie wie, kiedy zawiniemy do
Simonstown.

Sherwood zerknął na opustoszały pokład śmigłowcowy
fregaty. – Czy Wasp właśnie to robi, poleciał na poszukiwa-
nie?

Julia wzruszyła ramionami. – Skąd mam wiedzieć?

– To dziwne.

– Co?

– Śmigłowiec poleciał rano, co najmniej przed dwunasto-
ma godzinami. A ponieważ może latać dwie i pół godziny, to
musiał gdzieś wylądować. Dlaczego nas nie zabrał?

Julia osłoniła oczy i patrzyła na widnokrąg. – O wilku
mowa... – mruknęła.

Na niebieskim tle dostrzegli daleką, czarną, powiększającą
się kropkę.

– Wiem, co spowodowało tę twoją żółtość morza – rzuci-
ła od niechcenia Julia.

– Co?

– Małżoraczki.

– Dlaczego nie przyszły mi do głowy? Co to takiego?

Kropka przybierała niezgrabny kształt śmigłowca.

– To mikroskopijne skorupiaki żyjące na głębokości od dwóch do trzech tysięcy metrów. Nagła zmiana temperatury zabija je i wtedy niezliczone ich miliony wypływają na powierzchnię zmieniając kolor morza na mętnie żółty. Pamiętam, że czytałam o krótkotrwałej sensacji prasowej, gdy liniowiec pasażerski „Corinthic” płynął przez kilka dni przez morze miodu. To na pewno były małżoraczki.

Śmigłowiec zbliżał się do fregaty od tyłu.

– Jaka zmiana temperatury? – dopytywał się Sherwood.

– Podwyższenie czy obniżenie?

– Każda. – Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć warkot śmigłowca.

Oaf poruszył się przez sen, ale, o dziwo, się nie obudził.

Sherwood zbyt był zajęty, żeby zwracać uwagę na lądujący na pomoście śmigłowiec.

Myślał o lodzie.

27

Od: Ministra Obrony Narodowej, Przewodniczącego Rady Wojskowej.

Do: wszystkich pierwszych zastępców i wiceministrów obrony narodowej.

Sprawa: Zaginięcie okrętu podwodnego „Podorny”.

Należy wysłać instrukcje do admirała Turgieniewa, dowódcy Floty Czarnomorskiej, że uratowanie „Podornego” jest absolutnie niezbędne niezależnie od kosztów i niewątpliwych trudności. Nie może się powtórzyć przypadek Glomar Explorer*, do którego doszło, gdy Howard Hughes i jego sługusi z CIA ukradli jeden z naszych okrętów podwodnych. Flota Czarnomorska ma dostateczną liczbę oceanicznych jednostek ratowniczych i niezbędnych jednostek nawodnych przystosowanych do warunków wzburzonego morza, żeby zapewnić znaczącą morską obecność marynarki w rejonie, w którym zatonał „Podorny”. Taka obecność będzie nieodzowna, żeby

powstrzymać nadmierne wścibstwo kontrolowanych przez Amerykanów sił NATO, które traktują Atlantyk jak własny obszar.

Gdy tylko jednostki ratownicze zajmą odpowiednią pozycję, Amerykanie domyśla się natychmiast, co się stało, i będą szukać sposobności, żeby wyratować okręt podwodny na własną rękę. Z tego powodu jednostki ratownicze muszą mieć zapewnioną stałą ochronę i pomoc logistyczną.

Admirałowi Turgieniewowi należy zapewnić wszystkie niezbędne środki do przeprowadzenia akcji ratowania „Podornego”, włącznie z prawem wysłania naszych nowych krążowników do zwalczania okrętów podwodnych klasy Kijów do pomocy w zapewnieniu osłony lotniczej.

Admirał Turgieniew odetchnął z ulgą przeczytawszy te instrukcje – nie wysuwano pod jego adresem pretensji za użycie okrętu podwodnego Delta. Na szczęście zadbał o jak najszerze * Projekt Jennifer — wydobyć przez CIA w czerwcu 1974 roku sowieckie-

go okrętu podwodnego klasy Golf, który zatonął na Pacyfiku. rozpowszechnienie swojej notatki służbowej do generała Zadkina, w której ubolewał nad wysłaniem Deltę na nieznane wody południowego Atlantyku.

Jak dobrze pójdzie, gwiazda generała Zadkina powinna teraz zacząć błędąć w Moskwie.

28

Porucznik Abbott miał na sobie cywilne ubranie i od chwili gdy przed godziną wylądował na fregacie „Snów Tiger”, z jego ust nie schodził przepraszający uśmiech. Sam się dziwił własnej operatywności. Przedstawił się Julii, Sherwoodowi i Oafowi jako nowy przedstawiciel Fundacji Rosenthala do spraw instytucji naukowych i szybko wyjaśnił cel swojej wizyty. Zgodnie z oczekiwaniami troje uratowanych nastawionych było sceptycznie.

I — Pan chce, żebyśmy wrócili na Antarktydę? — powtórzyła

za nim Julia.

— Zgadza się — rzekł Abbott, uśmiechając się mile do

każdego z tej trójki po kolei. – Lecz tylko na rok. Póki wasi następcy nie zapoznają się z pracą. Przeraziłem się odkrywszy, jak są niedoświadczeni. Jakiś urzędas kompletnie zabałaganił sprawę. Nie wynajęto nawet inżyniera na miejsce pana Johansena. – Uśmiechnął się do Oafa. – W każdym razie nie inżyniera (z pańskim doświadczeniem pracy w warunkach polarnych, panie Johansen.

Oaf chrząknął.

– Bylibyśmy więc w najwyższym stopni wdzięczni, gdybyście państwo wrócili samolotem zaopatrzeniowym, który będzie uzupełniać paliwo na Azorach. Marynarka wojenna zgodziła się tam was z „Ark Royal” odesłać.

– Kiedy? – spytał Sherwood. Jego głos nie zdradzał podniecenia perspektywą powrotu na Antarktydę.

– Teraz – rzekł Abbott z miłym przyjacielskim uśmiechem. – Naturalnie podniesiemy wam płace. O trzydzieści procent, zgoda? Na waszych kontach uzbiera się całkiem przyzwoita suma, gdy powrócicie państwo do Anglii.

– Nie sądzę, żebym znowu kiedyś ujrzała jakiś sklep – stwierdziła Julia ze smutkiem.

Śmigłowiec kapitana Rolfa Hagana wylądował na fregacie „Snów Tiger” późnym popołudniem. Powiedziano mu, że troje uratowanych z „Oriona” udało się na „Ark Royal”. Powiedziano mu również, że jego śmigłowiec nie może zostać zatankowany, bo pompa dostarczająca paliwo na pomost się zepsuła, a naprawy można będzie dokonać nie wcześniej niż następnego dnia.

– Okej – rzekł Hagan pierwszemu oficerowi. – Może by pan go zatankował używając kanistrów. Muszę polecieć na „Ark Royal”, a potem wrócić na „Johnsona”.

Pierwszy oficer tłumaczył się gęsto. – Strasznie mi przykro, stary, ale kapitan to okropny służbista, jeśli chodzi o przepisy dotyczące zaopatrywania w paliwo na tym pokładzie. — Przybrał pocieszający ton. – Przesyła jednak pozdrowienia i zapewnia, że będzie zachwycony, jeśli zechce pan dziś wieczorem być naszym honorowym gościem. W przeciwieństwie do okrętów

amerykańskich znajdzie pan tu szeroki wybór znakomitych napojów odświeżających.

Propozycja ta przemówiła do irlandzkich instynktów Hagana.

– Wyjaśnimy sytuację „Johnsonowi” – podsumował sprawę z olśniewającym uśmiechem oficer brytyjski.

Haganowi nie pozostało nic innego niż przyjąć propozycję.

29

Prezydent Stanów Zjednoczonych słucał z ponurym wyrazem twarzy i w milczeniu, gdy sekretarz obrony przedstawiał listę kolejnych sowieckich prowokacji, podczas gdy jego doradcy siedzący po obu stronach stołu notowali.

– Punkt jeden, pewny – powiedział sekretarz obrony.

– Sowietci przesuwają flotyllę Delt II SSBN na Atlantyk.

Sekretarz obrony przerwał, żeby wyczyścić sobie okulary w złotej oprawce. – Nawiasem mówiąc, panie prezydencie, te SSBN to obecnie osiemdziesiąt pięć procent wszystkich pocisków balistycznych umieszczonych na okrętach podwodnych na morzach.

Nikt tego nie skomentował. Sekretarz obrony powrócił do swojej listy.

– Punkt drugi, pewny. Zabili obywatela amerykańskiego, operatora filmowego CBS, pociskiem raketowym klasy woda-powietrze. Punkt trzeci, prawdopodobny. Zatopili amerykańsko-brytyjski statek pasażerski „Orion”. Punkt czwarty, pewny. Zniszczyli znaczną część zagrody pław hydroakustycznych na południowym Atlantyku. Punkt piąty, pewny. Przerwali transatlantycki kabel telefoniczny między Stanami Zjednoczonymi a Republiką Południowej Afryki. I jak właśnie usłyszeliśmy, zostały przecięte jeszcze cztery kolejne kable telefoniczne i telegraficzne łączące nas z kontynentem afrykańskim. Wreszcie, punkt szósty, pewny. Sowietci pracują dzień i noc doprowadzając całą swoją Czarnomorską Flotę i flotę pomocniczo-zaopatrzeniową do stanu gotowości bojowej.

– Łącznie z ich nowymi lotniskowcami klasy Kijów – dodał prezydent.

– Tak, panie prezydencie.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wypowiedzieli swoje kwestie. Teraz nadeszła chwila, kiedy prezydent miał podjąć decyzję. – Admirał Pearson będzie w Waszyngtonie w ciągu godziny – oznajmił prezydent. – Zgadza się wszyscy z profesorem Gallandem, że admirał jest najodpowiedniejszym człowiekiem do tego zadania?

Rozległ się szmer aprobaty.

Prezydent zastanawiał się przez chwilę, zanim ponownie zabrał głos.

– Znakomicie, panowie. Przyjmujemy sugestię profesora, żeby dać Sowietom szansę wycofania się bez utraty twarzy. Nie będziemy wydawać dramatycznych oświadczeń dla prasy ani występować przed narodem. Módlmy się do wszechmocnego Boga, żeby Sowietci wykorzystali szansę, jaką im dajemy. Jeśli tego nie zrobią i będą wciąż prowadzić swoje dotychczasowe bezsensowne działania, to przekonają się, że w efekcie ekstremalnej i uporczywej prowokacji nadejdzie nieuchronnie moment, kiedy zostaniemy sprowokowani.

30

Na Antarktydzie była wiosna.

Sherwood siedział w tyle nie izolowanej dźwiękowo kabiny towarowej należącego do RAF-u Herkulesa i spoglądał w dół na spiętrzone zwały i nawarstwiony pak lodowy nie kończącego się morza Weddella. Julia i Oaf grali w karty. Niewiele więcej można było robić podczas długiego lotu z Ziemi Grahama. Niskie powracające słońce rzucało długie zniekształcone cienie na pomarszczone pole lodowe, które nigdy się nie topiło. W powietrzu wolnym od zanieczyszczeń i tak czystym niepodobna było ocenić, czy dalekie klify lodowe wynurzające się z morza przed Herkulesem oddalone są o pięć mil, czy pięćdziesiąt.

– Piękne, co?

Sherwood zaskoczony podniósł głowę. Julia siedziała naprzeciwko niego na siedzeniu.

– Cieszysz się z powrotu? – spytała.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Czy twoja żona nie będzie temu przeciwna? Że będziesz daleko przez następny rok?

– Nie.

– Ja bym była... pewno bym się z tobą rozwiodła.

– Ona to zrobiła.

Zamilkli i wyglądali przez okno. Herkules zbliżył się do rosnących w oczach lodowych klifów i kierował się na ukos przez rozległą zatokę. Nagie krawędzie klifów chwyciły północne słońce i rysowały się ostro jak brzytwy na tle zimnego niebieskiego nieba. Bezpośrednio poniżej samolotu dryfujący łód się rozpadał – na porowaciejące regularne płyty, jakby wysuszony szlam w wyschniętym korycie rzeczonym.

– Topniejący łód – orzekła Julia. – Powiedziałabym, że ciut za wczesna pora roku jak na rozdrabnianie się paku lodowego.

Sherwood zaskoczony mógł tylko pokiwać głową, gdy patrzył w dół na zamrożone morze.

Dołączył do nich Oaf. – Co o tym sądzisz, he, Sherwood?

Pole topnieje wcześniej.

– Może to jakiś ciepły prąd? – powiedział Sherwood.

Julia była sceptyczna. – Trudno byłoby w to uwierzyć.

– Przepraszam na chwilę. – Sherwood wstał i ruszył wąskim przejściem między skrzyniami dostaw przeznaczonych dla Bazy Rosenthala. Otworzył drzwi prowadzące na pokład załogi.

Major Merrick, kapitan Herkulesa, obrócił się na siedzeniu i wesoło zaprosił Sherwooda do „biura na przodzie”. Powietrze było tu gęste – chyba cała załoga ćmiła cuchnące fajki.

– Za trzydzieści minut zacznie się wierzchołek wytracania wysokości, jeśli interesuje pana meldunek o postępach — powiedział Merrick, wydmuchując kłęb dymu. Skinął głową w stronę drugiego pilota. – Paddy latał do Bazy Rosenthala. Mówią, że pas do lądowania jest w dobrym stanie, powinniśmy więc znośnie wylądować... tym razem bez poślizgu niemalże na biegun południowy.

Sherwood się roześmiał. – Przyszedłem prosić o małą przysługę. Lecimy nad dużą zatoką. Nie wie pan, majorze, czy

widnieje ona na waszych mapach?

– Nasze mapy zrobiono dla kapitana Scotta – odparł krótko Merrick. – Są właściwie do kitu. Nie potrzebujemy ich. Mikę posługuje się aparaturą do automatycznej nawigacji. Doprawdy równie dobra. On zresztą nie potrafiłby odczytać mapy, nawet gdyby miało mu to uratować życie.

Mikę zajęty był sprawdzaniem jakiegoś przyrządu i nie dał się wciągnąć w rozmowę.

– Czy mógłby mi pan zrobić radarową mapę tej zatoki? Niespecjalnie dokładną, wystarczy mi zarys linii brzegowej.

– Nie ma sprawy – rzekł Mikę przekręcając przełączniki pod ekranem radarowym na konsoli nawigatora. Iskrzące się klify, które Sherwood widział przed samolotem, na ekranie radaru pojawiły się jako jarząca się nieregularna linia.

– Średni zasięg powinien sprawę załatwić – rzucił Mikę. Pokręcił gałką i na ekranie pojawiła się cała zatoka. Wystarczyło po prostu położyć kawałek cienkiego papieru na monitorze i przerysować ołówkiem linię brzegową.

– Proszę – powiedział Mikę wręczając kartkę papieru Sherwoodowi. – Mapa zatoki. Ma z grubsza sto osiemdziesiąt mil w poprzek i dziewięćdziesiąt mil w głąb. Czy nowoczesna technika nie jest rzeczą wspaniałą?

Sherwood podziękował nawigatorowi i zgodził się z nim, że rzeczywiście jest nadzwyczajna.

Merrick wskazał trzonkiem swojej fajki w dół w kierunku przybliżających się klifów. — Coś dziwnego tam na dole. Mnóstwo śladów od ratraków. Większy tu chyba ruch niż w Hyde Park Corner.

Sherwood spojrział w kierunku wskazanym przez Merricka. Płaskowyż wzdłuż wierzchołków klifów poznaczony był równoległymi śladami jodełek pozostawionymi przez ostrogi przeciwślizgowe gąsienic ratraków.

– To dziwne – rzekł Sherwood. – Nigdy nie dawano nam tyle paliwa, żeby dojechać do nabrzeża. Brill miał surowe zasady.

– Niech pan nie ma do niego pretensji – zauważył Merrick

wyklepując swoją fajkę. – Przykro mi, stary, ale muszę pana teraz wyrzucić. Za kilka minut wytracamy wysokość. Sherwood podziękował majorowi i opuścił pokład załogi. Zamknął za sobą drzwi i zaczął studiować mapę zatoki. Zatoka miała kształt trójkąta... sto osiemdziesiąt mil na dziewięćdziesiąt... osiem tysięcy mil kwadratowych topiącego się paku lodowego, który nie miał prawa się topić. Hipoteza, którą spychał do najgłębszego zakamarka mózgu od chwili katastrofy „Oriona”, bo tak wydawała mu się szalona i nie przemyślana, znowu zaczęła mu się uporczywie nasuwać. Sherwood zły był sam na siebie, że w ogóle ją rozważa. Tego rodzaju teoria mogła narazić go na kpiny i utratę dobrej reputacji. A jednak w sposób zbyt przerażający, by mógł rozmyślać o niej bez ściskania w dołku, była to jedna z tych nieprawdopodobnych teorii, które pasują do równie nieprawdopodobnych faktów.

31

Spotkali się tylko we dwójkę na dyskretnym lunchu w Pasiastej Sali hotelu Mayflower w Waszyngtonie. Zjedli trzy dania, wspominając po rosyjsku wojenne przeżycia. Jedzenie też im smakowało. Kiedy podano kawę, admirał Pearson poczęstował swego gościa cygarem i spytał: – Jak ci się podoba Waszyngton, Max? Tamten wyczuł, że gospodarz przejdzie wkrótce do meritum. – Annie się podoba – odparł ostrożnie.

Admirał Pearson pociągnął dym z cygara, zastanawiając się nad jego słowami. – Czy zdziwiłoby cię, Max, gdybym ci powiedział, że do tego spotkania doszło na prośbę prezydenta? Twarz urzędnika sowieckiego pozostała obojętna. – Może – przyznał.

Pearson uśmiechnął się przy tym niedomówieniu. – Chciałbym pogadać z tobą o rozbudowie Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu, Max. Nie przypuszczam, żebyś coś o tym wiedział, więc to ja będę mówił.

– Zaczekaj chwilę – przerwał Rosjanin, a z jego głosu zniknął przyjazny ton. –r Na to, by zjeść z tobą lunch, musiałem dostać od ambasadora pozwolenie.

– Oczywiście – powiedział Pearson.
– Polecono mi nie dyskutować o kwestiach politycznych i bieżących sprawach wojskowych.

– Nie musisz dyskutować – zauważył Pearson. – Co mówił twój ambasador o słuchaniu?

Rosjanin wzruszył ramionami.

Pearson zamieszał swoją kawę. – To nieformalne spotkanie, Max, więc możemy nieformalnie wymieniać opinie.

Max uśmiechnął się i potrząsnął głową – Masz na myśli w rzeczywistości to, Brandon, że Stany Zjednoczone mogą przedstawić własne opinie bez konieczności oznajmiania ich publicznie. Zgadza się?

Pearson przeszedł bezpośrednio do meritum sprawy. – Mam dowody, że liniowiec pasażerski „Orion” został zatopiony przez sowiecki okręt podwodny.

Rosjanin omal się nie udławił. Patrzył przez kilka sekund na admirała, po czym się roześmiał. — Nic dziwnego, że nie chcecie oznajmiać tego publicznie, jeżeli rzucacie tego rodzaju oskarżenia.

– Ponadto – kontynuował Pearson – dysponujemy niezbitym dowodem, że jeden z waszych SSBN-ów zestrzelił na południowym Atlantyku lekki samolot i zabił obywatela amerykańskiego -^ Pearson sięgnął do kieszeni i podsunął przez stół paczuszkę. – Możesz to zatrzymać, Max. To film z tego incydentu, a na ostatnich kilku kadrach widać odpalenie jednej z waszych rakiet Grał przeciwko samolotowi, z którego robiono ten film.

Rosjanin otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Pearson uciszył go podniesieniem ręki.

– Posłuchaj mnie tylko, Max – powiedział Pearson.

Wskazał na paczkę. – Lepiej ją zabierz.

Max schował paczuszkę do kieszeni i milczał, czekając cierpliwie, gdy Pearson zapalał ponownie cygaro.

– Twój kraj przeprowadza wiele innych prowokacyjnych akcji – rzekł Pearson, rzucając zapałkę do popielniczki – ale jeszcze nie jestem gotów do dyskutowania o nich.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – oświadczył z ponurą miną Rosjanin.

Pearson się uśmiechnął. – Pewno, że nie, Max. Wyliczę ci kilka z nich: flota Delt II operuje na Pacyfiku i na południowym Atlantyku, ściągacie wiele jednostek nawodnych do Sewastopola i doprowadzacie je do gotowości operacyjnej, i to szybkoj.

– Może przygotowują się do manewrów – rzekł Max, odchylając się do tyłu na krześle i patrząc wrogo na swego rozmówcę.

– Wyładowaliście ostatnio w tych rejonach sześćset tysięcy ton materiałów wojskowych w głębokowodnych portach Maputo, Beira i Porto Amelia w Mozambiku – ciągnął Pearson.

– Plus dalsze pół miliona ton w Luandzie w Angoli. Zbudowaliście także pas startowy pod Luandą, wystarczająco długi, by mogły lądować transportowce dalekiego zasięgu, Antonowy, z którego już korzysta eskadra samolotów myśliwskich Jak-28. Max wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział.

– Nie kwestionujemy waszej obecności w Afryce – mówił dalej Pearson. – Gdybyśmy to zrobili, wy powiedzielibyście, że jesteście tam na zaproszenie rządów Angoli i Mozambiku.

– Pearson zacisnął zęby na cygarze i złożył obie dłonie razem na stole. Pochylił się ku swemu gościowi. – Martwią nas natomiast, Max, te lotniskowce Kijów w Sewastopolu.

Urzędnik sowiecki przybrał wyraz pogardy. – Te krą-

żownik i są częścią planowanej siły uderzeniowej naszej Floty Czarnomorskiej, admirale. Nie robiliśmy tajemnicy...

– Guzik mnie obchodzi, czym są, Max – przerwał mu Pearson. – Mówię ci tyle: jeśli któryś z tych transportowców czy też jakikolwiek lotniskowiec przepłynie przez Bosfor i wytknie swój dziób na morze Marmara, to go zatopimy.

Rosjanin zbladł. Pieczołowicie odstawił filiżankę z kawą na spodeczek i spojrzał na Pearsona.

– Co zrobicie?

Admirał Pearson powtórzył swoje oświadczenie i odchyliwszy się z powrotem do tyłu obserwował bacznie swego gościa.

Urzędnik sowiecki otworzył usta, potem znów je zamknął.

Pearson czekał cierpliwie, aż tamten zbierze myśli. Rosjanin szybko się opanował. Bawiąc się od niechcienia serwetką powiedział kategorycznym tonem: — Jak wiesz, admirale, Morze Czarne jest morzem śródlądowym i mamy prawo dostępu przez Bosfor do Morza Śródziemnego.

– Gówno – stwierdził Pearson krótko, po angielsku.

Max podniósł się z krzesła. — Dziękuję za lunch, admirale. Szkoda, że zepsuła mi go poobiednia konwersacja.

– Siadaj, Max – rzekł żywo Pearson. — Jeszcze nie skończyłem. I ani przez chwilę nie przypuszczam, żeby twój ambasador ci podziękował, jeśli pobiegiesz do niego z połową tej historii.

– Jeśli wasz rząd ma coś do zakomunikowania – odparł szorstko Rosjanin – zawsze może wezwać go do Departamentu Stanu.

– Oni wszystkiemu zaprzeczają. Dlatego właśnie lepiej siadź i wysłuchaj mnie do końca.

Rosjanin się wahał. Napotkał przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu i opadł z powrotem na krzesło, z wyrazem aroganckiej rezygnacji na twarzy.

– Nic z tego, co mówisz, nie może zmienić faktu, że mamy prawo dostępu do Morza Śródziemnego.

Admirał Pearson uśmiechnął się mile. — Pewno, że macie, Max, konwencja z Montreaux z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. To chyba jeden z najstarszych obowiązujących wciąż układów o kontroli zbrojeń.

Max skrzyżował ręce. Znalazł się znowu na pewnym gruncie. — Wyleciała mi z głowy ta nazwa, ale pamiętam, że zapewnia naszym okrętom wojennym prawo przepływania bez przeszkód przez Bosfor.

– Z wyjątkiem lotniskowców – uściślił Pearson.

– To bzdura.

Pearson strzepnął popiół z cygara. — Spędziłem dzisiejszy rano przeglądając z zespołem filologów z Departamentu Stanu zatwierdzone przekłady Traktatu z Montreaux. Jest tam w kilku językach, Max, po angielsku, po rosyjsku, po francusku, po turecku i po niemiecku. Lotniskowcom nie wolno przepływać

przez Bosfor. A twój kraj należy do sygnatariuszy tego traktatu.
– Pearson uśmiechnął się na widok zmieszania na twarzy Rosjanina. — W żadnym z przekładów nie zdefiniowano terminu lotniskowiec, ale nasi prawnicy są zdania, że to każdy okręt wojenny przewożący samoloty albo mogący je przewozić, i określenie takie przyjmie każdy międzynarodowy trybunał. Max potrząsnął głową. — Zapominasz o czymś, admirale, sowiecka marynarka wojenna nie posiada lotniskowców. Pearson się zachnął.

– Posłuchaj – rzucił ze złością Rosjanin. – Okręty klasy Kijów to krążowniki do wykrywania okrętów podwodnych.
– No pewnie, pewnie. Tak właśnie powiedzieliście światu wysyłając swój pierwszy okręt klasy Kijów przez Bosfor. Wtedy nie robiliśmy szumu, a teraz tak. Dla NATO każdy okręt wojenny w sowieckiej marynarce wojennej, na którym można umieścić statki powietrzne, czy to stałopłaty, czy wiropłaty, to lotniskowiec.

– Włącznie ze śmigłowcami? – spytał chłodno Rosjanin.

– Mówiłem: wiropłaty.

– Śmigłowców jeszcze nie było w czasie, gdy podpisywano traktat – stwierdził ze złością Rosjanin. – Jak więc można tak interpretować traktat, włączając do niego śmigłowce?

– No dobrze – powiedział Pearson ochoczo. – Myśleliśmy, że możecie wysunąć taki argument, więc pogrzebaliśmy trochę w Bibliotece Kongresu. Pewien Francuz, Paul Cornu, leciał śmigłowcem w listopadzie tysiąc dziewięćset siódmego roku. A przedtem Leonardo da Vinci naszkicował koncepcję śmigłowca w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym ósmym. I jeszcze nawet wcześniej, w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym, pewien nie znany artysta namalował Madonnę z Dzieciątkiem, i to Dzieciątko Jezus trzyma na obrazie śmigłowca-zabawkę. – Pearson uśmiechnął się szeroko. – Wybierz się do muzeum w Le Mans, jeśli mi nie wierzysz. Oczywiście, ojcem współczesnego śmigłowca był twój rodak, Igor Sikorsky. Projektował i konstruował je w Rosji przed pierwszą wojną światową, nie możesz zatem twierdzić, że w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym nic o nich nie wiedzieliście.

Rosjanin milczał.

Admirał Pearson zgarbił się nad stołem. – Wracaj więc do swego ambasadora, Max, i powiedz mu, że jeśli jakkolwiek sowiecki transportowiec, a dotyczy to również niszczycieli z pokładem dla śmigłowców, wyściubi nos na morze Marmara, to go zatopimy. Rosjanin odzyskał kontenans. – To nie rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi, Brandon. Sowiecka marynarka wojenna jest największą potęgą na świecie. A jak myślisz, jak zareaguje reszta świata na wiadomość, że Amerykanie raz jeszcze uciekają się do imperialistycznego szantażu?

Pearson wzruszył ramionami. – W taki sam sposób, jak zareaguje na wiadomość, że Związek Radziecki kpi sobie z umów międzynarodowych. Niewykluczone, że kilka państw afrykańskich zastanowi się, zanim zawrze z wami umowy. A ponadto to będzie akcja NATO, wszystkie państwa członkowskie wyraziły na nią zgodę.

– Czy sądzisz, że zgodzimy się na to, żeby trzecia część naszej marynarki wojennej została uwięziona na Morzu Czarnym? – spytał Rosjanin.

– Dwie trzecie – poprawił go Pearson.

– No więc?

– Trzeba było pomyśleć o tym, zanim się zdecydowaliście na łamanie umów międzynarodowych – odparł Pearson pogodnie. – Rozpogódź się, Max. Jeszcze nie strzelają do przynoszących złe nowiny, czyż nie?

Dwie godziny później samolot Aerofłotu odleciał z Waszyngtonu mając tylko jednego pasażera na pokładzie – radzieckiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych. Dziennikarzom na lotnisku powiedział, że zachorowała jego siostra.

Czternaście godzin później, po uzupełnieniu paliwa na lotnisku Shannon w Republice Irlandzkiej, Tupolew wylądował w Moskwie. Nie było odprawy celnej; czarny Ził prowadzony przez szofera zawiózł ambasadora prosto na Kreml.

Przez cały długi lot ambasador zbyt był zajęty, by przestawić zegarek z urzędowego czasu wschodnioamerykańskiego na czas moskiewski.

Angus Brill, kierownik Bazy Rosenthala, doznał niemal ataku serca, gdy Sherwood po raz pierwszy pokazał mu szkicową mapę zatoki. Studiował ją bacznie przez kilka minut, podczas gdy Sherwood przedstawiał swoją prośbę. Pozwoliło mu to zyskać czas na powrót do równowagi po początkowym szoku. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał jak zwykle wesoło.

– Naturalnie, że widziałeś ślady ratraków, Glyn. Przed mniej więcej dwoma miesiącami zezwoliłem na wyprawę w tamte strony.

Sherwood sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Sądząc z liczby śladów to była jednak chyba więcej niż jedna wyprawa. Wyglądało to tak, jakby odbywały się regularne jazdy tam i z powrotem.

Brillowi serce niemal zamarło. Modlił się, żeby w jego głosie brzmiała irytacja, gdy mówił: – Mam nadzieję, że te młode łapserdaki nie będą marnować znowu paliwa. Wy, naukowcy, wszyscy jesteście jednakowi, nikt z was nie ma pojęcia, ile kosztuje galon dostarczonej tu ropy.

– Ale pozwolisz mi wybrać się do zatoki?

Brill zastanawiał się przez chwilę. – Zgadzam się, że jeśli dryfujący łód topnieje przedwcześnie, to trzeba to zbadać. Tylko że naprawdę jesteś mi tu potrzebny, musimy przygotować próbki rdzenia lodu na miejsce tych, które poszły na dno wraz z „Orionem”. Czy wiesz, że kiedy usłyszeliśmy tę wiadomość, modliliśmy się wszyscy za was? Okropna sprawa. Okropna. Nie umiem wyrazić, jak się cieszę z tego, że ty, Julia i Oaf wróciliście znowu do nas, choćby tylko na parę miesięcy.

Sherwood usiłował mu przerwać, ale Brill ujął go delikatnie za rękę i mówiąc prowadził do drzwi.

– Posłuchaj – wtrącił Sherwood. – Mógłbym wyprowadzić się tylko jednym ratrakiem...

– Ale to wciąż tam i z powrotem sześćset mil, Glyn. Daję słowo, trudno byłoby mi wygospodarować olej napędowy nawet dla jednego ratraka. – Brill przerwał. – Może później, w lecie, o ile zużycie paliwa do tej pory nie wymknie się, nam

z ręki, jak w ostatnim sezonie.

– Tylko że wtedy może być już za późno – protestował Sherwood.

– Zobaczę, co się da zrobić możliwie jak najszybciej

– obiecał solennie Brill.

Sherwood westchnął. – Czy możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie, Angus?

— Jeśli tylko potrafię.

– Dlaczego nie dostajemy zaopatrzenia z Australii czy Nowej Zelandii? Czy to nie byłoby tańsze niż przywozić zaopatrzenie z odległej Anglii samolotami RAF-u?

Brill zaśmiał się otwierając drzwi swego biura. — Wiesz, Glyn, dokładnie takie samo pytanie zadałem sztabowi, kiedy podjąłem się tej pracy. Najwidoczniej to jakieś wzajemne usługi wymieniane z Ministerstwem Obrony: my potrzebujemy dostaw, a oni lotów ćwiczebnych. – Potrząsnął rękę Sherwooda po raz drugi i poprowadził go na korytarz. – W każdym razie, naprawdę się cieszę, że jesteś z nami. Mam tylko nadzieję, że nie uznasz konieczności powrotu do swojej starej pracy za zbyt wielką nudę.

Sherwood został sam na korytarzu, zanim zdołał otworzyć usta i coś odpowiedzieć.

Brill wrócił do swojego biurka i siadł. Boże, cóż za pasztet! Mógł sobie jednak przynajmniej pogratulować gładkiego rozładowania potencjalnie wybuchowej sytuacji. Wpatrywał się zadumany w blat swego biurka. I nagle, ku swej wściekłości, zdał sobie sprawę, że Sherwood zabrał ze sobą szkicową mapę zatoki.

33

UODPORNIE NIE NA LÓD

Modyfikacja wzmocnionego dziobu i chronionej śruby napędowej, która umożliwia statkowi operowanie wśród lekkich pól lodowych.

„Eureka”, okręt oceanograficzny amerykańskiej marynarki wojennej o wyporności 10 000 ton, płynęła przez topniejący pak lodowy na południowym Oceanie Indyjskim i dostała się

w szpony mroźnej wichury pędzącej z prędkością stu dwudziestu mil na godzinę i zacinającej z wściekłością dziesięciu tysięcy oszalałych noży kuchennych. Rozchwierutane tafle lodowe kruszyły się i ocierały o kadłub, jakby szukając słabego punktu, żeby móc wyrwać dziurę w burcie okrętu. Wyjący wiatr podrywał bryzgi ze wzburzonego morza i smagał nimi nadbudówkę „Eureki”. Stał wyciągała wiosenne ciepło z wody przemieniając je w stale rosnącą warstwę lodu na masztach, antenach radiowych i radarowych oraz łodziach ratunkowych. Stalowe tarcze podtrzymujące reflektor paraboliczny do śledzenia satelitów były cztery razy grubsze niż normalnie i poważnie osłabione zimnem i naprężeniem spowodowanymi przez osiemdziesięciostopniowe kołysanie boczne statku.

Kapitanowi Rolfowi Haganowi, zaasekurowanemu pokładowym pasem bezpieczeństwa w ogrzewanej sterówce, wydawało się wprost nie do wiary, że jakikolwiek okręt mógł dostawać bez przerwy przez całe dwa tygodnie tak ciężką szkołę, jaką dostała „Eureka” w czasie swej życiowej misji na wodach Antarktyki.

Dekę Sutherland, dowódca okrętu, obrócił się w stronę Hagana po krótkiej naradzie z oficerem pokładowym. Sprawiał wrażenie człowieka, który na coś się zdecydował.

- Możemy zrobić jeszcze dalszych pięćdziesiąt mil, ale nie więcej. Nie w taką pogodę. I to pole lodowe robi się coraz gorsze.
- Ile mil zostanie mi do Bazy Rosenthala? – spytał Hagan.
- Trzysta.
- To fatalnie – podsumował krótko Hagan.
- Proszę nie mieć do mnie pretensji o pogodę.

Hagan się opanował. – Mówił pan, kapitanie, że znajdę się od Bazy Rosenthala w zasięgu lotu śmigłowcem.

„Eureka” zachwiała się, gdy tafla lodowa, postawiona na sztorc przez dziób okrętu działający jak pług, zanim opadła z powrotem do morza, wywinęła wolnego kozła tuż przy jego boku. Po raz tysięczny w ciągu tych dwu tygodni Sutherland dziwił się, dlaczego to takie ważne, żeby Hagan dotarł do trojga uratowanych z „Oriona”.

— Nie — rzekł Sutherland. — Mówilem, że dostarczę pana w rejon Bazy Rosenthala, jeśli pozwoli na to pogoda. — Dźgnął kciukiem w jeden z wirujących szklanych krążków, które zapewniały dobrą widzialność w oknach sterówki. — Nawet gdybym dostarczył pana na odległość dwustu mil od Bazy Rosenthala, nie mógłby pan lecieć tym swoim śmigłowcem w taką paskudną pogodę.

„Eureka” wkręciła się jak korkociąg w koryto oddzielające dwa górzyste morza i rozłupała taflę lodową. Drzazgi lodu jakby wyrzucone z kartacza obsypały okna sterówki.

— O, Jezu — zamruczał Hagan. — Jak długo jeszcze może to potrwać?

Sutherland wzruszył ramionami.

— Jaka jest, u Boga Ojca, prognoza pogody?

— Nie ma żadnej — odparł Sutherland. — Nie na tej szerokości geograficznej. Nie można poruszyć anteny obserwacji satelitarnej, póki nie puści się na nią pary z węża, bo przymarzła.

— I to ma być wiosna — burknął Hagan.

— Pewnie, że wiosna — rzekł Sutherland. — A za kilka tygodni będzie lato. Ale pogoda kształtuje się na biegunie południowym, gdzie przez cały rok panuje zima.

Na mostku zadzwonił przenikliwie telefon wewnętrzny.

Oficer pokładowy podniósł słuchawkę z widełek.

Hagan rozmyślał przez chwilę. — Dobra. Szturmujemy, póki nie popuści.

Sutherland spojrział na niego zdumiony. — Oszalał pan?

Może wiać jeszcze miesiąc. Albo dwa miesiące. Pokrzyżuje nam plany.

— Szturmujemy — powtórzył Hagan.

Sutherland pokazał palcem na śmigłowiec Hagana przymocowany do pokładu. Maszynę pokrywała skorupa lodowa.

Długie stalaktyty utworzyły się na opadających wirnikach, ściągając je jeszcze niżej. Wirniki zginały się i skręcały w takt dzikich podrygów „Eureki”.

— W jakim stanie będzie ten śmigłowiec po kilku dalszych

dniach takiego traktowania, kapitanie Hagan? – zapytał Sutherland.

– Mam rozkaz przesłuchania tych uratowanych – odparł Hagan z zawziętością. – A pan ma rozkaz służyć moich rozkazów.

Podszedł do nich oficer pokładowy. Jedną ręką zasalutował Sutherlandowi, a drugą trzymał się pasa asekuracyjnego.

– Chorąży Katz melduje, że skontaktował się z Rosentalem, sir. Ich radiooperator mówi, że źle zrozumiał nasze poprzednie sygnały, i oznajmia, że trzech rozbitkowie z „Oriona” n i e znajdują się w Bazie.

Hagan ze złości o mało nie puścił pasa. – Jak, do diabła, doszło do takiego nieporozumienia?

— Ponieważ Glyn Sherwood, Julia Hammond i OafJohansen byli członkami zespołu Rosenthala – wyjaśnił oficer pokładowy. Przerwał i przeniósł wzrok ze swego kapitana na Hagana. – Kierownik Bazy Rosenthala przesyła szczerze wyrazy ubolewania i ma nadzieję, że nie naraziło to nas na zbyt wielkie kłopoty.

Sutherland zaczął się śmiać. Zwrócił się do Hagana. – Jakie są teraz pańskie rozkazy, kapitanie?

34

Julia uniosła żaluzję. Technik z laboratorium sprawdzał podwójne drzwi budynku z ratrakami, upewniając się, że są zamknięte. Widziała, jak walczy z wichurą brnąc z powrotem do bloku mieszkalnego.

– Myślę, że to wy dwaj jesteście nierozsądni – powiedziała. – Zapominacie, że Brill odpowiada za powodzenie przedsięwzięcia i z pewnością nie może każdemu udostępniać paliwa, aby mógł sobie urządzać wycieczki dla zaspokojenia własnej ciekawości.

Oaf obcinał ogromny paznokieć wielorybniczym nożem.

– Dlatego właśnie każdy z nas jest na Antarktydzie, nie? Z ciekawości.

– Oaf ma rację – odezwał się Sherwood. – Zameldowano o nadzwyczajnym zjawisku w zasięgu naszej bazy, więc Brill

powinien pozwolić na ten wypad.

– Jak może to zrobić, jeśli nie ma pod dostatkiem paliwa?

– Ma mnóstwo paliwa – oznajmił Oaf, nie podnosząc głowy.

Sherwood skinął w stronę podwójnie oszklonego okna.

— Nadchodzi kłopot.

Technik z laboratorium zmienił kierunek i szedł w stronę nie zasłoniętego żaluzją okna Julii. Zatrzymał się, podsunął w górę okulary ochronne i pokazał na zegarek. Julia z westchnieniem opuściła stalową żaluzję. Jedną z reguł obowiązujących w Bazie podczas miesiący stałego światła dziennego było opuszczanie żaluzji na wszystkich oknach przed dziesiątą wieczorem. Brill uważał, że przestrzeganie normalnych pór dnia i nocy wpływa dodatnio na zdrowie.

– Skąd wiesz, że mamy mnóstwo paliwa? – spytał Sherwood.

– Kiedyś wchodziłem do szopy z ratrakami, a tam beczki z olejem napędowym aż po dach.

– Nie złapali cię? – zagadnęła Julia.

Oaf odsłonił swoje imponujące zęby. Miał to być uśmiech.

– Nie. Jak Sherwood... byłem ciekawy.

— Ile tego paliwa tam było? — indagował Sherwood, usiłując nie zdradzić swego podniecenia.

Oaf zastanawiał się chwilę. – Jak daleko do tej zatoki?

Trzysta mil? Sześćset mil tam i z powrotem?

– Coś koło tego.

Oaf rozważał sprawę. — Jeśli dobrze pójdzie, to ratrak mógłby palić galon paliwa na pięć mil. — Bawiąc się nożem mruknął: – Nie zauważą braku stu pięćdziesięciu galonów... piętnastu beczek.

Sherwood poczuł sympatię do olbrzymiego Norwega. Zawsze można było liczyć na Oafa, że podejmie decyzję bez większej dyskusji.

– A ty, Julio? Masz ochotę na wyprawę na plażę?

– To nie będzie piknik. Obaj jesteście szaleni.

Sherwood pokiwał głową. – Masz rację, kochana. Niewątpliwie Brill obedrze nas ze skóry po powrocie.

– Weźmiemy szesnaście beczek – oznajmiła stanowczym tonem Julia. – Jedną na szczęście. Będziemy go potrzebować. I jedzenie, i specjalne ubrania na wielkie zimna. I sprzęt do wspinaczki na wypadek, gdybyśmy nie znaleźli dla ratraka drogi prowadzącej w dół po tych klifach.

Oaf zrobił figlarną minę. – Nie ma sprawy.

Brill zatopiony w myślach zdjął słuchawki z głowy i uniósł rączkę gramofonu znad płyty. Nieoczekiwany gość mógłby pomyśleć, że kierownik bazy słuchał swojego ukochanego Chopina.

Trwał zatopiony w myślach przez kilka minut. Rozmowa Sherwooda, panny Hammond i Oafa była, czuł to, sprawą, o której powinien zameldować Londynowi.

35

Admirał Howe siedział na swojej ulubionej ławce w St. James Park, kiedy wytropił go porucznik Abbott i usiadł obok. Podał admirałowi kopertę poczty wewnętrznej.

— Przepraszam, że przeszkadzam w porze lunchu, sir, ale to właśnie nadeszło z Naczelnego Dowództwa.

Admirał Howe zerwał nylonową pieczęć i rozwinął papier: typowa cheltenhamska nie szyfrowana wiadomość – jard papieru na stuwyrzowy tekst.

Przeczytała ją szybko, potem jeszcze raz powoli. Abbott pękał z ciekawości. Niech pęka. To coś, czego nie może mu powiedzieć.

Kiedy admirał Howe dotarł do swego gabinetu, w głowie, ułożył już sobie odpowiedź dla Brilla. Tego polecenia, jak ^ dobrze wiedział, będzie się wstydził przez resztę życia, ale trzeba było je wysłać. Na wpuł liczył na to, że Brill nie posłucha rozkazów, choć mało to było prawdopodobne. Brill to oficer, któremu nie zdarzało się nie wypełniać rozkazów. Dlatego przede wszystkim zlecono mu tę pracę.

36

AWACS (Powietrzny system wczesnego wykrywania i ostrzegania)

Stale znajdująca się w powietrzu flotylla stanowisk dowodzenia bojowego z podstawową funkcją wczesnego „pozahoryzontowego” ostrzegania o ruchach samolotów i statków nawodnych nieprzyjaciela.

AWACS leciał na wysokości pięćdziesięciu pięciu tysięcy stóp w „przyjaznej” tureckiej przestrzeni powietrznej, lecz wiązki jego radaru przebijały się przez „nieprzyjazną” przestrzeń powietrzną do sowieckiej bazy marynarki wojennej w Sewastopolu nad śródlądowym Morzem Czarnym.

O trzeciej czasie lokalnego nastąpiło długo oczekiwane wydarzenie: pięć namiarów radarowych dokonanych przez AWACS-a wskazywało, że echo oderwało się od Półwyspu Krymskiego i niewiarygodnie wolno przesuwało się na południowy zachód.

Wiązka radiolokacyjna AWACS-a zawężała się — zwiększając swoją intensywność i eliminując „zakłócenia” bierne pochodzące od tła, budynków stoczni i dźwigów. We wnętrzu klimatyzowanego, oświetlonego przytłumionym światłem Boeinga panowała niemal cisza, gdy załoga nastawiła komputery na analizę przepływających danych. Nie słychać było nawet trzasku przełączników; jarzące się monitory kontrolne reagowały na dotyk ludzkiego palca, niczego nie trzeba było naciskać.

Wiązka radiolokacyjna sondowała sowiecki okręt, oceniając jego długość i szerokość, zarys kadłuba, a nawet fale dziobową.

Elektroniczne badanie przebiegało z szybkością światła. Rezultaty, linijka po linijce, materializowały się w ciszy w lampach oscyloskopowych i jednocześnie na ekranach przed admirałem Pearsonem w centrum dowodzenia na „Johnsonie”.

0300

CEL + LOTNISKOWIEC KLASY KIJÓW
POZYCJA + SEKTOR BS KWADRAT SIATKI
WSPÓŁRZĘDNYCH 8900
KURS + 326 STOPNI
PRĘDKOŚĆ + 2 WĘZŁY
OBSERWACJE POMOCNICZE + POKŁAD STARTOWY PUSTY

ŻADNYCH SAMOLOTÓW LUB ŚMIGŁOWCÓW PRZY OBECNYM KURSIE I PRĘDKOŚCI DO BOS- FORU PRZEWIDYWANY CZAS PRZYBYCIA + 100 GODZIN

Lotniskowiec przemykał się chyłkiem przez Morze Czarne, dokładnie tak, jak to przewidział admirał Pearson. Rosjanie nie akceptowali tej sytuacji, ale zapewniali sto godzin wyprzedzenia. Cztery dni.

Dość czasu na odbycie mnóstwa rozmów.

37

Julia, Oaf i Sherwood śpiewali przekrzykując hałas dieslowskiego silnika, podczas gdy ratrak pędził przez płaskowyż z szybkością dwudziestu mil na godzinę.

Znajdowali się teraz w odległości stu mil od Bazy Rosenthala. Wykradzenie tego pięcotonowego, jasnożółtego pojazdu okazało się nieoczekiwanie łatwe – gdy otwierali podwójne drzwi do szopy, w pobliżu nie kręcił się żaden technik z laboratorium. Oaf nastawił aparaturę do automatycznej nawigacji ratraka, a Sherwood i Julia napełnili do pełna zbiorniki paliwa. Dziesięć zapieczętowanych beczek z olejem napędowym stało dogodnie w pobliżu. Miały być potrzebne w drodze powrotnej. Oaf pomógł wnieść je do ładowni ratraka.

Nikt się nie pojawił, żeby sprawdzić, co się dzieje, gdy uruchomili wysokoprężny silnik Perkinsa – wieczne wiatry gwiżdżące wokół grupy niskich budynków skutecznie wytłumiły ryk silnika i chrzęst gąsienicy miazdzącej twardy śnieg.

Oaf wyjechał z Bazy Rosenthala w taki sposób, żeby szopa z pojazdami znalazła się między nimi a budynkami mieszkalnymi. I dopiero gdy znajdowali się w odległości czterystu jardów, otworzył przepustnicę i zrobił koło. Teraz zmierzali prosto do tajemniczej zatoki na przybrzeżnym lodowym szelfie.

– Nie sądzę, że uda mi się coś jeszcze zaśpiewać – oznajmiła Julia.

– Znam kilka pieśni norweskich poławiaczy wielorybów – powiedział Oaf.

Ratrak pędził z hukiem przez płaskie białe pustkowia.

Zmrożone górne warstwy śniegu tworzyły twardy płat, który ułatwiał jazdę pojazdom na gąsienicach. Ciepło i wilgoć panujące w kabinie sprawiały, że Oafowi okulary ochronne zachodziły nieustannie mgłą. Zrezygnował z wycierania ich i podsunął je na czoło, mrużąc oczy przed rażącym światłem nisko wiszącego słońca, którego promienie odbijały się od lodu.

– A co z rozpadlinami? – spytała Julia.

– Przez trzy lata robiłem na tym terenie odwierty – rzekł Sherwood. – Pokrywa lodowa jest solidna i trwała jak Gibraltar. Będziemy musieli uważać, dopiero gdy znajdziemy się w odległości stu mil od wybrzeża.

– Dlaczegoż to? – indagował Oaf.

– Z dwóch powodów – odparł Sherwood. – Po pierwsze, nigdy nie dano mi tyle paliwa, żebym mógł dokonać oględzin terenu bliżej wybrzeża, i po drugie, wobec małej samonośności lodu prawdopodobieństwo występowania szczelin w strefie przybrzeżnej jest większe.

Jaskrawożółty pojazd atakował mało urozmaicony lodowy krajobraz.

Trójka zbiegów zmęczyła się w końcu bezustannym przekrzykiwaniem stałego pogłosu silnika w zamkniętej kabinie i umilkła. Upłynęła godzina nie kończącej się, jak im się zdawało, monotonii.

Julia już miała zaproponować, żeby się zatrzymali, rozprostowali nogi i coś przegryźli, gdy nagle lód rozstał się pod ratakiem. Poleciała na przednią szybę. Krzyknęła, kiedy kabina się przechyliła. Oaf wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu. Silnik zawył – ostrogi przeciwślizgowe gąsienicy mełły gorączkowo śnieg na proszek, wgryzając się głęboko w krawędź trzymilowej rozpadliny. Lecz było za późno, resztki śnieżnego pomostu załamały się pod pięcotonowym ratakiem, który przejechał przezeń z rozpędu. Julię wyrzuciło na tablicę przyrządów. Reflektory miały równoległe wiązki halogenowego światła na przerażającą szczelinę w pokrywie lodowej. Kiedy ratrak się zapadał, Julia głupawo uświadomiła sobie, że spogląda na wstążkę odsłoniętej Antarktyki.

Zęby „Smoka”, wieloszczękowego przecinaka Lucasa, zacisnęły się wokół głuchego transatlantyckiego kabla telefonicznego i trzymały go mocno. Trzy mile wyżej na kablowcu włączono prąd. Elektrycznie sterowane ostrze przecinało przewód. Wciągarka mechaniczna zaczęła się obracać, podnosząc kabel z otcriżanych ciemności Basenu Angolskiego.

100

JAMES FOLLETT

Godzinę później technicy zaczęli gromadzić się przy wciągarkie i obserwując podnoszącą cumę wynurzającą się z wody, czekali na pojawienie się kabla. Przed trzema laty wielu z nich pomagało układać ten kabel. TAT 12 to było ich dziecko.

O trzeciej dwadzieścia pięć po południu przecinak pojawił się na powierzchni. Kabel, którego koniec przeciągnięto przez dziobowe rolki na wysięgniku, wciągnięto na pokład i starannie zwinięto w jednej z cylindrycznych ładowni statku.

Pierwszy wzmacniacz pojawił się godzinę później. Z zewnątrz wyglądał jak wyrzucenie kabla, wewnątrz natomiast – ów wzmacniacz o czterech tysiącach kanałów reprezentował najnowocześniejszą technikę na świecie. Na kabel rozciągnięty na dnie oceanu nanizano jak koraliki ponad sto pięćdziesiąt wzmacniaczy. Skonstruowano je niezwykle starannie i tak, by wytrzymały sto lat. Awaria jednego z tych wzmacniaczy, o wartości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, wyłączała cały kabel. Drugi wzmacniacz pojawił się nazajutrz w porze śniadania. Operator wyciągarki wstrzymał podnoszenie i włączył alarm. Technicy porzucili jedzenie i wybiegli na pokład, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

Starszy technik gapił się oniemiały na zawieszony w powietrzu wzmacniacz. Jego pancerz był rozpruty, a części składowe, dobrane bardziej pieczołowicie niż drogocenne kamienie w klejnotach koronnych, zwisały na zewnątrz. Niektóre delikatne monolityczne układy scalone były całkowicie wyrwane, a uszczelki, wytrzymujące ciśnienie wody rzędu kilku ton na cal kwadratowy, brutalnie wyszarpane. Podobnie wyglądał widoczny odcinek kabla zwisający z krążków linowych – gruba izolacja została rozszarpana, jakby młócono ją w jakiejś olbrzy-

miej młockarni. Niektóre nacięcia sięgały tak głęboko, że spod taśmy izolacji widać było wzmocnienie z juty.

Starszy technik polecił uruchomić znowu wciągarkę. Tego dnia osiemdziesiąt mil uszkodzonego kabla i dwa dalsze wypatroszone wzmocniacze znalazły się w ładowniach statku. Podnoszenie kabla z dna morskiego kontynuowano przez całą noc przy oślepiającym blasku reflektorów. Uszkodzenie linii telefonicznej wartości pięćdziesięciu milionów dolarów stopniowo okazywało się coraz większe. W jednym miejscu kabel o średnicy dwu cali był całkiem przecięty.

O czwartej rano obudzono starszego technika i zakomunikowano mu, że jak wskazują czujniki tensometryczne wciągarki, dotarto nareszcie do końca odciętego przewodu i podnosi się go właśnie z dna Atlantyku. Starszy technik mając przeszło sto mil zniszczonego kabla w ładowni pewien był jednej rzeczy. Uszkodzenia nie mogła dokonać ludzka ręka.

39

– Nie ruszajcie się – powiedział Oaf przez zaciśnięte zęby.

– Nie ruszajcie się oboje, do cholery.

Julia i Sherwood znieruchomieli w miejscu, na które upadli.

Ręka Sherwooda została boleśnie przyparta do boku kabiny.

Ratrak zapadł się na głębokość dwudziestu stóp w przewężoną rozpadlinę. Dach zarył się w lód i pojazd obrócił się do góry nogami w stronę paska szarego nieba.

– Poruszamy się pojedynczo – komenderował Oaf. – Ale nawet nie oddychamy.

Zmiana pozycji zajęła im godzinę. Jakimś cudem żadne z okien nie rozbiło się podczas upadku – to właśnie słaba aluminiowa rama okienna podtrzymująca dach uratowała pojazd przed runięciem w głąb rozpadliny.

Ulokowali się na siedzeniach i patrzyli w górę jak trzej astronauty Apolla czekający na start.

Sherwood niezwykle ostrożnie sięgnął po radiotelefon.

– Nie przyda się na nic – powiedziała Julia. – Gdyby nawet nie miał wyrwanej anteny, to stąd nie uda ci się niczego nadać.

– Może – mruknął Oaf. – Ale spróbować warto.

Radiotelefon nie działał.

– Co teraz zrobimy? – spytał Sherwood.

– Ja wychodzę – oznajmił Oaf. – Przepełnię do tyłu, otworzę ładownię i uwolnię beczki z paliwem, żeby odciążyć ratrak. To musimy zrobić przede wszystkim.

Julia pomyślała o tej otchłani bez dna, którą widziała przez sekundę, gdy ratrak spadał w rozpadlinę.

– Musicie pozwolić, żebym ja to zrobiła – odezwała się.

– Nie opowiadaj głupot – zaprotestował Sherwood.

– Ja ważę najmniej – zwróciła mu uwagę. – Kiedy ktoś taki jak ja ruszy się z miejsca, nic powinno to robić jakiegokolwiek różnicy.

Sherwood zaczął oponować, ale Oaf mu przerwał.

– Ona ma rację, Sherwood.

Julia macała ostrożnie pod siedzeniem szukając rękawic ochronnych i szczęśliwie je znalazła. Podniosła się bardzo wolno z miejsca, a Oaf tymczasem uwalniał zaczepy przedniej szyby.

— Włóżmy lepiej wszyscy odzież chroniącą przed zimnem, zanim to otworzę – rzekł.

Dwie minuty później zaczął wypychać szybę cał po calu, aż zrobiła się na tyle duża szpara, że Julia mogła się przez nią wydostać. Lodowate powietrze wdarło się do kabiny.

— Zamknij znowu — rozkazała Julia, kiedy już wyrzła na zewnątrz.

Sherwoodowi wydawało się, że jest to równoznaczne z pozostawieniem Julii własnemu losowi. – Nie! – krzyknął ochrypłym głosem.

– Na miłość boską, zamykaj! – powtórzyła Julia, niesłychanie ostrożnie wypróbowując swoją wagę na osłonie gąsienicy.

Oaf już miał przyciągnąć z powrotem szybę, ale Sherwood sięgnął ręką, by go powstrzymać.

– Nie! Zostaw otwarte!

Nagły ruch spowodował, że ratrak się zakołysał. Rozległ się ostry zgrzyt metalu zagłębiającego się w lód. Boczne okno pękło

z hukiem wystrzału z pistoletu. Dźwięk ten odbił się echem wzdłuż rozpadliny. Julia padła na kratę chłodnicy i uczepiła się wciągarki. Okno eksplodowało rozpadając się na ziarenka szkła, które grzechocząc na bocznej ścianie wiszącego w powietrzu pojazdu leciały w czarną próżnię. Julia słyszała, jak klekoczą w rezonujących ciemnościach. Sherwood i Oaf gapili się jak zahipnotyzowani na powoli wyginający się słupek dachu. Rozpadło się następne boczne okno. Julia mogła zobaczyć, gdzie ostrogi gąsienicy przypierają do lodowej ściany – ślizgały się napierając na wypukłości lodu.

Ratrak obsunął się w dół.

Oaf pchnął Sherwooda na podłogę. Dach się zapadł i roztrzaskały się wszystkie pozostałe szyby, łącznie z przednią. Wydawało się, że boki rozpadliny zaciskają się na Julii jak szczęki gargantuicznego imadła. Po czym zapanowała cisza. Odwrócony do góry nogami ratrak zatrzymał się w szaleńczym upadku.

Julia otworzyła oczy i patrzyła ze zgrozą na spłaszczoną kabinę. Mogła sięgnąć i dotknąć zamrożniętych ścian tej otchłani. Krzyknęła przerażona: – Glyn! Oaf!

– Nie ruszaj się, Sherwood – usłyszała głos Oafa dochodzący z głębi zniekształconej kabiny. Wydała okrzyk ulgi.

– Czy mnie słyszysz, Oaf?

– Widzę cię – odparł Norweg.

Zdała sobie sprawę, że włochata twarz patrzy na nią przez szparę w pogiętym metalu.

– Jesteście ranni? – spytała.

Twarz znikła. Ratrak się zachwiał.

– Hej, Sherwood, jesteś ranny? – usłyszała głos Oafa.

– Nie... chyba nie.

Julia zapomniała o groźnym jej niebezpieczeństwie i zmówiła w duchu modlitwę dziękczynną. Zachowując wielką ostrożność obróciła się, żeby zajrzeć przez szparę ziejącą w boku kabiny. Pogięte resztki drzwi zostały wbite głęboko w pokiereszowaną ściankę. Rzecz jasna i druga strona musiała wyglądać podobnie. Ratrak znowu się zakołysał. Jeden z uwięzionych

mężczyzn usiłował otworzyć drzwi. Rozległ się zgrzyt. W tym momencie Julia zobaczyła z okropną jasnością przerażająco wąską półkę lodową, która ledwie utrzymywała nieszczęsny pojazd.

– NIE! – Wydała krzyk bóleści wrywający się z głębi duszy. – NIE! NIE! NIE! Nie ruszać się! Cokolwiek robicie, nie ruszajcie się!

Wygłodzona akustycznie lodowa paszcza pochłonęła jej głos, wciągając go w głębię i odbijając radośnie odłściany do ściany, które wysącały z niego moc.

Podniesienie się na jedno kolano zajęło Julii pięć minut.

Uchwyciła się wciągarki i obróciła w górę. Ostra jak brzytwa krawędź rozpadliny rozszczepiała światło słońca na poszczególne barwy widma. Według jej oceny ratrak spadł pięćdziesiąt stóp.

– Posłuchaj, Oaf. Mam pomysł.

W szparze pojawiła się zaintrygowana twarz Oafa.

– Będziecie musieli przesunąć się na prawą stronę kabiny

– powiedziała. – To znaczy waszą lewą. Ratriak zyska na stabilności. Ale, na miłość boską, róbcie to pomału.

Nie było odpowiedzi. Julia odczuła lekkie drgnięcie pojazdu.

Po dwu minutach usłyszała głos Oafa: – Okej, co teraz?

– Czy możesz dosięgnąć sprzętu wspinaczkowego?

Przerwa. Kolejne drgnięcie. Potem: – Tak.

– Podaj mi po kolei: linę, haki i czekany lodowe, słowem wszystko.

– Co ty zamierzasz zrobić? – spytał Sherwood.

Julia powiedziała. Sherwood zaczął protestować. Oaf kazał mu się zamknąć. Przez otwór podano dziewczynie, jedną po drugiej, poszczególne części ekwipunku wspinaczkowego.

– I łopatki.

Oaf przesunął przez wąską szparę ostro zakończony łopaty do lodu. Starannie rozłożyła wszystkie te przedmioty, tak by bez wykonywania niepotrzebnych ruchów móc po nie kolejno sięgać. Przygotowania do wspinaczki zabrały jej dziesięć minut. Musiała zdjąć grube rękawice, żeby zapiąć i zacisnąć pas asekuracyjny z szelkami. Nie myślała o zimnie, póki nie

zauważyła, że skóra na opuszcze jej palca przylgnęła do jednego z metalowych karabińczyków. Mając na sobie pas i przytroczywszy do niego z tyłu dwie liny, była gotowa. Wyprostowała się, przystawiła hak do ściany lodu, zebrała siły i zamachnęła się młotkiem.

Przez resztę życia z wielkimi trudnościami będzie przypominać sobie szczegóły tej morderczej pięćdziesięciominutowej wspinaczki. Niekiedy wracać będą podświadomie zarejestrowane sceny: oto wisi na pasie na jednym haku, a jednocześnie wymachuje nad głową młotkiem, lub też przenosi ciężar ciała na czekan lodowy i wyprostowuje nogi, żeby pokonać kolejnych sześć cali. Zachowała jednak w pamięci wrażenie zimna, które nieustannie przenikało przez ochronne ubranie. Zimno towarzyszyło jej też, gdy śmiertelnie wyczerpana leżała w pobliżu brzegu krawędzi rozpadliny.

Zamknęła oczy i obróciła się na wznak. Może wiatrówka z kapturem przeznaczona na wielkie mrozy miała grubszą warstwę izolacji na plecach, bo zimno już nie wydawało się tak dotkliwe, a jasne promienie słońca padające na twarz chyba mocniej grzały. Ściągnęła rękawicę i ciepłe kamyki plaży w Dawlish przesypywały jej się przez palce. Rodzice zabierali ją tam mimo utyskiwań taty na tory kolejowe biegnące w pobliżu plaży. Słyszała nadjeżdżający pociąg – dwutonowy świst stawał się coraz głośniejszy, zamieniając się w oszalały, przenikliwy gwizd, wydobywający się jakby z trzewi ziemi.

Potem sobie przypomniała. Lodowata woda kapała jej z ręki. Otworzyła oczy. Ani śladu plaży, nic, tylko białe pustkowie. Gwizd jednak słyszała nadal. Przewróciła się na brzuch i zajrzała przez krawędź rozpadliny. Zakręciło jej się w głowie, gdy popatrzyła w dół na reflektory ratraka – czuła się tak, jakby przywierała bezsilnie do skraju stromej ściany skalnej, a dziwny wehikuł szarżował na nią trąbiąc na ostatnich jardach samobójczego pędu na łeb, na szyję. Potem zauważyła dwie wijące się od jej pasa liny. Na jednej z nich zwieszały się dwie osadzone na długich trzonkach łopaty. Machnęła lekko ręką i zaczęła podciągać je w górę.

Zdjęła pas, umocowała go na wbitym haku i jedną z łopatek zaczęła kopać rów, przedtem posiekawszy lód czekaniem. Zajęło to pół godziny. Ukończony rów, oddalony o trzydzieści jardów od rozpadliny i równoległy do niej, miał długość pięciu stóp, szerokość sześciu cali i głębokość trzech stóp.

Najprostszą częścią całej operacji było wyrycie czekaniem bruzdy od środka rowu do krawędzi rozpadliny nad uwięzionym ratrakiem.

Chwyciła drugą linę prowadzącą w dół do ratraka i zawołała:

– Mogę już ciągnąć! Zwolnijcie sprzęgło wciągarki!

Bęben wciągarki wolno się obrócił, gdy Julia pociągnęła linę w górę. Posłużyła się czekaniem, żeby umieścić ją w bruzdzie.

Wolny koniec, który pojawił się w rowie, mocno omotała wokół trzonków obu łopat, a te z kolei ulokowała w rowie i zaparła o jego ścianki.

Cofnąwszy się zmierzyła wzrokiem swoje dzieło. Nie ma chyba powodu, żeby ta prowizoryczna śnieżna kotwica w kształcie litery T nie wytrzymała ciężaru pięciotonowego ratraka – trzonki stalowych łopat zapierających się teraz o ścianki rowu były grubsze niż lina wciągarki wytrzymująca dziesięć ton. Podpełzła do krawędzi rozpadliny i spojrzała w dół. Wydało jej się, że przez otwór w rozerwanym metalu widzi oczy Oafa.

– Jestem gotowa, Oaf! Ale jest ze sześć stóp luzu, który musisz najpierw wybrać.

W rozbitej kabinie coś się poruszyło. Ratriak mocno drgnął.

– Okej – odezwał się Oaf. – Jeśli ten skurczybyk zapali.

Całkiem zwariowany ką, nie?

– Całkiem zwariowany – przyznała. W jej głosie wyczuwało się napięcie. Wysokoprężny silnik Perkinsa zaskoczył za trzecim razem. Drgania uwolniły lód, który grzechocząc poleciał w przepaść. Julia krzyknęła ze zgrozą, gdy sanie zaczęły spadać. Lina wciągarki napinając się wydała ostry melodyjny dźwięk.

– Uruchamiać wciągarkę! – wrzasnęła Julia, a potem

niemal popłakała się z radości, gdy usłyszała zgrzyt przekładni biegów i zobaczyła, że bęben wciągarki zaczyna się obracać. Nie przestając obserwować, czy ratrak jedzie w górę po linie, pognała z powrotem do rowu. Dwie łopaty z liną omotaną wokół trzonek przyparło do jego boku. Kotwica w kształcie litery T przedstawiała się całkiem niezłe – najprawdopodobniej ratrak nie wyciągnie łopat na trzydziestojardowym odcinku lodu między rowem i krawędzią rozpadliny.

Z rozpadliny doleciał rezonujący trzask. Julia pobiegła do krawędzi, padła na brzuch i spojrzała w dół. Ryk dieslowskiego silnika brzmiał dla niej jak słodka muzyka.

Rozległ się następny trzask i dźwięk rozdieranego metalu.

Ratrak wyrывał się ze szczęk lodu.

Nawet patrząc w dół mogła dostrzec, że pojazd stopniowo posuwa się ku niej – nieubłaganie zwijając na bębnie linę i wznosząc się niczym olbrzymi żółty pająk wlażący po nitce jedwabistej pajęczyny. Kiedy gąsienice atakowały ścianę rozpadliny, spod ostróg wytrysnął sproszkowany lód. Lina wrzynała się weń jak drut krajacza sera.

Wróciła do rowu. Serce w niej niemal zamarło na widok tego, co stało się z łopatami. Węzeł zawiązany wokół ich trzonek z wolna je rozpląszczał i zmieniał ich układ, nadając mu kształt litery V z wierzchołkiem skierowanym w stronę boku rowu. Kiedy patrzyła na to z przerażeniem, uświadomiła sobie, że trzonki łopat to przecież rury, że nie są lite, jak przypuszczała.

Nad krawędzią rozpadliny pojawiła się wciągarka ratraka. Ostry brzęk wydawany przez sztywną linę, gdy wyskoczyła z lodu na skutek zmiany kąta, zagłuszył ryk silnika. Pojazd na gąsienicach jakby wspinał się w powietrze. Julia rzuciła się gorączkowo upychać syпки lód wokół łopat, które szorowały bok rowu i powoli zamykały się niczym cyrkiel. Próbowwała skakać po nich, żeby przygiąć je do dołu, niestety, nie zdało się to na nic – nie stanowiła przeciwwagi dla pięciu ton ratraka. Ściany rowu kruszyły się, gdy trzonki łopat tworzące teraz trójkąt zagłębiały się w lód. Julia rozpłakała się z rozpaczy

i zawodu. Zerwała rękawice i pięściami zaczęła ubijać lód, a następnie walić w wyginające się powoli łopaty, nie zważając na intensywny ból – z powodu mrozu skóra lepiła jej się do metalu i odrywała się od niego pasami.

Za sobą usłyszała trzask. Odwróciła się i była to jej ostatnia świadoma czynność. Wyszarpnięte łopaty gwałtownie poleciały w lodowate powietrze. Gdy napięcie liny zelżało, stylisko opadając uderzyło ją w skroń.

Zapanowała czarna nicość.

40

Prezydent Stanów Zjednoczonych spojrzał w zadumie na sekretarza obrony i powiedział: – Jeżeli przewodniczący Rady Najwyższej nie ma nam nic do zaoferowania, John, to dlaczego miałbym z nim rozmawiać?

– Dzwoni właśnie i prosi o zrozumienie przyczyn.

Prezydent wskazał na plik papierów i telegramów leżący na biurku. – Powiedz mu, że jego kraj będzie musiał zwrócić się właściwie do każdego z członków NATO. Jak prędko ten lotniskowiec dopłynie do Bosforu?

– Za pięćdziesiąt dwie godziny.

Prezydent pokiwał głową. – Powiedz mu, że to jego kraj musi zrozumieć przyczyny. Że to j e g o kraj bliski jest pogwałcenia umowy międzynarodowej.

Sekretarz obrony ruszył w stronę drzwi.

– Nie widzę powodu, żeby cofać rozkazy wydane admirałowi Pearsonowi — kontynuował prezydent.

41

MIRVOS

(Satelita orientacyjny wielogłówicowego pocisku raketowego z ładunkami niezależnie kierowanymi do różnych celów)

Aktywne satelity, które zapewniają kierowanie w środkowej fazie lotu międzykontynentalnych pocisków balistycznych o kilku głowicach bojowych.

Na czterdzieści godzin przed główną konfrontacją Wschód-Zachód z Bazy Sił Powietrznych w Andrews wystrzelono

w odstępach dziesięciominutowych cztery bezzałogowe pociski raketowe.

Pierwszy odrzucił zużytą główną raketę nośną na wysokości stu mil i kontynuował wznoszenie się za pomocą silnika raketowego drugiego stopnia aż do wysokości stu osiemdziesięciu mil. Jego celem był satelita Sojuz, wystrzelony bez uprzedzenia przed osiemnastoma miesiącami.

Manewr wprowadzenia na orbitę wykonano z powodzeniem; komputery i aparatura kontrolerów naziemnych poinformowały, że ich pocisk raketowy, poruszający się z prędkością 18 000 mil na godzinę, przybliżył się do Sojuza z prędkością pięciu mil na godzinę na orbicie wyrównawczej.

Po pięciu minutach precyzyjnego manewrowania rakietowymi silnikami hamującymi amerykańska rakietka znalazła się w odległości trzech stóp od sowieckiego satelity.

Płyta umieszczona w głowicy rakiety odsunęła się i ładunek – miliony miedzianych dipolów, wielkości i kształtu igieł do cerowania – wyrzucony został powoli, tak że dipole otoczyły satelitę gęstym obłokiem, skutecznie zakłócając wszystkie napływające i wypływające sygnały.

Satelita nie zostanie uszkodzony na stałe. Jednakże przez dwieście godzin, dopóki wiatr słoneczny o prędkości miliona mil na godzinę ostatecznie nie rozwieje większości igieł, sowiecki MIRVOS będzie nie do użytku.

W ciągu następnych dwu godzin unieszkodliwione zostaną w podobny sposób trzy dalsze sowieckie satelity MIRVOS.

Rozdział piąty

42

Admirał Pearson z dwu powodów wybrał brytyjską fregatę HMS „Swiftfire” do unieszkodliwienia sowieckiego lotniskowca, gdyby ten próbował wejść na morze Marmara od strony Bosforu. Po pierwsze, gdy wybuchł kryzys, ten mały okręt wojenny – weteran przebywał właśnie z wizytą w Turcji i znajdował się na morzu Marmara. Po drugie, fregata wyposażona była

w idealną broń – śmigłowiec Wasp do zwalczania okrętów podwodnych. Użycie takiej małej maszyny uzbrojonej w torpedy i startującej z jednego z najmniejszych okrętów w siłach NATO dawało Zachodowi propagandowy atut – w razie gdyby ostatecznie podjęto atak na lotniskowiec Kijów – Sowieci naraziliby się na śmieszność wykrzykując o imperialistycznym terrorze. Na dwadzieścia pięć godzin przed konfrontacją fregata utrzymywała stan „obniżonej gotowości bojowej”. Jej pokłady były opustoszałe, wszystkie luki i drzwi zamknięte i uszczelnione, a okna obudowanego pomostu przysłonięte szczelnie okiennicami. HMS „Swiftfire” wyglądał jak okręt-widmo. Znieruchomiała nawet antena dalekosiężnego radaru – wszystkie informacje, jakie fregacie były niezbędne, dostarczano do jej działu rozpoznania elektronicznego z Boeingów AWACS, które nieustannie prowadziły obserwacje wschodniej strony z tureckiej przestrzeni powietrznej. Jej pociski woda-powietrze Seacat umieszczone na uchwytach śmigłowca były gotowe do użycia. Dowódca działu bojowego „Swiftfire” miał pod swoją komendą całe uzbrojenie okrętu i władny był wysuwać względem kapitana przeróżne „prośby”. Ten, jak i wszyscy technicy i marynarze znajdujący się przy pulpitych sterowniczych w przyciemnionym przedziale komputerowym i dziale rozpoznania elektronicznego, miał na sobie biały jednoczęściowy kombinezon chroniący przed radiacją nuklearną, bronią biologiczną i chemiczną, wraz z kapturem i przyciemnioną szybką zabezpieczającą przed błyskiem jądrowym. Powietrze dostarczano na cały okręt z niezależnego systemu, tak by okręt mógł kontynuować walkę z maksymalną efektywnością, nawet gdyby znalazł się w strefie skażonej intensywnym opadem radioaktywnym. – DDB „Swiftfire” do „Johnsona” – powiedział dowódca działań bojowych.

Admirał Pearson spojrział na ekran dekodera. Komputerowi wystarczyła zaledwie tysięczna część sekundy, żeby zanalizować głos oficera brytyjskiego, porównać fleksję i jakość tonalną, i wyświetlić na ekranie:

DOWÓDCA DZIAŁU BOJOWEGO – HMS SWIFT-

FIRE — POR. GERALD C. HOLMAN

— Zaczynajcie, „Swiftfire”.

– Jest tempo czwarte, sir.

– Doskonale, „Swiftfire”. Tak trzymać do dziesiątej godziny.

DDB potwierdził otrzymanie rozkazu i wyłączył się. Admirał Pearson okręcił się na krześle obrotowym i studiował zajmującą całą wysokość ściany szklaną mapę północnego i południowego Atlantyku, która dominowała w centrum dowodzenia bojowego „Johnsona”. Na samym dole mapy, na wodach Antarktyki, umieszczono znacznik symbolizujący okręt oceanograficzny „Eureka”, na którego pokładzie przebywał Hagan. Admirał żałował, że nie ma przy nim Hagana, przeklinał więc utrzymującą się złą pogodę, która uniemożliwiała powrót adiutanta. Przesłuchanie rozbitków z „Oriona” wydawało się teraz przedsięwzięciem mało ważnym i niepotrzebnym. Admirał Pearson obrócił się znowu twarzą w stronę konsoli kontrolnej i pochylił się do mikrofonu. Nacisnął klawisz łączący go z oficerem służby meteorologicznej na „Johnsonie”.

– Są jakieś zmiany warunków w rejonie „Eureki”?

– Sprawdzam, sir.

Nastąpiła przerwa, podczas której oficer sprawdzał ostatnie pogodowe zdjęcia satelitarne.

– Tak, sir. Wygląda na znaczną poprawę. Wichura zmniejszyła się do stopnia siódmego i przez cały czas słabnie.

Pearson chrząknął i wezwał przedział łączności

– Próбуйте połączyć się z „Eurką”. Jeśli wam się uda, powiedzcie kapitanowi Haganowi, że chcę, by jak najprędzej wrócił na „Johnsona”.

Następnie Pearson rozmawiał z oficerem służby logistycznej „Johnsona”, który potwierdził, że przy zatankowaniu w powietrzu i szybkim przetransportowaniu z USS „Guam” Hagan mógłby znaleźć się na „Johnsonie” w ciągu dziesięciu godzin. Kolejnym zadaniem zleconym admirałowi Pearsonowi przez Waszyngton było podniesienie stanu gotowości na amerykańskich atomowych okrętach podwodnych. Był to rozkaz,

który, jak dotąd, wydawał wyłącznie podczas ćwiczeń. Odmówił w duchu prostą, lecz żarliwą modlitwę i powiedział do mikrofonu: – Wszystkie SSBN-y wyznaczone do walki radial Charlie-Hotel-Foxtrot wprowadzić stan gotowości ISQ.

Rozkaz ten przełożony z wojskowego żargonu brzmiał: „Wszystkie uzbrojone w rakiety atomowe okręty wojenne – przygotować się do działań bojowych”.

43

– Hej, Sherwood! Ocknęła się! – krzyknął z wnętrza namiotu Oaf.

Sherwood zostawił radio ratraka, które usiłował naprawić, i wpełzł do namiotu. Julia miała ręce i głowę fachowo zabandażowane przez Norwega. Usiadła teraz w śpiworze i patrzyła szeroko otwartymi oczami na Sherwooda.

– Teraz w to wierzę – powiedziała do Oafa.

– W co? – zapytał Sherwood.

– Że nie umarliśmy. Co się stało?

Sherwood napotkał wzrok Oafa. Ten potrząsnął głową.

– Nie mówiłem jej, Sherwood.

– Nie mówiłeś mi o czym? Gadaj.

– Uderzyłaś się w głowę.

– Domyśliłam się. Gdzie jesteśmy? Jak daleko od Bazy?

– Trzysta mil – odparł Sherwood przepaszającym tonem.

– Słuchaj, jak możemy być tak daleko od Rosenthala?

Taka była odległość do wybrzeża – zauważyła nie bez racji Julia.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie szukając wzajemnie poparcia. Zanim zdążyli Julię powstrzymać, odgarnęła klapę i spoglądała ze zdumieniem na pak lodowy oddalony o jakieś pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym stał na usłanym łupkiem wybrzeżu namiot. Jęknęła.

– Brzeg – wyjaśnił niepotrzebnie Sherwood.

Jalia się nie odezwała. Obróciła głowę, żeby popatrzeć na ratrak zaparkowany kilka jardów dalej pod wysokim lodowym klifem. Pogruhotana kabina pojazdu została odcięta. Mogła

zauważyć bliźniacze ślady ostróg gąsienicy biegnące w dół załamania w pokrywie lodowej.

– I udało nam się znaleźć bezpieczną trasę w dół – powiedział triumfalnie Oaf.

Julia przymknęła oczy i mamrotała coś, co brzmiało jak prośba Boga o cierpliwość. Po czym otworzyła oczy i starannie dobierając słowa rzekła: – Jak to możliwe, że wiedząc, w jakiej kabale się znaleźliśmy, wy, dwaj idioci czy raczej imbecyle, n i e zawróciliście do bazy?

Sherwood energicznie kiwał głową. – Właściwe pytanie.

A oto właściwa odpowiedź: wyszłaś na górę po nieodpowiedniej stronie rozpadliny. Co nie znaczy, że mamy ci to za złe – dodał pospiesznie. – Uważamy, że spisałaś się świetnie, prawda, Oaf?

– Lepiej niż męzczyzna – zgodził się Norweg.

Julia nie miała nastroju do pochlebstw. – Czy stwierdziliście, dlaczego ten pak lodowy się topi?

– Tak – rzekł Sherwood. – Nie uwierzysz, ale...

– Okej. Czuję się wystarczająco dobrze, by ruszać w drogę, zaraz więc zwijamy obóz i wracamy.

– Nie możemy...

– Musimy, do licha. Może będziemy musieli zrobić wielkie koło, żeby ominąć tę rozpadlinę. – Zaczęła wychodzić ze śpiwora, Sherwood jednak ją powstrzymał.

– Nie ma to sensu, Julio.

Strząsnęła gniewnie jego rękę.

– Powiedz jej, Oaf.

– Nie wystarczy paliwa na powrót – rzekł Oaf bez ogródek. – Wystarczy na pięćdziesiąt mil, może na trochę więcej. Stwierdziłem właśnie, że w pozostałych beczkach jest nafta, nie nadająca się do dieslowskiego silnika. Złe oznakowania na beczkach.

Julia nagle znów siadła i patrzyła zdumiona na Oafa.

– Jesteś pewien?

Ten pokiwał głową ze smutkiem.

– I radio wysiadło – dodał Sherwood. – Odbiera, ale nie można niczego nadać.

Zapanowała długa cisza.

- Wobec tego ruszamy na piechotę – orzekła Julia.
- Jak odpoczniesz.

Znowu zapadła

cisza. >

- Co więc spowodowało topnienie lodowego paku?
- To nie jest topnienie – wyjaśnił Sherwood – lecz rozpadanie. I to szybkie.
- Dlaczego?
- Podnosi się wybrzeże i dno morskie w zatoce.
- Co?
- Coś takiego dzieje się w niektórych partiach Norwegii i Szkocji, tyle że o wiele wolniej. Ląd wciąż jeszcze wraca do siebie po obciążeniu pokrywą lodową i lodowcami w czasie ostatniej ery lodowcowej.

Julia się zasępiła. – Ale dlaczego dzieje się to tutaj?

Sherwood wskazał na wielki łuk ostrych jak brzytwa klifów lodowych okalających zatokę. – Te klify nie są zwietrzałe. Są nowe. Tej zatoki do niedawna tu nie było, do ostatniej Gwiazdki mniej więcej. – Przerwał. – Ten obóz i pole lodowe znajdują się w miejscu, gdzie było osiem czy dziewięć tysięcy mil sześciennych lodu. I teraz go nie ma.

44

Kiedy wzdłuż brzegów stambulskiego półwyspu Złoty Róg i na wielkim moście łączącym Europę z Azją zbierały się tłumy, żeby obserwować majestatyczne przepływanie lotniskowca klasy Kijów przez Bosfor, sto mil stamtąd na morzu Marmara brytyjska fregata HMS „Swiftfire” rozpoczęła końcową fazę przygotowań do unieszkodliwienia sowieckiego okrętu.

Wkrótce po południu otworzono wrota hangaru fregaty i dwaj ludzie wytoczyli Waspa na niewielkie lądowisko śmigłowcowe. Szybko zluzowali wirniki maszyny i rozłożyli składany ogon.

Pod śmigłowcem wisiała mała torpeda. Jej głowica została nastawiona w ten sposób, by torpeda wybuchła na głębokości sześćdziesięciu stóp poniżej rufy lotniskowca. Głębokość obliczono tak, by zatrzymać okręt przez uszkodzenie jego aparatury

rufowej, lecz nie zabijać i nie ranić członków załogi.

45

– Sabotaż – oznajmiła Julia.

Oaf i Sherwood oglądali uważnie płytkę z obwodem drukowanym, którą Julia wyjęła z radiotelefonu w rataku.

– Jeśli dobrze się przyjrzyjecie, zobaczycie, że ktoś obciął trzy druciki, żeby usunąć jakąś część składową. Pewno tranzystor. Powinniśmy byli wypróbować radiotelefon przed wyruszeniem w drogę.

– Nie mieliśmy dużo czasu – skonstatował sucho Sherwood.

Wszyscy troje wpatrywali się w małą płytkę pokrytą elektronicznymi podzespołami.

– No tak – powiedziała w końcu Julia. – Gdybyśmy mieli lutownicę, moglibyśmy spróbować wstawić tranzystor z odbiornika.

Sherwood potrząsnął przecząco głową. – Nawet gdybyśmy zdołali to naprawić, kto by nas usłyszał? Nigdy nie udałooby się nam wysłać sygnału ponad te klify.

– Dwunastowoltowa lutownica jest w skrzynce z narzędziami – zauważył Oaf.

– I nożyce do cięcia drutu?

– Pewno.

– Ale to nic nie da – upierał się Sherwood. – Nikt nas nie usłyszy.

46

Usłyszał ich okręt oceanograficzny USS „Eureka”.

Chorąży złapał kapitana Haganę w momencie, gdy ten miał już wsiąść do śmigłowca i wyruszyć na pierwszy etap długiego lotu powrotnego do admirała Pearsona na „Johnsonie”.

– Kapitanie Hagan!

Hagan postawił już nogę na schodkach śmigłowca, a pilot przytrzymał otwarte drzwi. Na wezwanie Hagan się odwrócił. Zadyszany chorąży ścisnął w ręce kawałek papieru. Niedbale zasalutował.

– Wiadomość od kapitana Sutherlanda, sir. Właśnie odebraliśmy sygnał wezwania pomocy. Bardzo słaby. Trzech członków z zespołu badawczego Rosenthala znalazło się w tarapatach na wybrzeżu Ziemi Coatsów i nie słyszeliśmy, żeby ktokolwiek im odpowiedział...

– Więc?

Młodszy oficer wyciągnął do niego rękę z kartką. – Ich położenie i nazwiska, sir.

Hagan rzucił okiem na wiadomość. Siadł nieoczekiwanie na stopniach i zmierzył podejrzliwym spojrzeniem chorążego.

– Czy to dowcip w stylu pańskiego kapitana?

– Nie, sir.

Hagan wręczył kartkę swojemu pilotowi. – Czy moglibyśmy dotrzeć tam, jeśli ta pogoda się utrzyma?

Pilot zniknął na moment we wnętrzu śmigłowca i wrócił z mapą. Jego mina wyrażała wątpliwość. – Tam i z powrotem to siedemset mil, sir.

– Okej – rzucił niecierpliwie Hagan. – A więc to długa droga. Czy zdołamy ją odbyć?

– Z trudem, sir. Jeśli pan tu zostanie.

– Dobra – powiedział Hagan ze znużeniem. – Lećcie po nich.

47

BUS

Ostatni członek wystrzeliwanego z okrętów podwodnych pocisku raketowego Trident, który przenosi zespół termonuklearnych głowic MIRV na wysokość odpalania.

Scena odgrywająca się na USS „Virgil Grissom” równocześnie odbywała się na wszystkich atomowych okrętach podwodnych uzbrojonych w Tridenty. Coś takiego zarządzano raz na tydzień, tym razem jednak na stanowiskach kontrolnych okrętu pojawiły się świetlne sygnały – zapalający się i gasnący napis w odstępach jednosekundowych – z częstotliwością obliczoną na wywołanie stanu gotowości bez powodowania niepożądanego paniki.

TO NIE SĄ ĆWICZENIA... TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

Oficer uzbrojenia przyłożył twarz do miękkiej gumowej osłony wizjera i kręcił nie oznakowaną tarczą kombinacji. Kolejno pojawiały się jarzące się cyfry: odwrotnie podana data urodzin żony, poprzedzona pierwszymi cyframi z kodu adresowego jego domu. Wyklarował monitor i otworzył zewnętrzne drzwiczki sejfu. Teraz do osłony przycisnął oczy wyższy oficer i nastawił własną kombinację cyfr. Nie znali wzajemnie swoich kombinacji.

TO NIE SĄ ĆWICZENIA... TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

Wyższy oficer otworzył wewnętrzne drzwiczki sejfu i wyjął z niego dwa identyczne klucze. Podał jeden oficerowi uzbrojenia, po czym obaj powrócili na swoje stanowiska: wyższy oficer na stanowisko dowodzenia, oficer uzbrojenia na stanowisko kontroli broni raketowej znajdujące się trzy pokłady poniżej. Szli w całkowitej ciszy wyłożonymi chodnikami, klimatyzowanymi przejściami.

TO NIE SĄ ĆWICZENIA... TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

Dotarłszy do stanowiska kontroli oficer uzbrojenia otworzył własny sejf. W środku znajdowały się dwa spusty podobne do tych, jakie są w kolcie jedenastce. Czarny i czerwony. Czarny spust był przeznaczony do ćwiczeń. Oficer wziął czerwony. Zamknął sejf i w milczeniu zlustrował rząd techników pochylonych nad swoimi konsolami. Ustały zwykle dobroduszne żarty, jak tylko okręt podwodny postawiono w stan ISQ i zaczęły się zapalać napisy:

TO NIE SĄ ĆWICZENIA... TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

- Przygotować do zaprogramowania pocisk pierwszy
- rozkazał oficer uzbrojenia operatorowi.
- Przygotować do zaprogramowania pocisk pierwszy
- powtórzył obojętnym tonem operator do rejestratora głosu w centrum uzbrojenia. Nacisnął guzik, który uruchomił komputerową kontrolę układów sterowania pierwszego pocisku Trident. Dla każdego MIRV-a cele zostały zaprogramowane automatycznie zależnie od pozycji okrętu podwodnego. Trajektorię orbitalną BUS-a planowano tak, żeby swoje głowice

bojowe mógł rozrzucić z maksymalnym efektem.

Oficer uzbrojenia włożył klucz sterujący do wyłącznika odpalania, po czym go w nim przekręcił. Następnie wkręcił czerwony spust na miejsce. Ze względów psychologicznych, mechanizm kierowania odpalaniem pocisku raketowego zaprojektowano tak, żeby przypominał kolbę broni ręcznej.

Uznano, że jeszcze jeden guzik nie wyrażałby właściwego emocjonalnego stosunku wobec wagi kontroli.

Nie obracając się, jak to zwykł robić w czasie cotygodniowych ćwiczeń, operator zameldował: – Programowanie pocisku pierwszego rozpoczęto.

Oficer uzbrojenia połączył się z kapitanem znajdującym się w centrali okrętu. – Programowanie pocisku rozpoczęto, sir.

Dowódca potwierdził otrzymanie meldunku i patrzył na pierwszą z wielu list celów, które pojawiały się na ekranie: nazwy miast, większych i mniejszych. Niektóre nazwy rozpoznawał, niektórych nie – pisane były fonetycznie po angielsku, a pod spodem cyrylicą. Klucz do odpalania miał w lewej kieszeni.

Pozostanie tam, dopóki zaszyfrowany głos prezydenta nie dotrze do nich na czterech różnych częstotliwościach radiowych, nie zostanie ponownie zmontowany przez komputery okrętowe i przedłożony do identyfikacji dekodermu. Dopóki prezydent nie wyda rozkazu i kapitan nie włoży swojego klucza do odpalania, żaden z Tridentów nie zostanie wystrzelony.

Tymczasem niewiele można było robić, tylko czekać i próbować ignorować zapalający się napis, który powtarzał:

TO NIE SĄ ĆWICZENIA... TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

TO NIE SĄ ĆWICZENIA...

48

Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział w szklanej dźwiękoszczelnej kabinie czując się tak, jakby uczestniczył w telewizyjnym kwizie, tylko że tutaj w grę wchodziło życie szóstej części mieszkańców świata.

W ustach mu zaschło. Nalał sobie z karafki kolejną szklankę wody i popijał, obserwując niesłyszalną krzątaninę po drugiej stronie szyby. Obszerne pomieszczenie wypełniali wyżsi oficerowie

wie wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Odbywało się przynajmniej dwadzieścia rozmów telefonicznych, ale prezydent widział tylko ruch warg. Ścienne mapę ukazującą pozycje wojsk NATO i Układu Warszawskiego umieszczono na użytek znajdujących się tam ludzi i nie była ona potrzebna komputerom – informacje, których dostarczały mapy, zdezaktualizowały się w ciągu potencjalnie zgubnych pięciu sekund.

W ustach mu zaschło.

Znacznik wskazywał lotniskowiec Kijów przepływający przez Bosfor. Inny znacznik, na morzu Marmara, symbolizował czyhającą na niego brytyjską fregatę.

W ustach mu zaschło. Nalał sobie jeszcze wody. Obserwował go jakiś generał. Udało mu się powstrzymać trzęsienie rąk. Nie drżały.

Na mapie ściennej rozbłysło światło. Zlokalizowano drugi sowiecki atomowy okręt podwodny klasy Yankee w odległości dwustu mil od Long Island. Śmigłowce do zwalczania okrętów

PODWODNYCH BĘDĄ GO ŚLEDZIĆ UŻYWAJĄC HYDROLOKATORA ZANURZA-

NEGO. PREZYDENT BYŁ KIEDYŚ PILOTEM ŚMIGŁOWCÓW I PEWNEGO RAZU PRZEZ TRZY GODZINY ŚLEDZIŁ TAKIEGO YANKEE W ZANURZENIU. W CIĄGU TEGO CZASU ROSYJSKI DOWÓDCA ROBIŁ PRAKTYCZNIE WSZYSTKO, CO MÓGŁ, Z WYJĄTKIEM MOŻE PODWODNYCH KOZIOŁKÓW, GORĄCZKOWO PRÓBUJĄC POZBYĆ SIĘ SWEGO BEZLITOSNEGO PRZEŚLADOWCY. PO TRZECH GODZINACH ZAKRĘTÓW, GWAŁTOWNYCH ZMIAN GŁĘBOKOŚCI I KURSU, CZASAMI NIEMAL ZAMIERAJĄC, A POTEM ROBIĄC TRZYDZIEŚCI PIĘĆ WĘZŁÓW, ROSJANINOWI UDAŁO SIĘ UCIEC DZIĘKI ZANURZENIU SIĘ PONIŻEJ WARSTWY ZIMNEJ WODY, KTÓRA ZAŁAMAŁA O PONAD DWADZIEŚCIA STOPNI WIĄZKĘ PROMIENI SONARU. NASTĄPIŁY POTEM KOLEJNE DWIE GODZINY BEZOWOCNEGO ROZGLĄDANIA SIĘ PO PRZESZŁO PIĘCIUSET MILACH KWADRATOWYCH OCEANU – ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY JEDNAK ZNIKNĄŁ.

CHOLERNE YANKEE.

W USTACH MU ZASCHŁO.

KOLEJNA SZKLANKA WODY.

– PAŃSKI GŁOS MUSI BRZMIEĆ CAŁKIEM NATU-

RALNIE PODCZAS WYDAWANIA ROZKAZU, PANIE
PREZYDENCIE.

JAK, U LICHA, MOŻNA OCZEKIWAĆ, BY GŁOS BRZMIAŁ „CAŁKIEM
NATURALNIE” PODCZAS WYDAWANIA TAKIEGO ROZKAZU.

UDERZYŁ W MIKROFON KARAFKĄ. TUZIN PAR OCZU ODWRÓCIŁO SIĘ
W STRONĘ KABINY.

W USTACH MIAŁ WCIAŻ SUCHO.

CHOLERNE YANKEE.

49

LOTNISKOWIEC KLASY KIJÓW SUNĄŁ W MGIEŁCE PÓŹNEGO POPOŁU-
DNIA JAK SZARY DUCH. NAJSTRASZNIJSZY DUCH, JAKI KIEDYKOLWIEK
SUNĄŁ PO POWIERZCHNI MORZA MARMARA. BYŁ TO PIERWSZY LOTNIS-
KOWIEC SOWIECKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ – OWOC TYSIĘCY GODZIN
SPĘDZONYCH PRZEZ TRAWLERY WYWIADU W POBLIŻU AMERYKAŃSKICH
I BRYTYJSKICH LOTNISKOWCÓW; FOTOGRAFOWAŁY JE, MIERZYŁY POKŁAD
ŁADOWANIA I STARTÓW, WYSOKOŚĆ NAD WODĄ, PODWODNY KSZTAŁT
KADŁUBA. JEDEN Z NICH PRZEPŁYNAŁ NAWET SAMOBÓJCZO TUŻ PRZED
DZIOBEM „ARK ROYAL”, ŻEBY SIĘ PRZEKONAĆ, JAK SZYBKO BRYTYJSKI
OKRĘT WOJENNY MOŻE MANEWROWAĆ.

ADMIRAŁ TURGIENIEW ZROBIŁ Z NIEGO SWÓJ OKRĘT FLAGOWY.

WIEDZIAŁ O BRYTYJSKIEJ FREGACIE I O TYM, ŻE ZNAJDUJE SIĘ ONA WCIAŻ
NA MORZU MARMARA, MIMO ŻE DAWNO MIAŁA UKOŃCZYĆ WIZYTĘ
W TURCJI. NIETRUDNO BYŁO ZGADNAĆ DLACZEGO. PRZEZ TYDZIEŃ, KIEDY
KIJÓW PŁYNAŁ PRZEZ MORZE CZARNE, ADMIRAŁ MODLIŁ SIĘ, BY
POLITYCY ZMĄDRZELI I KAZALI MU WRACAĆ DO SEWASTOPOLA. TERAZ,
GDY OPARTY NA BARIERCIE MOSTKA PRZYGLĄDAŁ SIĘ PRZEZ LORNETKĘ
FREGACIE „SWIFTFIRE”, BYŁO JUŻ CHYBA ZA PÓŹNO. NIKT NIE ZAMIERZAŁ
USTĄPIĆ.

OCENIAŁ, ŻE BRYTYJSKA FREGATA ZNAJDUJE SIĘ W ODLEGŁOŚCI
DWUDZIESTU KILOMETRÓW – W PROSTEJ LINII PRZED NIMI, A TAKŻE, IŻ
Z HANGARU NA RUFIE WYTACZANO ŚMIGŁOWIEC WASP. MGIEŁKA
UNIEMOŻLIWIAŁA OKREŚLENIE, CO DZIEJE SIĘ NA POKŁADACH FREGATY.
POWINNI TO WIEDZIEĆ W DZIALE RADIOLOKACYJNYM – PRZY TEJ
ODLEGŁOŚCI MOGĄ UCHWYCIĆ NAWET NAJMNIEJSZY RUCH WYRZUTNI
POCISKÓW SEACAT.

PODSZEDŁ DO NIEGO OFICER NIŻSZEGO STOPNIA I ZASALUTOWAŁ.

– DOWÓDCA PRZESYŁA WYRAZY SZACUNKU, TOWARZYSZU ADMIRALE. ŚMIGŁOWIEC NA FREGACIE ZAPALIŁ SILNIK. SZEFSŁUŻBY RADIOLOKACYJNEJ ZAMELDOWAŁ, ŻE WIRNIKI SIĘ OBRACAJĄ. TURGIENIEW ODSALUTOWAŁ. JEJGO ODPOWIEDŹ ZANIKNĘŁA W PRZENIKLIWYM DŹWIĘKU ALARMÓW WZYWAJĄCYCH ZAŁOGĘ DO ZAJĘCIA STANOWISK, ROZBRZMIEWAJĄCYCH NA CAŁYM LOTNISKOWCU. UNIÓSŁ LORNETKĘ DO OCZU. WASP STARTOWAŁ WŁAŚNIE Z BRYTYJSKIEGO OKRĘTU. MIĘDZY JEJGO CZTEREMA NADWYMIAROWYMI KOŁAMI ZOBACZYŁ ŁATWY DO ROZPOZNANIA KSZTAŁT CYGARA – TORPEDĘ.

50

DOKTOR Z „EUREKI” OPATRZYŁ RĘCE JULII W SZPITALU OKRĘTOWYM, PODCZAS GDY KAPITAN HAGAN ZARZUCAŁ O AFA I SHERWOODA PYTANIAMI. OSZOŁOMIŁA GO ODPOWIEDŹ GEOLOGA NA OSTATNIE PYTANIE.

– „ORION” ZOSTAŁ... CO TAKIEGO?

– MOŻLIWE, ŻE ZOSTAŁ ZATOPIONY PRZEZ PODWODNĄ GÓRĘ LODOWĄ – POWTÓRZYŁ SHERWOOD.

HAGANA ZATKAŁO NA CHWILĘ. – CZY PAN NAPRAWDĘ MYŚLI, ŻE W TO UWIERZĘ?

– JESTEM PEWIEN, ŻE TO BYŁA GÓRA LODOWA – UPIERAŁ SIĘ SHERWOOD. ŻAŁOWAŁ, ŻE NIE TRZYMAŁ JĘZYKA ZA ZĘBAMI, ALE JULIA NALEGAŁA, BY WYJAWIŁ SWOJE PODEJRZENIA.

– PODWODNA GÓRA LODOWA? – RZUCIŁ SARKASTYCZNIE HAGAN. SHERWOOD POPATRYŁ NA JULIĘ, LECZ ONA UNIKAŁA JEJGO WZROKU.

– DO CIEBIE NALEŻY OBRONA SWOICH POGLĄDÓW. NIKT INNY NIE MOŻE WIERZYĆ W COŚ ZA CIEBIE – POWIEDZIAŁA MU.

– ZANURZYŁA SIĘ POD WODĘ, BO TKWI W NIEJ MASYW GÓRSKI, MOŻE NAWET KILKA. ODŁUPAŁY SIĘ, GDY NIE MOGŁY JUŻ UTRZYMAĆ CIĘŻARU POKRYWY LODOWEJ. – SHERWOOD PRZERWAŁ. NIEŁATWO BYŁO MÓWIĆ, GDY HAGAN PATRYŁ NA NIEGO Z NIE UKRYWANĄ WROGOŚCIĄ.

– PRZY ZRZUCANIU MAS LODOWYCH MIAŁA OKOŁO STU OSIEMDZIESIĘCIU MIL NA DZIEWIĘDZIESIĄT I BYŁA W KSZTAŁCIE TRÓJKĄTA. BLISKO OSIEM TYSIĘCY MIL SZEŚCIENNYCH LODU, GDYBY TO POZOSTAŁO W JEDNYM KAWAŁKU.

HAGAN MIAŁ SZKLISTE OCZY. – MAM OCHOTĘ WYSŁAĆ CAŁĄ WASZĄ

TRÓJKĘ Z POWROTEM TAM, GDZIE WAS ZNALEŻLIŚMY – OZNAJMIŁ SZORSTKO.

SHERWOOD ZDECYDOWAŁ, ŻE ŁATWIEJ BĘDZIE SIĘ WYCOFAĆ, I RZEKŁ:

– TO TYLKO HIPOTEZA, KAPITANIE. NIE TWIERDZĘ, ŻE...

– NIE! – POWIEDZIAŁA ZE ZŁOŚCIĄ JULIA. – NIE JEST TO TYLKO HIPOTEZA. ZA DUŻO FAKTÓW SIĘ ZGADZA: LODOWATA WODA W MIEJSCU ZATONIĘCIA „ORIONA”, KOLOR MORZA... WSZYSTKO!

HAGAN PAMIĘTAŁ DZIWNY ODCIEŃ MORZA NA FILMIE CBS. ZMARSZCZYŁ BRWI. PONADTO TAJEMNICA LODOWATEJ WODY, KTÓRA UŚMIERCIŁA

TAK WIELU PASAŻERÓW, KIEDY EWAKUOWALI SIĘ ZE STATKU. – A CO Z MGŁĄ? CZY PAŃSKA GÓRA LODOWA MOŻE WYJAŚNIĆ RÓWNIEŻ I TO?

– CIEPŁE POWIETRZE I ZIMNE MORZE – ODEZWAŁ SIĘ PO RAZ PIERWSZY OAF.

HAGAN ZACZYNAŁ SIĘ CZUĆ NIEPEWNIENIE. ZA KAŻDYM RAZEM, KIEDY KTOŚ Z TEJ TRÓJKI ZABIERAŁ GŁOS, TRAFIAŁ W CZUŁY PUNKT. – DOBRA – RZEKŁ. – A GDZIE TERAZ JEST TA GÓRA?

SHERWOOD ZASTANAWIAŁ SIĘ PRZEZ CHWILĘ. – WCHODZIMY TU W STREFĘ DOMYSŁÓW, ALE JEŚLI WEŹMIEMY POD UWAGĘ TO, KIEDY ZATONAŁ „ORION”, I NIEWIELKĄ PRĘDKOŚĆ PRĄDU, POWIEDZIAŁBYM, ŻE GENERALNIE POSUWA SIĘ W KIERUNKU WYSP ZIELONEGO PRZYŁĄDKA.

– DRYFUJĄC POD POWIERZCHNIĄ?

– TAK. MUSI. JEŚLI OCZYWIŚCIE NIE POZBYŁA SIĘ MASYWU GÓRSKIEGO, BO WTEDY WYPŁYNEŁABY NA POWIERZCHNIĘ. LECZ NAWET ZANURZONĄ NIETRUDNO ZLOKALIZOWAĆ. TRZEBA TYLKO UŁOKOWAĆ NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYŁĄDKA ZESPÓŁ LUDZI ZE ŚMIGŁOWCEM, TAK BY

MOGLI SYSTEMATYCZNIE PENETROWAĆ OCEAN W POSZUKIWANIU CIĄGNĄCEJ

SIĘ ZA GÓRĄ LODOWĄ SMUGI MORSKIEJ WODY O NISKIM ZASOLENIU, BO KAŻDEGO DNIA BĘDZIE POZBYWAĆ SIĘ MILIONÓW TON SŁODKIEJ WODY. HAGAN ZDECYDOWAŁ, ŻE SHERWOOD TO SZALENIEC.

– PRZYSZŁO MI WŁAŚNIE COŚ DO GŁOWY – WTRĄCIŁA SIĘ JULIA.

A TERAZ TA, POMYŚLAŁ HAGAN.

JULIA POPATrzyŁA Z NAMYSŁEM NA SHERWOODA I POWIEDZIAŁA:

– CZY GÓRA LODOWA PRZESUWAJĄC SIĘ DOTYKA DNA OCEANU?

- TO CAŁKIEM MOŻLIWE – PRYZNAŁ SHERWOOD. – ALE MOŻE NIE BYĆ ŻADNYCH OZNAK SEJSMICZNYCH, PONIEWAŻ NA DNIE OCEANU JEST KILKUSIETMETROWA WARSTWA OSADU.
- JEDNAKŻE TEN OSAD JEST WYSTARCZAJĄCO GĘSTY, ŻEBY WYTRZYMAĆ WAGĘ KABLI TELEFONICZNYCH, PRAWDA?
- TAK – POTWIERDZIŁ ZASTANAWIAJĄC SIĘ, DO CZEGO ONA ZMIERZA.
- NO I WIDZICIE – OZNAJMIŁA Z TRIUMFEM JULIA. ZWRÓCIŁA SIĘ DO HAGANA: – JEŚLI GLYN MA RACJĘ, TO PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ JEGO GÓRA LODOWA PRZETNIE KABEL TRANSATLANTYCKI. SŁOWA JULII WYWARŁY NATYCHMIASTOWY SKUTEK. HAGAN ZBLADŁ I ZERWAŁ SIĘ NA RÓWNE NOGI. RZUCIWSZY KRÓTKIE: – POCZEKAJCIE TU – RUSZYŁ SZYBKO KU DRZWIOM I ZNIKNĄŁ.

51

- JEST MELDUNEK Z WESTERN ELECTRIC – ROZLEGŁ SIĘ GŁOS SEKRETARZA STANU PRZEZ GŁOŚNIK W KABINIE. – KOMUNIKUJĄ, ŻE WZMACNIACZE W TAT 12, TRANSATLANTYCKIM KABLU TELEFONICZNYM MIĘDZY STANAMI ZJEDNOCZONYMI A AFRYKĄ POŁUDNIOWĄ, NIE MOGŁY ZOSTAĆ ZNISZCZONE, TAK JAK ZOSTAŁY, NA SKUTEK DZIAŁALNOŚCI CZŁOWIEKA. PODAJĄ, ŻE USZKODZENIE WZMACNIACZA 133 JEST TYPOWYM PRZYKŁADEM...
- NIE INTERESUJĄ MNIE SZCZEGÓŁY – PRZERWAŁ MU PREZYDENT.
- CHCĘ WIEDZIEĆ, CZY MAMY WYSTARCZAJĄCE DANE DO ODWOŁANIA TEJ OPERACJI.
- JESZCZE COŚ, PANIE PREZYDENCIE. WESTERN ELECTRIC PODAJE, ŻE TAJEMNICZE PRZECIĘCIA KABLI ZDARZAŁY SIĘ JUŻ POPRZEDNIO. OSIEMNASTEGO LISTOPADA TYSIĄC DZIEWIĘCSET DWUDZIESTEGO DZIEWIĄTEGO ROKU ZOSTAŁA PRZECIĘTA WIĘKSZOŚĆ KABLI MIĘDZY AMERYKĄ A EUROPEJĄ. PODOBNY WYPADEK WYDARZYŁ SIĘ WCZEŚNIEJ, W ROKU TYSIĄC OSIEMSET OSIEMDZIESIĄTYM ÓSMYM, KIEDY ZOSTAŁO PRZECIĘTYCH KILKA KABLI DO AUSTRALII. SPOWODOWAŁO TO MOBILIZACJĘ AUSTRALIJSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ. W OBU PRZYPADKACH NIGDY NIE ODKRYTO PRZYCZYNY.
- PREZYDENT PRZEZ KILKA SEKUND OBSERWOWAŁ KRZĄTANINĘ W POMIESZCZENIU, ZANIM ODPOWIEDZIAŁ. OSTATNI KOMUNIKAT MÓWIŁ ^

O DWUDZIESTU BOMBOWCACH DALEKIEGO ZASIĘGU TUPOLEW 95 PRZELATUJĄCYCH NIEBEZPIECZNIE BLISKO AMERYKAŃSKIEGO TERYTORIUM. NO RAD JEST GOTÓW DO ROZPRAWIENIA SIĘ Z NIMI, JEŚLI TYLKO NARUSZĄ PRZESTRZEŃ POWIETRZNĄ ALASKI.

– OPERACJA TRWA – POWIEDZIAŁ.

52

ADMIRAŁ PEARSON DZIAŁAŁ NA WŁASNĄ RĘKĘ POLECAJĄC NAWIĄZANIE ŁĄCZNOŚCI MIĘDZY AMERYKAŃSKIM A ROSYJSKIM LOTNISKOWCEM, USŁYSZAWSZY, ŻE OKRĘT SOWIECKI PŁYNIE POD FLAGĄ ADMIRAŁA TURGIENIEWA.

W BOJOWYM STANOWISKU DOWODZENIA NA „JOHNSONIE” ZAPADŁA CISZA, GDY ADMIRAŁ PEARSON PODNIÓSŁ SŁUCHAWKĘ SWEGO TELEFONU.

– DZIEŃ DOBRY, ADMIRALE TURGIENIEW – ODEZWAŁ SIĘ PO ROSYJSKU. – MÓWI ADMIRAŁ BRANDON PEARSON.

– DZIEŃ DOBRY – POWIEDZIAŁ UPRZEJMIE ROSJANIN.

– PRZYKRO MI, ŻE NIE WZIĘLIŚCIE POD UWAGĘ NASZYCH OSTRZEŻEŃ I NARUSZACIE KONWENCJĘ Z MONTREAUX.

– NIE JESTEM UPOWAŻNIONY, ABY NA TEN TEMAT DYSKUTOWAĆ

– ODPARŁ LODOWATO ROSJANIN.

– JEŚLI ZAWRÓCICIE...

– TO NIE WCHODZI W RACHUBĘ – OZNAJMIŁ ADMIRAŁ TURGIENIEW. – SOWIECKA MARYNARKA WOJENNA KORZYSTA JEDYNIENIE ZE SWEGO PRAWA PRZEPŁYWANIA PRZEZ BOSFOR.

ADMIRAŁ PEARSON SŁUCHAŁ CIERPLIWIE, GDY ROSJANIN PRZEDSTAWIĄŁ W ZARYSIE HISTORIĘ KONWENCJI Z MONTREAUX.

– CZY PROSIŁ PAN O POZWOLENIE ZAWRÓCENIA? – SPYTAŁ GO, NIE OCZEKUJĄC, ŻE ROZMÓWCA ODPOWIE NA TO PYTANIE.

ZDZIWIŁ SIĘ, GDY ROSJANIN RZEKŁ: – TAK. TUŻ PRZED WEJŚCIEM DO BOSFORU.

– CZY WIDZI PAN W POBLIŻU WAS BRYTYJSKI ŚMIGŁOWIEC WASP?

– TAK. LECI W ODLEGŁOŚCI SZEŚCIU KILOMETRÓW OD NASZEJ PRAWEJ BURTY. OBSERWUJEMY GO BACZNIE. – ROSYJSKI OFICER MÓWIŁ BEZNAMIĘTNYM GŁOSEM. BEZ ZAINTERESOWANIA.

– OCZEKUJE NA MÓJ ROZKAZ, ŻEBY WAS ZAATAKOWAĆ – OZNAJMIŁ BEZ OGRÓDEK PEARSON.

CHORAŻY ŁĄCZNOŚCI, Z ZAPIECZĘTOWANĄ KOPERTĄ W RĘCE, USIŁO-

WAŁ PODEJŚĆ DO ADMIRAŁA PEARSONA, ALE ZOSTAŁ ZATRZYMANY PRZEZ PORUCZNIKA.

– TO OD ADIUTANTA ADMIRAŁA Z „EUREKI” – TŁUMACZYŁ ŁĄCZNOŚCIOWIEC. – OD KAPITANA HAGANA. ON TWIERDZI, ŻE TO WAŻNA WIADOMOŚĆ.

– CZEGO DOTYCZY?

– NIE WIEM, SIR. JEST TAJNA, WIĘC ZAPIECZĘTOWAŁEM JĄ BEZ CZYTANIA”, JAK TYLKO OPUŚCIŁA DALEKOPIS.

– GDZIE JEST „EUREKA”?

– NA POŁUDNIOWYM ATLANTYKU. DOKŁADNE POŁOŻENIE PODANO W KODZIE NAGŁÓWKOWYM.

PORUCZNIK WZIĄŁ OD NIEGO KOPERTĘ. WIADOMOŚĆ ZE STATKU OCEANOGRAFICZNEGO ODDALONEGO O KILKA TYSIĘCY MIL, JAK SĄDZIŁ, NIE MOGŁA BYĆ NA TYLE WAŻNA, BY USPRAWIEDLIWIĆ PRZESZKADZANIE ADMIRAŁOWI W KRYTYCZNEJ FAZIE OPERACJI.

– OKEJ – POWIEDZIAŁ PORUCZNIK DO ŁĄCZNOŚCIOWCA. – DOPILNUJĘ, ŻEBY ADMIRAŁ TO DOSTAŁ, JAK BĘDZIE WOLNY.

ŁĄCZNOŚCIOWIEC ZASALUTOWAŁ I ODMELDOWAŁ SIĘ. PORUCZNIK POŁOŻYŁ KOPERTĘ NA POBLISKIEJ KONSOLI I NATYCHMIAST O NIEJ ZAPOMNIAŁ.

ADMIRAŁ PEARSON PRZEŁOŻYŁ SŁUCHAWKĘ DO PRAWEGO UCHA. ROSJANIN NIE ODPOWIEDZIAŁ NA JEGO POPRZEDNIE OŚWIADCZENIE.

– CZY PAN MNIE SŁYSZY, ADMIRALE?

– SŁYSZAŁEM PANA – ODEZWAŁ SIĘ ADMIRAŁ TURGIENIEW PO DŁUŻSZEJ PRZERWIE. – JEŚLI NAWET ZACHOWACIE SIĘ W TAK AGRESYWNY

SPOSÓB, NAM POLECONO NIE STOSOWAĆ ODWETU. WĄTPIĘ JEDNAK, CZY PODOBNE POLECENIA WYDANO RESZCIE NASZYCH SIĘ ZBROJNYCH.

– NIECH PAN POSŁUCHA – POWIEDZIAŁ POWAŻNYM TONEM PEARSON. – JESTEM GOTÓW ZAPOBIEC TEMU KONFLIKTOWI PRZEZ ODWOŁANIE OPERACJI I REZYGNACJĘ ZE SWEGO STANOWISKA, JEŚLI PAN GOTÓW JEST ZROBIĆ TO SAMO ROZKAZUJĄC SWOJEMU LOTNISKOWCOWI ZAWRÓCIĆ.

– ZREZYGNOWAĆ ZE SWEGO STANOWISKA? – POWTÓRZYŁ Z NIEWOIERZANIEM ROSJANIN.

– CZY TO MA JAKIEŚ ZNACZENIE, CO SIĘ STANIE Z NAMI? – SPYTAŁ PEARSON. – JAKIE, DO DIABŁA, MA TO ZNACZENIE, JEŚLI NASZE DZIAŁANIE MOŻE ZAPEWNIĆ WSZYSTKIM SPOKÓJ.

– MY SZKOLIMY NASZYCH OFICERÓW PO TO, ŻEBY SŁUCHALI ROZKAZÓW – SKOMENTOWAŁ TURGIENIEW.

– BZDURA. SZKOLICIE ICH, ŻEBY KORZYSTALI Z WŁASNEJ INICJATYWY, PODOBNIENIE JAK MY.

– PAN SŁUCHA SWOICH ROZKAZÓW – RZEKŁ ROSJANIN – A JA BĘDĘ SŁUCHAŁ SWOICH. – W SŁUCHAWCE PEARSONA ROZLEGŁ SIĘ TRZASK

I SYK FALI.

PEARSON BURKNAŁ COŚ POD NOSEM I RZUCIŁ SŁUCHAWKĘ NA WIDEŁKI. ZIGNOROWAŁ NAPIS: „PALENIE WZBRONIONE!” I ZAPALIŁ CYGARO. PODNIÓSŁ SZY GŁOWĘ NAPOTKAŁ SPOJRZENIE OFICERA INSPEKCYJNEGO, KTÓRY SPOGLĄDAŁ NA NIEGO NIEPEWNIENIE.

– NIE MA NICZEGO Z WASZYNGTONU? – SPYTAŁ PEARSON.

ADMIRAŁ ZACIĄGNAŁ SIĘ DYMEM CYGARA. NAGLE POCZUŁ SIĘ BARDZO STARY. PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU ŻAŁOWAŁ, ŻE WYBRAŁ SOBIE TAKI ZAWÓD.

POPATrzył NA CYFROWY ZEGAR I POWIEDZIAŁ: – TEN ROZKAZ OBOWIĄZU-

JE O DZIEWIĘTNASTEJ DZIESIĘĆ CZASU UNIWERSALNEGO. ROZPOCZĄĆ ATAK.

53

SŁOWA WYPOWIEDZIANE PRZEZ PILOTA ŚMIGŁOWCA WASP, KTÓRY RELACJONOWAŁ NA BIEŻĄCO CZYNNOŚCI ZWIĄZANE Z PRYZYSTĄPIENIEM DO UDERZENIA, SŁYSZANO WE WSZYSTKICH WAŻNIEJSZYCH STANOWISKACH DOWODZENIA W CAŁYM SOJUSZU NATO. SŁUCHAŁY WSZYSTKIE GŁOWY PAŃSTW, WSZYSCY GENERAŁOWIE, ADMIRAŁOWIE I DOWÓDCY SIŁ POWIETRZNYCH. ENERGETYCZNY, SPOKOJNY GŁOS BRYTYJSKIEGO PILOTA NIE

WSKAZYWAŁ NA TO, ŻEBY ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ, JAK WIELU MA SZACOWNYCH SŁUCHACZY.

– DZIESIĘĆ TYSIĘCY JARDÓW – POWIEDZIAŁ DO MIKROFONU.

UTRZYMYWAŁ STAŁE WYSOKOŚĆ PIĘĆDZIESIĘCIU STÓP NAD POWIERZCHNIĄ MORZA BEZ ZASIĘGANIA INFORMACJI Z POKŁADOWEGO RADARU.

– PRĘDKOŚCIOMIERZ WSKAZUJE SZEŚĆ-ZERO WĘZŁÓW... ZMNIEJSZAM DO CZTERECH-ZERO.

NIE SPUSZCZAŁ WZROKU ZE SWEGO CELU. GDYBY SOWIECKI LOTNISKOWIEC, Z KAŻDĄ SEKUNDĄ ROBIĄCY CORAZ GROŹNIEJSZE WRAŻENIE, DOKONAŁ NAJMNIEJSZEJ ZMIANY PRĘDKOŚCI CZY KURSU, MIAŁ NATYCHMIAST PRZERWAĆ ATAK I CZEKAĆ NA DALSZE ROZKAZY. W ODLEGŁOŚCI DWU TYSIĘCY JARDÓW MIAŁ WYRZUCIĆ SAMONAPROWADZAJĄCĄ SIĘ TORPEDĘ.

– OSIEM TYSIĘCY JARDÓW. MAM DOSKONAŁY KONTAKT WZROKOWY.

PREZYDENT UPIŁ TROCHĘ WODY ZE SZKLANKI.

– SZEŚĆ TYSIĘCY JARDÓW – OZNAJMIŁ GŁOŚNIK W SZKLANEJ KABINIE.

A NAJDZIWNIEJSZE, ŻE MÓJ PULS MA BYĆ NORMALNY, POMYŚLAŁ PREZYDENT.

– PIĘĆ TYSIĘCY JARDÓW – OZNAJMIŁY GŁOŚNIKI NA BOJOWYM STANOWISKU DOWODZENIA NA „JOHNSONIE”. – ANI ŚLADU AKTYWNOŚCI NA POKŁADZIE LOTNISKOWCA. WYGLĄDA NA OPUSTOSZAŁY. ADMIRAŁ PEARSON SKIŃAŁ NA PORUCZNIKA, KTÓRY, JAK ZAUWAŻYŁ, WZIĄŁ OD ŁĄCZNOŚCIOWCA KOPERTĘ PODCZAS JEGO ROZMOWY Z SOWIECKIM ADMIRAŁEM.

– CZTERY TYSIĄCE JARDÓW – OZNAJMIŁY GŁOŚNIKI.

– SIR?

– CO TO BYŁA ZA WIADOMOŚĆ?

PORUCZNIK MIAŁ ZMIESZANĄ MINĘ.

– PRZEPĘDZIŁ PAN PRZED CHWILĄ CHORAŻEGO.

TWARZ PORUCZNIKA SIĘ ROZJAŚNIŁA. – OCH TAK, SIR. RACJĄ, JEST DLA PANA WIADOMOŚĆ OD KAPITANA HAGANA.

– TRZY TYSIĄCE JARDÓW – RZEKŁ PILOT ŚMIGŁOWCA. W JEGO GŁOSIE DAWAŁO SIĘ WYCZUĆ DRŻENIE. BYŁO COŚ SURREALISTYCZNIE PIĘKNEGO W SPOKOJNYM LOTNISKOWCU Z GRACJĄ TORUJĄCYM SOBIE DROGĘ PRZEZ CZYSTE NIEBIESKIE WODY.

RĘKA PILOTA POWĘDROWAŁA DO WYRZUTNIKA TORPEDY. WIEDZIAŁ DOKŁADNIE, GDZIE JEST – NIE MUSIAŁ ODRYWAĆ OCZU OD SWEGO IMPONUJĄCEGO CELU.

W ODLEGŁOŚCI DWU TYSIĘCY PIĘCIUSET JARDÓW ZWOLNIŁ BEZPIECZNIK.

W ODLEGŁOŚCI DWU TYSIĘCY TRZYSTU JARDÓW DOKONAŁ KOŃCOWEJ KOREKTY KURSU, TAK ŻE TORPEDA TRAFIŁABY W CEL, NAWET GDYBY ZAWIÓDŁ MECHANIZM AKUSTYCZNEGO NAPROWADZANIA.

WODA POD ŚMIGŁOWCEM BYŁA ZAMGLONA. PILOT SKIEROWAŁ MASZYNĘ W TAKI SPOSÓB, BY URZĄDZENIA RUFOWE LOTNISKOWCA I GŁOWICA TORPEDY ZNALAZŁY SIĘ W TYM SAMYM CZASIE NA TYM SAMYM MIEJSCU.

ZAMIGOTAŁO CZERWONE ŚWIATEŁKO, A POTEM JUŻ PALIŁO SIĘ STALE – ZNAK, ŻE DETONATOR TORPEDY REAGOWAŁ JUŻ NA ANOMALIĘ MAGNETYCZNĄ WYWOŁANĄ OBECNOŚCIĄ LOTNISKOWCA O WYPORNOŚCI CZTERDZIESTU PIĘCIU TYSIĘCY TON.

– POZYTYWNA INDIKACJA GAUSSA – OZNAJMIŁ PILOT. – DWA TYSIĄCE STO JARDÓW. RZUCAM.

JUŻ MIAŁ URUCHOMIĆ WYRZUTNIĘ TORPEDY, GDY W SŁUCHAWKACH ZAHUCZAŁ MU JAKIŚ GŁOS: – WRÓĆ! WRÓĆ! WRÓĆ!

PILOT SIĘ WAHAŁ. WYNIOSŁA BRYŁA OKRĘTU KLASY KIJÓW ROSŁA MU W OCZACH. – PODAĆ HASŁO! – KRZYKNAŁ, ZACISKAJĄC PALCE NA WYRZUTNIKU.

JESZCZE NIE SKOŃCZYŁ WYMAWIAĆ TEGO SŁOWA, GDY GŁOS ZACZAŁ NATARCZYWIE POWTARZAĆ: – IKAR! IKAR! IKAR!

PILOT ZBOCZYŁ I ODLECIAŁ OD SOWIECKIEGO OKRĘTU WOJENNEGO.

54

NAPIĘCIE MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM OSŁABŁO RÓWNIE SZYBKO, JAK NARASTAŁO. ŻADNA ZE STRON NIE WYSTĄPIŁA Z PRZEPROSINAMI ANI ICH TEŻ NIE OCZEKIWAŁA. ŻOŁNIERZOM SIĘ ZBROJNYCH PAŃSTW UKŁADU WARSZAWSKIEGO I NATO, KTÓRYM ZAWIESZONO URLOPY, POZWOŁONO UDAĆ SIĘ DO DOMÓW. ODWOŁANO BOMBOWCE, OKRĘTY PODWODNE POWRÓCIŁY DO SWOICH BAZ I USTAŁY RUCHY WOJSK NA GRANICACH.

BYŁ TO TRZYNASTY POWAŻNIEJSZY ALARM OD DNIA 24 SIERPNI 1949 ROKU, OD KIEDY TO ZAWIĄZANO PAKT PÓŁNOCNOATLANTYCKI.

BYŁ TEŻ AKCENT IRONICZNY: PIĘĆ GODZIN PO TYM, JAK BRYTYJSKI ŚMIGŁOWIEC WASP ODSTĄPIŁ OD ZAATAKOWANIA KIJOWA, POWAŻNA AWARIA STERÓW ZMUSIŁA SOWIECKI LOTNISKOWIEC DO ZAWRÓCENIA DO

SEWASTOPOLA.

CZĘŚĆ DRUGA ZAGROŻENIE

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

WYSPY ZIELONEGO PRZYŁĄDKA

ARCHIPELAG PIĘTNASTU WULKANICZNYCH WYSP NA ATLANTYKU PRZY LULIIOCNO-ZACHODNIM WYBRZEŻU AFRYKI. CZĘŚĆ ATLANTYCKIEGO CENT-

NILM-GO GRZBIETU GŁĘBINOWEGO CIĄGNĄCEGO SIĘ OD ISLANDII DO LIL.STIM DA CUNHA. NALEŻĄ DO PORTUGALII. CUKIER, OWOCE I TURYSTYKA L.UDN. 300 000. DAWNIEJ CENTRUM NASŁUCHU ZAGRODY „SEA-UMIRD”.

LÓD RUSZYŁ.

RUSZYŁ WOLNO NA PÓŁNOC – NIEWIDOCZNY, NIE WYKRYTY ZWIASTUN ŚMIERCI.

JULIA WYBRAŁA DROGĘ KOŁO PARASOLI PRZECIWSŁONECZNYCH, KTÓRE UPSTRZYŁY PLAŻĘ JAK TRĄDZIK, I USIADŁA NA PIASKU OBOK SHERWOODA TEN OTWORZYŁ JEDNO OKO.

- No i?

ZACZYNAMY PRACĘ JUTRO. PAKA Z APARATURĄ JUŻ TU DOTARŁA.

ZANUŻASZ TE APARATY W WODZIE NA PIĘĆ SEKUND I PO CHWILI MASZ LUD

SHERWOOD NIE ODZYWAŁ SIĘ. NA ANTARKTYDZIE MARZYŁ O WYLEGIWANIU SIĘ NA CIEPŁYM PIASKU. JULIA USADOWIŁA SIĘ WYGODNIE.

DO WZCHODU SŁOŃCA POZOSTAWAŁY DWIE GODZINY I WCIAŻ BYŁO OKROPNIE

M>R;CO NA TEJ ZWRÓCONEJ KU ZACHODOWI PLAŻY.

GDZIE JEST OAF?

PŁYWA GDZIEŚ.

PRZESŁONIŁA RĘKĄ OCZY. MUSIAŁA PATRZEĆ PROSTO W SŁOŃCE, ALE ML,ILN JEJ SIĘ DOJRZEĆ OAF – PŁYNAŁ DŁUGIMI, SWOBODNYMI I UI H.UNI W ODLEGŁOŚCI JAKICHŚ DWUDZIESTU JARDÓW OD FALI PRZY-

BRZEŻNEJ, KTÓRA BEZLITOŚNIE NISZCZYŁA ZAMKI Z PIASKU PISZCZĄCEJ
DZIECIARNI. W WODZIE KAPĄŁO SIĘ ZE STO OSÓB.

– CZY NASZKICOWAŁEŚ PLAN BADAŃ? – SPYTAŁA JULIA.

SHERWOOD ZIEWNĄŁ I USIADŁ. – ZROBIĘ TO JUTRO RANO. NIE RÓB
NIGDY DZISIAJ TEGO, CO MOŻESZ ODŁOŻYĆ DO JUTRA.

WIETRZYK SZELEŚCIŁ PAPIEREM OD KANAPEK SIEDZĄCEJ W POBLIŻU
ANGIELSKIEJ RODZINY. NAGŁA BRYZA PODERWAŁA GAZETĘ I PONIOSŁA JĄ
AŻ POD ODSŁONIĘTE SKAŁY.

– HEJ, SHERWOOD! – WRZASNĄŁ Z WODY OAF. – CHODŹ
POPŁYWAĆ, LENIWIY SKURCZYBYKU!

– MA OKROPNE MANIERY – STWIERDZIŁA JULIA, ZAUWAŻYWSZY
WYRAZ DEZAPROBATY NA TWARZY ANGIELSKIEJ MATKI.

BRYZA ZROBIŁA SIĘ SILNIEJSZA. SHERWOOD NACIĄGNĄŁ NA RAMIONA
RĘCZNIK I OBSERWOWAŁ PŁYWAJĄCEGO OAF. – NIE ZAUWAŻYŁEM,
ŻEBYŚ SIĘ NA TO USKARŻAŁ.

– WIELKIM PLUSEM OAF. JEST TO, ŻE KOMPLETNI NIE UZNAJE
KOMPLIKACJI – ZAUWAŻYŁA JULIA Z FIGLARNYM UŚMIESZKIEM.
OAF BRNĄŁ W WODZIE DOTYKAJĄC DNA I PRZEKLINAŁ DZIECIAKI,
KTÓRE GO OCHLAPYWAŁY.

JULIA ZATRZĘŚŁA SIĘ Z ZIMNA.

Z POŁUDNIA NADCIĄGAŁA SZARA CHMURA DZIWNIE NIE PASUJĄCA DO
BŁĘKITNEGO NIEBA I MORZA, ZASNUWAJĄC WODĘ I WIDNOKRĄG.

JULIA ZNÓW ZADRZAŁA. – ROBI SIĘ CHŁODNO.

– WKRÓTCE ZACHÓD SŁOŃCA.

– TAK, ALE W CZORAJ O TEJ PORZE NIE BYŁO ZIMNO.

WZDŁUŻ LINII BRZEGU BIEGŁ PIES, GONIĄC ZA KAWAŁKAMI DREWNA
WYRZUCONYMI PRZEZ MORZE, A TERAZ RZUCANYMI MU PRZEZ PANA.
NAGLE PIES USIADŁ W WODZIE, PODNIÓSŁ GŁOWĘ KU CIEMNIEJĄCEMU
NIEBU I ŻAŁOBNIE ZASKOMLAŁ. DZIECI W POBLIŻU ZAPISZCZAŁY Z
UCIECHY.

JULIA SŁYSZAŁA, JAK JEDNO Z ANGIELSKICH DZIECI POWIEDZIAŁO:

– TATO, PATRZ! MORZE ZMIENIA KOLOR!

– TO DLATEGO, ŻE ZACHODZI SŁOŃCE.

JULIA JUŻ MIAŁA ZROBIĆ UWAGĘ NA TEMAT MGŁY, KTÓRA KOMPLET-
NIE PRZESŁANIAŁA HORYZONT, KIEDY SKOMLENIE PSA ZAMIENIŁO SIĘ
W CIĄGŁE, ŚCINAJĄCE KREW W ŻYŁACH WYCIE.

– NIE WIESZ, CZY PRZYPADKIEM NA TYCH WYPACH NIE PANUJE WŚCIEKLIZNA? – SPYTAŁ SHERWOOD PRZYPATRUJĄC SIĘ Z OBAWĄ PRZERAŻONEMU ZWIERZĘCIU, KTÓRE WŁOKŁO TYLNE NOGI W WODZIE NIE ZWRACAJĄC UWAGI NA USPOKAJAJĄCY GŁOS SWOJEGO PANA. JULII WŁOSY ZACZĘŁY STAWAĆ DĘBA NA GŁOWIE. ONA I PIES WYCZUWALI, ŻE DZIEJE SIĘ COŚ STRASZNEGO. POTEŁ PODNIECONE DZIECKO ZACZĘŁO WOŁAĆ: – TATO! MAMO! PATRZCIE! PATRZCIE! MORZE ROZPALIŁO SIĘ DO CZERWONOŚCI! LÓD ZAATAKOWAŁ.

NA MORZU, W ODLEGŁOŚCI STU JARDÓW OD BRZEGU, WYSKOCZYŁO WYSOKO W POWIETRZE KILKA DELFINÓW WAŁĄC SZALEŃCZO OGONAMI. OPADŁY Z POWROTEM DO MORZA I MŁÓCIŁY WODĘ DO BIAŁOŚCI. KAPIĄCY SIĘ ZACZĘLI NAGLE KRZYCZEĆ PRZERAŻENI I KONWULSYJNIE MACHAĆ RĘKAMI I NOGAMI. LUDZIE BIEGLI PLAŻĄ I WSKAKIWALI DO MORZA, ŻEBY RATOWAĆ SWOJE DZIECI, ALE GDY TYLKO SIĘ ZANURZYLI, CHWYTAŁY ICH NATYCHMIAST TAKIE SAME PAROKSYZMY.

JULIA I SHERWOOD WSTALI I PATRZYLI W OSŁUPIENIU NA TĘ STRASZNĄ SCENĘ, WIEDZĄC PODŚWIADOMIE, ŻE NIE MOGĄ NIC ZROBIĆ. OSZAŁAŁY DELFIN PRZEBIJAŁ SIĘ NA ŚLEPO PRZEZ TUMULT KRZYCZĄCYCH I MIOTAJĄCYCH SIĘ LUDZI. SUNĄC Z PRĘDKOŚCIĄ CZTERDZIESTU MIL NA GODZINĘ WYRZNAŁ OSTRYM PYSKIEM Z IMPETEM CAŁEJ SWOJEJ CZTERYSTUFUNTOWEJ MASY W KRZYŻ JAKIEGOŚ MĘŻCZYZNY.

KRĘGOSŁUP

TRZASNAŁ NIESZCZĘŚNIKOWI JAK SUSZONE SPAGHETTI. UMARŁ NATYCHMIAST, ALE KOMÓRKI NERWOWE W NARUSZONYM MÓZGU DZIAŁAŁY NADAL, ZMUSZAJĄC JEGO NIEŻYWE RĘCE DO WYKONYWANIA WCIAŻ DZIKICH PODRYGÓW. PRZESUWAŁ SIĘ WOLNO PRZEZ ZWAŁY ZMARŁYCH I UMIERAJĄCYCH. PO ŚMIERCI NABRAŁ UMIEJĘTNOŚCI, KTÓREJ BRAKOWAŁO MU ZA ŻYCIA – POTRAFIŁ PŁYWAĆ.

KRWISTOCZERWONA WODA NIOSŁA GŁĘBOKIE, GARDŁOWE KRZYKI Oafa. CIAŁA DZIECI, KTÓRE GO OCHLAPYWAŁY, UNOSIŁY SIĘ NA WODZIE TWARZAMI W DÓŁ W ZASIĘGU JEGO MOCNYCH WAŁĄCYCH PIĘŚCI.

SHERWOOD ZROBIŁ NA OŚLEP KROK DO PRZODU. JULIA ZŁAPAŁA GO ZA RĘKĘ. NIE ODWRACAJĄC WZROKU OD KOSZMARU, JAKI SIĘ PRZED NIĄ ROZGRYWAŁ, POWIEDZIAŁA CICHU: – NIE MOŻEMY NICZEGO ZROBIĆ, PRAWDA?

STALI BEZ RUCHU OBOK SIEBIE, POZWALAJĄC, BY ÓW WIDOK I STRASZNY KRZYK WRYŁY IM SIĘ GŁĘBOKO W PAMIĘĆ.

2

TRUP POMACHAŁ PRZYJAŹNIE PORTUGALSKIEJ CIĘŻARÓWCE WOJSKOWEJ.

KONWÓJ AUT SIĘ ZATRZYMAŁ. SZEŚĆ PAR REFLEKTORÓW OMIOTŁO CICHĄ PLAŻĘ USŁANĄ POŁYSKUJĄCYMI MARTWYMI RYBAMI. REFLEKTOR-SZPERACZ NA CIĘŻARÓWCE PROWADZĄCEJ KONWÓJ OBMACAŁ MARTWEGO MĘŻCZYZNĘ. TEN POMACHAŁ ZNOWU WIELKĄ OWŁOSIONĄ RĘKĄ DZIWNYM PODRYGUJĄCYM RUCHEM.

CZTERECH LUDZI ZESKOCZYŁO Z KLAPY PIERWSZEJ CIĘŻARÓWKI: DWÓCH ŻOŁNIERZY ZE SKŁADANYMI NOSZAMI, LEKARZ WOJSKOWY I KSIĄDZ W CZARNEJ SUTANNIE. MORZE SZEMRAŁO KPIĄCO, GDY GRUPKA TA PODCHODZIŁA DO TRUPA. PRZESTAŁI TUŃCZYKA I PIECZOŁOWICIE OBESZLI Z DALA RYBĘ-MŁOTA LEŻĄCĄ NA BOKU Z ROZDZIAWIONĄ W PÓŁKSIĘŻYC PASZCZĄ I DRGAJĄCĄ PŁETWĄ PIERSIOWĄ.

ŻOŁNIERZE POSTAWILI NOSZE OBOK OLBRZYMIEGO NIEBOSZCZYKA POPATRUJĄC NA NIEGO LĘKLIWIE, PODCZAS GDY LEKARZ OSŁUCHIWAŁ MU KLATKĘ PIERSIOWĄ. TRUP UNIÓSŁ RĘKĘ, KTÓRA ZAPŁATAŁA SIĘ W STETOSKOP. DOKTOR PRZYGIĄŁ JĄ KOLANEM I SKIŃAŁ NA JEDNEGO Z ŻOŁNIERZY.

KSIĄDZ ZAJĄKNAŁ SIĘ RECYTUJĄC MONOTONNIE MODLITWĘ. OBLIZAŁ NERWOWO WARGI I KONTYNUOWAŁ CZYTANIE, TRZYMAJĄC BREWIARZ POD

TAKIM KĄTEM, ŻEBY ZNALAZŁ SIĘ W ŚWIETLE REFLEKTORÓW CIĘŻARÓWEK.

ŻOŁNIERZE NIECHĘTNIE OPASALI RZEMIENIAMI ZWŁOKI WŁOCHATEGO MĘŻCZYZNY I ZACISNĘLI SPRZĄCZKI.

LEKARZ WYPROSTOWAŁ SIĘ, UKOŃCZYWSZY BADANIE. ŻOŁNIERZE NIE CZEKAJĄC NA ROZKAZ PODNIEŚLI CIĘŻKIE CIAŁO, POŁOŻYLI JE NA NOSZACH I ZANIEŚLI DO CZEKAJĄCEGO KONWOJU.

OAF BYŁ SZEŚCZDZIESIĄTYM TRZECIM TRUPEM ZABRANYM TEJ NOCY Z PLAŻY NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYŁĄDKA. NIEWIELE Z NICH WYMAGAŁO TAKIEGO WYSIŁKU PRZY NIESIENIU.

BYŁY TO GŁÓWNI TRUPY DZIECI.

ADMIRAŁ HOWE RZUCAŁ W ROZTARGNIENIU KAWAŁKI CHLEBA STADKU LONDYŃSKICH SZPAKÓW, SŁUCHAJĄC MELDUNKU ABBOTTA. TO ZDUMIEWAJĄCE, ŻE TA TRÓJKA POJAWIŁA SIĘ NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYLĄDKA. BYŁ JEDNAK PRZEKONANY, ŻE NIE WIEDZIAŁA NICZEGO O ZAGINIONYM OKRĘCIE PODWODNYM „ASTERIA”. JEŚLI BRILL BYŁ TEGO PEWIEN, TO W PORZĄDKU.

– OBAWIAM SIĘ – POWIEDZIAŁ NA KONIEC ABBOTT – ŻE WCZEŚNIEJ CZY PÓŹNIEJ ZROBIĘ JAKIŚ POWAŻNY BŁĄD PISZĄC LISTY W IMIENIU CZŁONKÓW ZAŁOGI.

ADMIRAŁ HOWE RZUCIŁ OSTATNI KAWAŁEK CHLEBA. – DAJESZ SOBIE WSPANIALE RADĘ, JAMES.

– ZDARZAŁY MI SIĘ DROBNE POMYŁKI, SIR – WYZNAŁ ABBOTT.

– NA SZCZĘŚCIE ZAWSZE UDAWAŁO MI SIĘ JE WYJAŚNIĆ W DALSZYCH LISTACH.

SZPAKI RZUCIŁY SIĘ NA KACZORA Z ST. JAMES PARK, KTÓRY ZŁAPAŁ DLA SIEBIE CAŁĄ KROMKĘ. ADMIRAŁ HOWE Z ROZBAWIENIEM OBSERWOWAŁ ICH BŁĄZEŃSTWA.

– NIE BĘDZIESZ SIĘ JUŻ MUSIAŁ DŁUŻEJ MARTWIĆ, JAMES.

ZDECYDOWANO ZAKOŃCZYĆ TĘ OPERACJĘ. OGŁOSIMY ZAGINIĘCIE „AS-TERII” PRZY NAJBLIŻSZEJ NADARZAJĄCEJ SIĘ OKAZJI.

SHERWOOD PRZYPATRYWAŁ SIĘ, JAK JULIA WCIĄGA SŁUPEK ZABARWIONEJ NA CZERWONO WODY MORSKIEJ DO PIPETY I STARANNIE ROZMAZUJE KILKA KROPEL NA CZYSTYM SZKIEŁKU. ZAKONNICE PROWADZĄCE SZPITAL NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYLĄDKA ZGODZIŁY SIĘ UDOSTĘPNIĆ JEJ SVOJE MAŁE LABORATORIUM.

UMIEŚCIŁA ŚWIEŻE SZKIEŁKO POD MIKROSKOPEM I DAŁA ZNAK

SHERWOODOWI, ŻEBY POPATRZYŁ. NIE ODZYWAŁA SIĘ NIEMAL OD RANA, OD MOMENTU GDY STAŁA PRZY TRUMNIE Oafa PODCZAS POGRZEBU.

SHERWOOD SPOJRZAŁ PRZEZ OKULAR NA TYSIĄCE POWIĘKSZONYCH ŻYJĄTEK PRZYPOMINAJĄCYCH DELIKATNE PRZEZROCZYSTE DZWONECZKI.

– CZY TO SĄ TE MAŁŻORACZKI, O KTÓRYCH MI MÓWIŁAŚ?

– SPYTAŁ.

– NIE.

-- A CO?

– DINOFLAGELLATA, CYMNODINIUM BREVE. NAGŁY SPADEK TEMPERATURY MORZA ZABIJA JE I WTEDY WYDALAJĄ DO WODY SŁABĄ TOKSYNĘ PORAZAJĄCĄ NERWY. DOŚĆ POSPOLITE W ZATOCE MEKSYKAŃSKIEJ, GDZIE POWODUJĄ TAK ZWANE CZERWONE PŁYWY. – GŁOS MIAŁA BEZNAMIĘTNY.

– I ONE TO WŁAŚNIE BYŁY PRZYCZYNĄ...?

– RYBY PRZEPEŁYWAJĄCE PRZEZ TEN CZERWONY WYKWIT GINĄ, BO WYPUSTKI OSIOWE ICH KOMÓREK ZOSTAJĄ PORĄŻONE, A CAŁY SYSTEM NERWOWY ZNISZCZONY.

SHERWOOD WYPROSTOWAŁ SIĘ I POPATrzyŁ NA KOLBĘ Z WODĄ MORSKĄ. – CZY TA PRÓBKA JEST WCIĄŻ NIEBEZPIECZNA?

– NIE. TOKSYNA ROZKŁADA SIĘ SZYBKO W ŚWIETLE SŁONECZNYM.

– JEŚLI WYDZIELAJĄ SŁABĄ TOKSYNĘ, TO Z PEWNOŚCIĄ...

– SPÓJRZ RAZ JESZCZE – RZEKŁA JULIA. – NIGDY NIE WIDZIAŁAM TAKIEJ ICH KONCENTRACJI.

SHERWOOD ZNOWU POPATrzyŁ PRZEZ MIKROSKOP NA DZIESIĄTKI TYSIĘCY DZWONKOWATYCH ORGANIZMÓW.

NIE MÓGŁ WPROST UWIERZYĆ, ŻE MOGĄ ZAMIENIĆ WODĘ MORSKĄ W ŚMIERCIONOŚNY PŁYN PORAZAJĄCY NERWY.

5

NACZELNY DOWÓDCA NATO NA ATLANTYKU, ADMIRAŁ BRANDON PEARSON, BYŁ LEPSZYM SŁUCHACZEM NIŻ MÓWCĄ. SIEDZIAŁ W MILCZENIU W SWOJEJ KABINIE NA LOTNISKOWCU „JOHNSON”, NIEKIEDY TYLKO ZADAWAŁ JAKIEŚ PYTANIE I OD CZASU DO CZASU KIWĄŁ GŁOWĄ ZACHĘCAJĄC SHERWOODA DO MÓWIENIA. NA JEGO TWARZY NIE BYŁO WIDAĆ ŻADNEJ REAKCJI NA WYSUWANĄ PRZEZ GEOLOGA HIPOTEZĘ O GIGANTYCZNEJ ZANURZONEJ GÓRZE LODOWEJ. RAZ TYLKO, GDY SHERWOOD POWTARZAŁ, ŻE W MYŚL JEGO OBLICZEŃ CHODZI O OSIEM TYSIĘCY MIL SZEŚCIENNYCH LODU, PEARSON WYMIENIŁ SPOJRZENIE Z HAGANEM. BYŁO TO JEDYNE ODSTĘPSTWO. KAPITAN PIECHOTY MORSKIEJ SIEDZIAŁ NA KRZEŚLE W POBLIŻU DRZWI I ROBIŁ NOTATKI. JULIA,

WYPOWIEDZIAWSZY SWOJĄ KWESTIĘ, ZACHOWYWAŁA MILCZENIE.

PEARSON UNIÓŚŁ RĘKĘ. – NIECH PAN ZACZEKA, SHERWOOD.

PROSZĘ MI POWIEDZIEĆ, JAK PAŃSKA GÓRA DOTARŁA Z ANTARKTYKI NA WYSPY ZIELONEGO PRZYLĄDKA.

– WYDAJE MI SIĘ, ŻE NIÓŚŁ JĄ PRĄD ZACHODNI NA POŁUDNIO-

WYM ATLANTYKU, POTEM PRĄD BENGUELSKI, KTÓRY PŁYNIE NA PÓŁNOC WZDŁUŻ WYBRZEŻA AFRYKI POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ, A TERAZ SPYCHANA JEST PRZEZ ATLANTYK NA PÓŁNOCNY ZACHÓD KU WSCHODNIEMU WYBRZEŻU AMERYKI PRZEZ PRĄD PÓŁNOCNORÓWNIKOWY.

PUKANIE DO DRZWI PRZERWAŁO CISZĘ, KTÓRA ZAPANOWAŁA. HAGAN PODSZEDŁ DO NICH I WRÓCIŁ NA SWOJE MIEJSCE, CZYTAJĄC „DWIE DEPESE.

PEARSON ODCHYLIŁ DO TYŁU SWOJE KRZESŁO I STRZELAŁ PALCAMI.

– A JAKA, PANA ZDANIEM, JEST OBECNA WIELKOŚĆ TEJ PAŃSKIEJ GÓRY?

– UŻYWAŁ OKREŚLENIA „PAŃSKA GÓRA” WE WSZYSTKICH PYTANIACH ZADAWANYCH SHERWOODOWI.

– TEGO NIE JESTEM PEWIEN, SIR – ODPARŁ SHERWOOD PO CHWILI NAMYSŁU. – NIE MAMY DANYCH O ZACHOWANIU ZANURZONYCH GÓR LODOWYCH I W ISTOCIE ŻADNYCH INFORMACJI O TEMPERATURZE CZY KIERUNKU PODPOWIERZCHNIOWYCH PRĄDÓW OCEANICZNYCH. W SWOICH PRZYPUSZCZENIACH, BO SĄ TO TYLKO PRZYPUSZCZENIA, OPIERAŁEM SIĘ NA ZNANYCH RUCHACH PRĄDÓW POWIERZCHNIOWYCH.

PEARSON WSTAŁ. – DZIĘKUJĘ ZA SPOTKANIE, PANNO HAMMOND I PANIE SHERWOOD. BYŁBYM WDZIĘCZNY, GDYBYŚCIE PAŃSTWO ZGODZILI SIĘ POZOSTAĆ JAKIŚ CZAS NA „EURECE”, PÓKI NIE PRZEPROWADZIMY DALSZYCH BADAŃ.

SPOTKANIE DOBIEGŁO KOŃCA.

– I TY IM WIERZYSZ? – ZAATAKOWAŁ PEARSON HAGANA MINUTĘ PO WYJŚCIU JULII I SHERWOODA.

– TAK, SIR. DLATEGO WŁAŚNIE WYSŁAŁEM ICH NAJPIERW NA ZIELONY PRZYŁĄDEK.

– DOBRY BOŻE, CZEGÓŻ TO NIE MUSZĘ PRZEŁKNAĆ W SWOIM ŻYCIU – MRUKNĄŁ PEARSON. – CZY ZAPISAŁEŚ WSZYSTKO, CO ON MÓWIŁ?

– TAK, SIR. – HAGAN PODAŁ MU DWIE DEPESE. – PRZYSZŁY, GDY PAN Z NIMI ROZMAWIAŁ. – MÓWIĄC TO HAGAN MIAŁ NA TWARZY CIEŃ UŚMIECHU.

SACLANT PRZECZYTAŁ PIERWSZĄ Z INSTYTUTU OCEANOGRAFII SCRIPPSA. PRZEPROWADZILI TAM WŁASNE BADANIA PRÓBKI WODY MORSKIEJ Z ZIELONEGO PRZYŁĄDKA I POTWIERDZILI WNIOSKI JULII HAMMOND. DODATKOWO WSPOMINALI O WYPADKU W MIAMI

BEACH W LUTYM 1969 ROKU, KIEDY KILKA KĄPIĄCYCH SIĘ OSÓB DOZNAŁO USZKODZENIA MÓZGU SPOWODOWANEGO PRZEZ DINOFLAGEL-LATY.

DRUGA DEPEZA POCHODZIŁA Z WIRGINII, Z CENTRUM NADZORU POWIETRZNEGO MARYNARKI WOJENNEJ W DAHLGREN:

WASZA PROŚBA O INFORMACJE O WIELKICH GÓRACH LODOWYCH. NAJWIĘKSZA SFOTOGRAFO-WANA PRZEZ SATELITĘ ESSA-3 W 1967/1968. GÓRA POZOSTAWAŁA NA MORZU WEDDELLA. PO RAZ PIERWSZY WIDZIANA ORBITA 4699 11 PAŹDZIERNI-KA 1967. PO RAZ OSTATNI WIDZIANA ORBITA 6408 27 LUTEGO 1968. WIELKOŚĆ 175 KILOMETRÓW NA 111 KILOMETRÓW. OZNACZENIE GÓRY – OLBRZY-MIA CYLINDRYCZNA...

PEARSON PRZERWAŁ CZYTANIE. NAPOTKAŁ WZROK HAGANA. – TYLKO O KILKA KILOMETRÓW MNIEJSZA NIŻ GÓRA LODOWA SHERWOODA – RZEKŁ HAGAN ODCZYTUJĄC MYŚLI ADMIRAŁA.

6

FLIP

ZESTAW INSTRUMENTÓW PŁYWAJĄCYCH.

WALTER J. KRANTZ

WYDZIAŁ TRANSPORTOWY

OCHRONA WYBRZEŻA STANÓW ZJEDNOCZONYCH (TRZECI OKRĘG)

DOWÓDZTWO MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ

GOVERNORS ISLAND

NOWY JORK, NY 10004

DO

ADMIRAŁA BRANDONA PEARSONA, SACLANT-A, USS „JOHN-SON"

SZANOWNY PANIE ADMIRALE,

W SPRAWIE: ZAPIS ROZMOWY – PAN (G. SHERWOOD) J.

HAMMOND

PRZECZYTALIŚMY. ROZWAŻYLIŚMY. I JESTEŚMY SCEPTYCZNI. NASZE

DOŚWIADCZENIA Z GÓRAMI LODOWYMI OGRANICZAJĄ SIĘ DO GÓR

GRENLANDII, A SZCZEGÓLNIE TYCH, KTÓRE ODERWAŁY SIĘ OD LODOWCA

NA MORZU BAFFINA I ZOSTAŁY ZMIECIONE NA SZLAKI ŻEGLUGOWE PRZEZ

PRĄD LABRADORSKI NA PÓŁNOCNYM ATLANTYKU. TE WŁAŚNIE GÓRY
LODOWE NAS INTERESUJĄ. NIEKIEDY DUŻA GÓRA LODOWA PŁYNIE
Z PRĄDEM NA POŁUDNIE AŻ DO WYSOKOŚCI BOSTONU I SŁYSZELIŚMY OD
NASZYCH KONTAKTÓW W AFRYCE POŁUDNIOWEJ O ANTARKTYCZNEJ
GÓRZE LODOWEJ, KTÓRĄ DOSTRZEŻONO W POBLIŻU KAPSZTADU W ROKU
1955. NIE MA WIĘC WĄTPLIWOŚCI, ŻE GÓRY LODOWE MOGĄ PŁYNAĆ
Z PRĄDEM NA WYJĄTKOWO DUŻE ODLEGŁOŚCI. LECZ RZECZĄ NIEMOŻLI-
WĄ JEST, BY JAKAKOLWIEK GÓRA LODOWA, Z ARKTYKI CZY
ANTARKTYKI,
PRZETRWAŁA NA TYLE DŁUGO, BY PRZEKROCZYĆ RÓWNIK. ZDUMIENI
JESTEŚMY, ŻE PAN SHERWOOD (KTÓREGO PAMIĘTAMY Z OKRESU JEST
SŁUŻBY U NAS JAKO OBSERWATORA MSL) MOŻE WIERZYĆ, ŻE DOSZŁO DO
TAKIEGO BEZPRECEDENSOWEGO WYPADKU. PROSZĘ ZAPYTAĆ PANA
SHERWOODA, DLACZEGO ODERWANIE SIĘ OD LODOWCA OŚMIU TYSIĘCY
MIL SZEŚCIENNYCH LODU NIE POZOSTAWIŁO SEISMICZNYCH ŚLADÓW
I DLACZEGO NIEUNIKNIONA FALA ZAKŁÓCEŃ NIE ZOSTAŁA
ZAREJESTROWA-
NA PRZEZ FLIP-Y NALEŻĄCE DO SCRIPPSA I BRYTYJSKIEJ MIĘDZYNARO-
DOWEJ KOMISJI OCEANOGRAFICZNEJ. SZCZEGÓŁOWĄ ANALIZĘ WSZYST-
KICH ARGUMENTÓW PANA SHERWOODA PRZEŚLEMY W CIĄGU DWUDZIE-
STU CZTERECH GODZIN. NIE JESTEŚMY POWOŁANI DO WYRAŻENIA OPINII
CO DO OBSERWACJI PANNY HAMMOND DOTYCZĄCYCH PODNIESIENIA
POZIOMU TOKSYNY W OCEANIE SPOWODOWANEGO ŚMIERCIA PLANKTO-
NU.

— _____

Z POWAŻANIEM

(PODPISANO)

WALTER J. KRANTZ

ZASTĘPCA WICEKOMENDANTA,

MIĘDZYNARODOWA SŁUŻBA LODOWA

7

— NIECH PAN SIADA, SHERWOOD — POWIEDZIAŁ GRZECZNIE
ADMIRAŁ PEARSON, GDY DO JEGO KABINY WPROWADZONO GEOLOGA.
SHERWOOD USIADŁ NA WSKAZANYM KRZEŚLE. LĘK, JAKI ODCZUWAŁ NA
POCZĄTKU NA MYŚL O SPOTKANIU Z NACZELNYM DOWÓDCĄ SIŁ SPRZY-
MIERZONYCH, USTĄPIŁ. TERAZ ODCZUWAŁ IRYTACJĘ Z POWODU WOŻENIA
GO

ŚMIGŁOWCEM TAM I Z POWROTEM Z „EUREKI” NA „JOHNSONA”.

– TEORIA O PAŃSKIEJ OLBRZYMIĘJ GÓRZE LODOWEJ MA SŁABY PUNKT – RZEKŁ PEARSON. – POWAŻNY MANKAMENT.

– DZIWIĘ SIĘ, ŻE ZNALAZŁ PAN TYLKO JEDEN – ODPARŁ ZE SPOKOJEM SHERWOOD. – JA OSOBIŚCIE NIE MARTWIŁBYM SIĘ, GDYBY ZNALAZŁ ICH PAN TYSIĄC I JEDEN.

PEARSON ZIGNOROWAŁ TĘ UWAGĘ. – EKSPERCI OD GÓR LODOWYCH MÓWIĄ, ŻE OBSUNIĘCIE SIĘ DO WODY OŚMIU TYSIĘCY MIL SZEŚCIENNYCH LODU SPOWODOWAŁOBY ZAKŁÓCENIA SEJSMICZNE. PRZEJRZELI REJESTRY. OD KILKU LAT NIE BYŁO NA ANTARKTYDZIE ŻADNYCH POWAŻNIEJSZYCH TRZĘSIEŃ ZIEMI. – ROZPAKOWAŁ CYGARO CZEKAJĄC NA ODPOWIEDZ SHERWOODA. – NO I CO PAN NA TO?

– POTEM, GDY GÓRA LODOWA ODERWAŁA SIĘ OD KALOTY, ZEŚLIZNĘŁA SIĘ NA POWSTAŁEJ WSKUTEK TARCIA PODUSZCIE WODNEJ – ODPOWIEDZIAŁ SHERWOOD. – NIGDY NIE MÓWIŁEM, ŻE PORUSZAŁA SIĘ SZYBKO. MOŻLIWE, ŻE ZEŚLIZNIĘCIE SIĘ DO MORZA TRWAŁO MIESIĄC. JAKKOLWIEK GÓRA PORUSZAŁA SIĘ POWOLI, MIAŁA JEDNAK WYSTARCZAJĄCO DUŻY IMPET, ŻEBY PRZESUNĄĆ SIĘ PRZEZ SZELF KONTYNTENTALNY I ZNALEZĆ SIĘ NA GŁĘBOKIEJ WODZIE.

PEARSON ZAPALIŁ CYGARO. ZACZYNAŁ REWIDOWAĆ SWOJĄ OPINIĘ CO DO SHERWOODA.

– A GDZIE JEST TERAZ TA GÓRA LODOWA?

SHERWOOD ZAUWAŻYŁ, ŻE TYM RAZEM ADMIRAŁ PEARSON NIE POWIEDZIAŁ „PAŃSKA GÓRA”. – CZY PROWADZI SIĘ JEJ POSZUKIWANIE, PANIE ADMIRALE?

– ODWOŁAŁEM JE. NO WIĘC GDZIE JEST TERAZ?

– MOGĘ SIĘ TYLKO Z GRUBSZA DOMYŚLAĆ.

– W CHWILI OBECNEJ, PANIE SHERWOOD, MOŻEMY SIĘ OPIERAĆ JEDYNNIE NA PAŃSKICH DOMYSŁACH.

SHERWOOD SPOJRZAŁ W POZBAWIONE WYRAZU OCZY. BYŁO TO ZE STRONY ADMIRAŁA PIERWSZE, CHOĆ NIEBEZPOŚREDNIE, PRZYZNANIE, ŻE WIERZY W ISTNIENIE GÓRY LODOWEJ. – W PRZYBLIŻENIU W POŁOWIE DROGI MIĘDZY WYSPAMI ZIELONEGO PRZYŁĄDKA A PUERTO RICO, ADMIRALE. ALE PROSZĘ TRAKTOWAĆ TO NAPRAWDĘ JEDYNNIE JAKO PRZYPUSZCZENIE I TO ZAKŁADAJĄC DUŻY MARGINES BŁĘDU.

PEARSON POKIWAŁ GŁOWĄ. – TO ZROZUMIAŁE.

– CZY MOGĘ COŚ ZASUGEROWAĆ?

– OCZYWIŚCIE.

– MOGĘ SIĘ MYLIĆ W OBLICZENIACH O WIELE MIL. BYŁOBY DOBRZE NADAĆ PRZEZ RADIO PROŚBĘ DO WSZYSTKICH STATKÓW, ŻEBY INFORMOWAŁY „JOHNSONA” CZY „EUREKĘ” O WSZELKICH NIEZWYKŁYCH ZJAWISKACH, NIEZALEŻNIE OD TEGO, JAK MAŁO SIĘ WYDAJĄ ZNACZĄCE. LEKKIE ZMIANY KOLORU MORZA I TAK DALEJ, WSZYSTKO.

DWIE GODZINY PO NADANIU TEJ PROŚBY ZAŁOGA KUTRA OCHRONY WYBRZEŻA STANÓW ZJEDNOCZONYCH ZAWIADOMIŁA „JOHNSONA”, ŻE ZAUWAŻYŁA NAJWYRAŹNIEJ OPUSZCZONY SZKUNER „BERMUDA WITCH” PŁYNAĆY Z ROZWINIĘTYMI ŻAGLAMI, I WYRAZIŁA GOTOWOŚĆ WEJŚCIA NA JEGO POKŁAD.

8

LÓD RUSZYŁ.

KĄŻDEGO DNIA CIEPŁE UŚCISKI ATLANTYCKICH GŁĘBIN NISZCZYŁY STO MILIONÓW TON JEGO TYTANICZNEJ MASY – NIESKOŃCZENIE MAŁY PROCENT. JEDNAKŻE MASA GÓR UWIĘZIONYCH W OKOWACH ŁODU PRZEZ PIĘĆ MILIONÓW LAT SIĘ NIE ZMIENIAŁA. STOPNIOWO ŚCIAGAŁY ONE LÓD CORAZ GŁĘBIJ W GRUBĄ WARSTWĘ PIERWOTNEGO OSADU

POKRYWAJĄCE-
GO DNO OCEANU.

NADSZEDŁ MOMENT, GDY LÓD SIĘ ZATRZYMAŁ.

RAZ JESZCZE MASYW GÓRSKI ZATRIUMFOWAŁ.

9

MEWY O CZARNYCH GŁÓWKACH SKRZECZAŁY OCHRYPLE NA STRAŻNIKA Z OCHRONY WYBRZEŻA, GDY TEN STAŁ NIEPEWNIE NA NISKIM DASZKU NADBUDÓWKI SIŁOWNI KUTRA. NAPIĄWSZY MIĘŚNIE UD SKOCZYŁ. UDAŁO MU SIĘ SZCZĘŚLIWIE UCHWYCIĆ JEDNEGO ZE SŁUPKÓW NA POKŁADZIE SZKUNERA. NAGŁY RUCH PODERWAŁ Z TAKIELUNKU ŻAGLOWCA KŁĘBIĄCĄ SIĘ CHMURĘ ROZZŁOSZCZONYCH SKRZECZĄCYCH MEW. W SEKUNDĘ PÓŹNIEJ STRAŻNIK PRZESKOCZYŁ RELING I ZNALAZŁ SIĘ BEZPIECZNIE NA POKŁADZIE, JAK WYGLĄDAŁO, OPUSZCZONEGO SZKUNERA „BERMUDA WITCH”. NADBUDÓWKA SIŁOWNI ODBIŁA SIĘ I NADAŁA TEMPO DUŻEMU SZKUNEROWI IDĄCEMU BAKSZTAGIEM.

KRĄŻĄCE MEWY USIADŁY NA TAKIELUNKU I ZRĘBNICACH I PATRZYŁY NA STRAŻNIKA NIECHĘTNIE TWARDYM, ŚWIDRUJĄCYM WZROKIEM. TY-SIĄC ZŁOWROGICH DZIOBÓW I TYSIĄC PAR NIE MRUŻONYCH OCZU PODOBNYCH DO KORALIKÓW PODAŻAŁO ZA NIM, GDY SZEDŁ KU RU-FIE. SZKUNER PRZECHYLAŁ SIĘ POD ROZWINIĘTYMI ŻAGLAMI. STRAŻ-NIK SUNAŁ RĘKĄ PO RELINGU, ŻEBY SIĘ UTRZYMAĆ NA NOGACH, BO TIKOWY POKŁAD BYŁ ŚLISKI OD ŚWIEŻEGO GUANA. JEDNA Z MEW NIE ZAMIERZAŁA SIĘ RUSZYĆ ZE SWEGO MIEJSCA, CHOĆ RĘKA STRAŻ-NIKA PORUSZAŁA SIĘ W ODLEGŁOŚCI LEDWIE JARDA OD NIEJ. JEJ OLŚNIEWAJĄCO BIAŁE UPIERZENIE SPLAMIONE BYŁO PURPURĄ. W SZTYLE-TOWATYM DZIOBIE MIAŁA COŚ – COŚ CZERWONEGO, Z CZEGO KAPAŁY NA POKŁAD CZERWONE KROPLE. PTAK PRZEŁKNAŁ I TO COŚ ZSUWAŁO SIĘ W DÓŁ SZYI POKRYTEJ PIÓRAMI. STRAŻNIKOWI SERCE ZACZĘŁO BIĆ SZYBCIEJ. SPOJRZAŁ W GÓRĘ NA OLINOWANIE. BŁĘKITNE NIEBO. JASNE SŁOŃCE. I PTAKI. TYSIĄCE PTAKÓW. OBSERWUJĄCYCH GO Z ZAINTERESO-WANIEM.

I WSZYSTKIE MIAŁY UPIERZENIE SPLAMIONE PURPURĄ. SIĘGNAŁ PO RADIOSTACJĘ NADAWCZO-ODBIORCZĄ PRZYCZEPIONĄ DO PASA. RUCH PRZESTRASZYŁ PTAKA. ZERWAŁ SIĘ GWAŁTOWNIE – BŁYŚNĘŁY BIAŁO I CZERWONO SKRZYDŁA O ROZPIĘTOŚCI TRZECH STÓP – I ZAATAKOWAŁ. STRAŻNIK ZOBACZYŁ, ŻE DZIOB ZMIERZA KU JEGO OZCOM, I ZAMACHNĄŁ SIĘ RĘKĄ. PTAK SKRZECZĄC UNIÓSŁ SIĘ BEZ WYSIŁKU I POLECIAŁ NA TAKIELUNEK. OPUŚCIWSZY RĘKĘ STRAŻNIK STWIERDZIŁ, ŻE POWYŻEJ NADGARSTKA MA DŁUGIE I GŁĘBOKIE ROZCIĘ-CIE.

POTEM ZOBACZYŁ MŁODEGO CZŁOWIEKA. SIEDZIAŁ POD PŁÓCIEN-NYM DASZKIEM KOŁO STERÓWKI. CZARNOGŁOWA MEWA USADOWIŁA MU SIĘ NA KOLANACH NICZYM ULUBIONY PIESZCZOSZEK. STRAŻNIK PODKRADEŁ SIĘ BOJAŹLIWIE DO PRZODU. OCZY OTWORZYŁY MU SIĘ SZEROKO ZE ZGROZY I NIEDOWIERZANIA. SZARPNĄŁ RADIO KU USTOM I DRŻĄCYM PALCEM NACISNĄŁ GUZIK NADAJNIKA. PRZERAŻONY PORU-SZAŁ WARGAMI, HCZ NIE ZDOŁAŁ WYKRZTUSIĆ ANI SŁOWA. MŁODY CZŁOWIEK BYŁ MARTWY, ALE POMAGAŁ CZARNOGŁOWYM MEWOM UTRZYMAĆ SIĘ PRZY ŻYCIU.

STRAŻNIK UPUŚCIŁ RADIO, POTYKAJĄC SIĘ PODBIEGŁ DO RELINGU I ZACZAŁ GWAŁTOWNIE WYMIOTOWAĆ.

LÓD SPOCZYWAŁ BEZ RUCHU.

OBCIĄŻONY PRZEZ GÓRY I CZĘŚCIOWO PRZYKRYTY GRUBĄ NA TYSIĄC STÓP WARSTWĄ OSADU, KTÓRY POKRYWAŁ DNO OCEANU.

NIE SIĘGAŁO TU ŚWIATŁO SŁONECZNE. NA TEJ GŁĘBOKOŚCI NIGDY NIE BYŁO I NIGDY NIE BĘDZIE ŚWIATŁA DZIENNEGO.

BYŁ RUCH – NIEUSTAJĄCA LUMINESCENCYJNA ZAMIEĆ GROTESKOWYCH, ŻYJĄCYCH NA DNIE RYB SPŁOSZONYCH NAGŁYM WZROSTEM GĘSTOŚCI WODY MORSKIEJ POCI,...WPŁYWEM INTENSYWNEGO ZIMNA.

BYŁY TEŻ DŹWIĘKI – TRZASKI I STĘKANIA Z GŁĘBI LODU. NAPIĘCIA I SIŁY TRZYMAJĄCE NA UWIĘZI GÓRY PRZEZ PIĘĆ MILIONÓW LAT UWALNIAŁO SŁABE CIEPŁO OCEANU.

ZBLIŻAŁA SIĘ CHWILA WYZWOLENIA DLA LODU.

ICIŁORIA (GEOFIZYCZNY SKOŚNY HYDROLOKATOR AKUSTYCZNY DALEKIEGO ZASIĘGU)

OPŁYWOWY, HOLOWANY ZESPÓŁ APARATURY SONAROWEJ ZE SKOŚNYM SKANEREM, UMOŻLIWIAJĄCYM UZYSKANIE TRÓJWYMIAROWYCH OBRAZÓW DNA OCEANU.

– TUŃCZYK – TO BYŁO PIERWSZE SŁOWO OSKARŻENIA, JAKIE PADŁO Z UST ADMIRAŁA PEARSONA POTYM, JAK WYSIADŁ ZE ŚMIGŁOWCA NA POMOŚCIE „EUREKI”. – JAK, U LICHA, ŚWIEŻO ZŁOWIONY TUŃCZYK MOŻE POZABIJAĆ WSZYSTKICH NA POKŁADZIE SZKUNERA? ZANIM SUTHERLAND, DOWÓDCA „EUREKI”, ZDAŻYŁ ODPOWIEDZIEĆ, ADMIRAŁ PEARSON SIĘ OBRÓCIŁ I ZACZAŁ WYDAWAĆ HAGANOWI ROZKAZY. – ZABRAĆ Z POWROTEM ŚMIGŁOWIEC NA „JOHNSONA” I SPAKOWAĆ MOJE RZECZY. PRZYWIEŻĆ JE PROSTO TUTAJ. JEŚLI KAPITAN SUTHERLAND MA ODPOWIEDNIĄ KABINĘ, TO POZOSTANĘ TU. ZGADZA SIĘ PAN, KAPITANIE? *ST

SUTHERLAND SZYBKO ODZYSKAŁ ZIMNĄ KREW. – JEST PAN MILE WIDZIANY, ADMIRALE. MAMY WOLNĄ KABINĘ, DO KTÓREJ MOGĘ SIĘ PRZENIEŚĆ...

– BYLE GDZIE, KAPITANIE – PRZERWAŁ MU PEARSON. ZAUWAŻYŁ, ŻE SHERWOOD I JULIA MU SIĘ PRZYGLĄDAJĄ, I SKINĄŁ W ICH STRONĘ

GŁOWĄ. – O CO CHODZI Z TYM TUŃCZYKIEM?

SUTHERLAND OTWORZYŁ DZIENNIK OKRĘTFWY „BERMUDA WITCH” I POKAZAŁ JEDEN Z OSTATNICH ZAPISÓW. „9.40 NADER DZIWNE ZACHOWANIE RYB. DELFINY I MORŚWINY RZUCAJĄ SIĘ NA POWIERZCHNIĘ JAK OSZALAŁE. ZNACZNYCH ROZMIARÓW TUŃCZYK OGŁUSZONY PRÓBĄ SLARANOWANIA NAS NA ŚRÓDKRĘCIU; WYSTARCZY NA OBFITE PORCJE DLA KAŻDEGO NA DZISIEJSZĄ KOLACJĘ. MORZE NIEZWYKŁEGO CZERWONAWEGO KOLORU”.

– I PAŃCY BIOLOG- »VIE ZBADALI TEGO TUŃCZYKA? – DOPYTYWAŁ SIĘ ADMIRAŁ PEARSON, SKOŃCZYWSZY CZYTAĆ.

– RESZTA ZNAJDOWAŁA SIĘ W ZAMRAŻARCE SZKUNERA – WYJAŚNIŁ SUTHERLAND. – TUŃCZYK MIAŁ ZAPALENIE MÓZGU, A W KOMÓRKACH JEGO CIAŁA STWIERDZONO WIELKIE ILOŚCI TOKSYCZNYCH KOMÓREK

I NERWOWYCH, PRZYPUSZCZALNIE POCHODZĄCYCH Z KRWIOBIEGU.

– CZY SĄ BEZ SMAKU?

– ZAPEWNE TAK.

PEARSON ZAPALIŁ CYGARO. – CO PAN MYŚLI O TEORII SHERWOODA?

– TO JEDYNA TEORIA, JAKĄ MAMY DO DYSPOZYCJI. WSZYSTKIE TEORIE NAUKOWE TO W ISTOCIE IZBA TORTUR DLA FAKTÓW. JEŚLI KTÓRYŚ Z MOICH ZESPOŁÓW WYSTĄPI Z INNĄ, WTEDY JE SPRAWDZIMY.

PEARSON WCIĄGNĄŁ DYM. – A ZDARZYŁO SIĘ TO?

– SPECJALISTA OD SCRIPPSA, KTÓRY JEST Z NAMI, SUGEROWAŁ PRZECIEKAJĄCY ZBIORNIK Z GAZEM NERWOWYM NA DNIE OCEANU. TEORIA SHERWOODA OSTAŁA SIĘ W TEJ KONFRONTACJI.

– NO CÓŻ, ON JEST PRZEKONUJĄCY, TO MUSZĘ MU PRZYZNAĆ

– ZAUWAŻYŁ PEARSON.

SUTHERLAND SIĘ UŚMIECHNĄŁ. – DLATEGO ŻE ZUPEŁNIE MU NIE ZALEŻY, ABY CZŁOWIEKA PRZEKONAĆ.

– I NIE ZNALAZŁ PAN NICZEGO, CO OBALIŁOBY JEGO WYWODY? ABSOLUTNIE NIC?

– ABSOLUTNIE NIC.

– A TO GO NIE MARTWI?

SUTHERLAND POTRZAŚNAŁ GŁOWĄ. – NIE MARTWIŁO AŻ DO POJAWIENIA SIĘ „BERMUDA WITCH”. TERAZ CHYBA MYŚLI, ŻE BYĆ MOŻE

MAMY SZANSE ZDOBYCIA DOWODÓW.

– JAK TO?

SUTHERLAND WSKAZAŁ OTWARTY DZIENNIK POKŁADOWY „BERMUDA WITCH”. – ZNAMY DOKŁADNY CZAS I DATĘ, KIEDY SZKUNER WPADŁ W TARAPATY, ADMIRALE... PONADTO ZNAMY DOKŁADNE POŁOŻENIE.

PEARSON SPRAWIA* $\frac{1}{2}$ WRAŻENIE LEKKO UBAWIONEGO. – NIE PRZYWIĄZYWAŁBYM ZBYTNEJ WAGI DO POZYCJI USTALONYCH PRZEZ WEEKENDOWEGO ŻEGLARZA.

– SPRAWA WYGLĄDA INACZEJ – RZEKŁ SUTHERLAND. – „BERMUDA WITCH MIAŁA DOBRY SPRZĘT. MIANOWICIE SYSTEM NAWIGACYJNY DECCA. SAMOPIS PRACOWAŁ, GDY OCHRONA WYBRZEŻA ZNALAZŁA SZKUNER.

PEARSON NATYCHMIAST BARDZO SIĘ TYM ZAINTERESOWAŁ. – NAPRAWDĘ?

– ZA MNIEJ WIĘCEJ GODZINĘ ZAMIERZAMY URUCHOMIĆ NASZĄ GLORIĘ. HOLOWANIE JEJ OZNACZA OBNIŻENIE PRĘDKOŚCI, ALE POWINNIŚMY W CIĄGU Z GRUBSZA DZIESIĘCIU GODZIN PRZESZUKAĆ DNO OCEANU W MIEJSCU, GDZIE „BERMUDA WITCH” ZŁOWIŁA TEGO ZATRUTE-GO TUŃCZYKA.

12

DWANAŚCIE OSÓB, W TYM KAPITAN SUTHERLAND, SHERWOOD I ADMIRAL PEARSON, TŁOCZYŁO SIĘ W KABINIE STEROWANIA GLORIĄ NA „EURECE”. WSZYSCY PATRZYLI, JAK GŁOWICA SKANERA SONOGRAFU RYSUJE ŚWIEŻY OBRAZ DNA OCEANU TRZY MILE POD STATKIEM OCEANOGRAFICZNYM. W OSADZIE WIDNIAŁA MEANDRUJĄCA BRUZDA.

– TO TU JEST – POWIEDZIAŁ SHERWOOD. – ŚLAD PŁUŻENIA GÓRY LODOWEJ.

– CO TAKIEGO? – ZAPYTAŁ PEARSON.

– ŚLAD PŁUŻENIA GÓRY LODOJYEJ – POWTÓRZYŁ SHERWOOD.

- O SZEROKOŚCI MNIEJ WIĘCEJ DWUNASTU MIL I GŁĘBOKOŚCI MILI. RZECZ CAŁKIEM ZWYKŁA NA PÓŁNOCNYM ATLANTYKU. ŻŁOBIĄ JE GÓRY LODOWE W OSADZIE. WIĘKSZOŚĆ BRUZD POCHODZI Z OSTATNIEJ EPOKI LODOWCOWEJ I ZOSTAŁA WŁAŚCIWIE ZATARTA PRZEZ NASTĘPNE NAWARST-

WIENIA OSADU.

– NAJWIĘKSZA, JAKĄ KIEDYKOLWIEK WIDZIAŁEM – RZEKŁ JEDEN Z SONARZYSTÓW.

SHERWOOD WSKAZAŁ NA SONOGRAF. – WIDAĆ, GDZIE KRZYŻUJE SIĘ ZE ZNACZNIE STARSZYMI ŚLADAMI PŁUŻENIA.

ADMIRAŁ PEARSON WPATRYWAŁ SIĘ W BRUZDĘ. NAWET JEGO NIE WYSZKOLONE OKO MOGŁO DOJRZEĆ, ŻE KRAWĘDZIE OLBRZYMIEGO ŚLADU

PŁUŻENIA SĄ ŚWIEŻE. DWANAŚCIE MIL SZEROKOŚCI! SHERWOOD ODPOWIEDZIAŁ NA NASTĘPNE JEGO PYTANIE, ZANIM JE POSTAWIŁ.

– JEŚLI NIE ZMIERZAMY W ZŁYM KIERUNKU WZDŁUŻ TEGO ŚLADU, TO CHYBA TYLKO KWESTIA CZASU, GDY...

PEARSON NIE SŁUCHAŁ RESZTY ZDANIA. SKIŃAŁ NA SUTHERLANDA I HAGANA I WSKAZAŁ IM GESTEM RĘKI DRZWI. ZNALAZŁSIY SIĘ NA ZEWNĄTRZ, W PRZEJŚCIU, ZWRÓCIŁ SIĘ DO SUTHERLANDA: – NIECH PAN UTRZYMUJE DWUDZIESTOCZTEROGODZINNE WACHTY Z GLORIA.

– NIGDY NIE HOLUJEMY W NOCY, BO MOGŁOBY SIĘ COŚ STAĆ

– PROTESTOWAŁ KAPITAN. – GLORIA KOSZTUJE PRZESZŁO DWA MILIONY DOLARÓW.

– BIORĘ NA SIEBIE ODPOWIEDZIALNOŚĆ – UCIAŁ KRÓTKO PEARSON. ZWRÓCIŁ SIĘ DO HAGANA. – DAJ ZNAĆ „JOHNSONOWI”, ŻEBY PRZYPŁYNAŁ TU JAK NAJSZYBCIEJ. NIE MA ZNACZENIA, CZY SĄ TU GDZIEŚ SOWIECKIE AGI, KTÓRE MOGŁYBY POZNAĆ JEGO PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNĄ.

– ALE CO TO NAM DA, ŻE BĘDIEMY MIELI TU CVB? – SPYTAŁ SUTHERLAND.

PEARSON ZAPALIŁ CYGARO IGNORUJĄC NAPIS „PALENIE WZBRONIO-1 NE”. – ZACZYNAM SIĘ PRZEKONYWAĆ DO POGLĄDÓW SHERWOODA I BĘDĘ SIĘ CZUŁ O WIELE LEPIEJ MAJĄC CVB W POBLIŻU. A JESZCZE LEPIEJ, JEŚLI SIĘ OKAŻE, ŻE NIE TRZEBA GO BĘDZIE UŻYĆ.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

13

ŚLAD PŁUŻENIA ZNIKNĄŁ.

FC

SHERWOOD OPADŁ ZNUŻONY NA KRZESŁO OBOK SONARZYSTY I OBSE-
RWOVAŁ OBRAZ WYŁANIAJĄCY SIĘ SPOD GŁOWICY SKANERA GLORII.'

– KIEDY ZNIKNĄŁ?

– NIE ZNIKNĄŁ – POWIEDZIAŁ SONARZYSTA. – NIECH PAN PATRZY.

SKIEROWAŁ POSZUKIWAWCZĄ WIĄZKĘ FAL DŹWIĘKOWYCH NA LEWO OD KURSU „EUREKI”. SPOD GŁOWICY WYSZEDŁ NOWY OBRAZ DNA OCEANU. TYM RAZEM Z JEDNEJ STRONY WYKRES ZACZAŁ SIĘ PIĄĆ STROMO W GÓRĘ.

– WYSOKOŚĆ SIEDEM TYSIĘCY STÓP – OZNAJMIŁ ZANIEPOKOJONY SONARZYSTA. – ŚLAD PŁUŻENIA WCIAŻ TU MAMY, TYLE TYLKO, ŻE JEST

ZBYT SZEROKI, BY SIĘ ZMIEŚCIĆ NA TYM PAPIERZE. TO JEGO KRAWĘDŹ.

– JAKA TO SZEROKOŚĆ?

SONARZYSTA PRZEŁKNAŁ ŚLINĘ. – CZY PAN UWIERZY... CZTERDZIEŚCI PIĘĆ MIL... DOKŁADNIE ZASIĘG TEGO URZĄDZENIA.

SHERWOODOWI UDAŁO SIĘ ZAPYTAĆ SPOKOJNYM GŁOSEM: – SPRAWDZIŁ PAN UKŁAD PRZETWORNIKA?

– I REZERWOWE. REZULTATY TAKIE SAME.

OBAJ OBSERWOWALI SONOGRAF W MILCZENIU.

– CZY WZYWAŁ PAN JESZCZE KOGOŚ? – ZAGADNĄŁ SHERWOOD, GDY GŁOWICA SKANERA ZACZĘŁA WYKONYWAĆ NOWY WYKRES.

– NIE. – SONARZYSTA WYGLĄDAŁ NA ZATROSKANEGO. – WIE PAN, JESTEM NA TYM OKRĘCIE OD PIĘCIU LAT I TROPIĘM NA POŁUDNIU ŚLADY PŁUŻENIA, KTÓRE MUSIAŁY CHYBA POZOSTAWIĆ NAJSTARSZE Z TYCH GÓR LODOWYCH, ALE NIGDY JESZCZE NIE WIDZIAŁEM CZEGOŚ TAKIEGO.

SHERWOOD JEDNAK NIE SŁUCHAŁ. ZAUWAŻYŁ NA WYKRESIE COŚ, CO GO PRZYPRAWIŁO O ŚCISKANIE W DOŁKU.

14

BYŁO PÓŁ DO SZÓSTEJ RANO. CZYSTE NIEBO NAD ATLANTYKIEM ZAPOWIADAŁO KOLEJNY CIEPŁY DZIEŃ. POGODA JEDNAK NIE MIAŁA WPŁYWU NA HUMOR ADMIRAŁA PEARSONA. ZAZWYCZAJ POPRAWIAŁ MU SIĘ Z PRZYBYWANIEM DNIA. O PÓŁ DO SZÓSTEJ RANO DNIA BYŁO NIEBEZPIECZNIE MAŁO. ADMIRAŁ NIE ZNOŚIŁ, KIEDY GO BUDZONO, I DAŁ TO BARDZO WYRAŹNIE DO ZROZUMIENIA HAGANOWI.

– SHERWOOD PROSI O PRZYBYCIE DO KABINY STEROWANIA, SIR

– RZEKŁ GŁADKO HAGAN, PODAJĄC SWEMU ZWIERZCHNIKOWI FILIŻAN-

KĘ GORĄCEJ CZARNEJ KAWY. — NIE CHCIAŁEM PANU PRZESZKADZAĆ, ALE SHERWOOD SPRAWIA WRAŻENIE BARDZO PODEKSCYTOWANEGO.

PEARSON MIĘDZY ŁYKAMI PARZĄCEGO NAPOJU WYPOWIADAŁ USZCZYPLIWE UWAGI POD ADRESEM CYWILÓW.

LADA CHWILA ZAUWAŻY, ŻE OKRĘT SIĘ ZATRZYMAŁ, POMYŚLAŁ HAGAN.

— DLACZEGO OKRĘT SIĘ ZATRZYMAŁ?

— NIE WIEM, SIR.

DZIESIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ W CIASNEJ PRZESTRZENI KABINY STEROWNICZEJ GLORII PEARSON WYŁADOWYWAŁ SWÓJ GNIEW NA SHERWOODZIE.

— DLACZEGO ZATRZYMANO SILNIKI, PANIE SHERWOOD?

— ŻEBYŚMY MOGLI DOBRZE SŁYSZEĆ — ODPAŁ SHERWOOD WŁĄCZAJĄC DO GNIAZDKA PARĘ SŁUCHAWEK. — GDYBY PAN ZECHCIAŁ TU USIAŚĆ, SIR.

PEARSON ZGODZIŁ SIĘ USIAŚĆ NA JEDNYM Z OBROTOWYCH KRZESEŁ PRZED PULPITEM STEROWNICZYM. SHERWOOD PODAŁ MU SŁUCHAWKI.

— ZA TO J A MUSZĘ SIĘ DOBRZE WYSPAĆ, PANIE SHERWOOD.

— PROSZĘ JE WŁOŻYĆ NA GŁOWĘ, SIR.

— WOLAŁBYM, ŻEBY TO BYŁO COŚ USPOKAJAJĄCEGO — ODBURKNAŁ PEARSON ZAKŁADAJĄC SŁUCHAWKI NA USZY. PEŁEN NAPIĘCIA WYRAZ

TWARZY GEOLOGA UŚMIERZAŁ JEGO ZŁY HUMOR. — A CO MAM USŁYSZEĆ?

— NIECH PAN ZWIĘKSZY GŁOŚNOŚĆ — POPROSIŁ SHERWOOD SONARZYSTĘ.

SONARZYSTA ZROBIŁ, O CO GO PROSZONO.

PEARSON ZMARSZCZYŁ BRWI. — NO I?

— CZY SŁYSZY PAN COŚ?

— NIE.

UŻYWAMY ODBIORNIKA GLORII JAKO INSTRUMENTU DO PASYWNEGO NASŁUCHU — WYJAŚNIŁ SHERWOOD. — I OBRACAMY O TRZYSTA DWADZIEŚCIA STOPNI...

PEARSON OTWORZYŁ USTA, ŻEBY ZBESZTAĆ GEOLOGA, ALE SŁOWA ZAMARŁY MU NA WARGACH, GDY CISZA PANUJĄCA W SŁUCHAWKACH DOTARŁA DO JEGO ZAĆMIONEGO NIEWYSPANIEM UMYSŁU.

MO RZE NIGDY NIE JEST CICHE! NIGDY!

SHERWOOD ZAUWAŻYŁ, JAK PEARSON NIEMAL NIEDOSTRZEGALNIE ZESZTYWNIĄŁ Z WRAŻENIA. TRAFNIE PRZEWIDYWAŁ, ŻE STARY WILK MORSKI ŚWIETNIE ZNA NIEUSTAJĄCY HARMIDER W OCEANIE POWODOWANY PRZEZ NIE KOŃCZĄCE SIĘ MLASKANIA R CMOKANIA DELFINÓW I MORŚWINÓW. WYSOKIE WYDAWANE PRZEZ NIE DŹWIĘKI BYŁY WYCHWYTYWANE PRZEZ SONARY Z ODLEGŁOŚCI WIELU MIL.

SHERWOOD POWIEDZIAŁ WOLNO: – NA TEJ PLANECIE JEST PRAWDOPODOBNIĘ WIĘCEJ DELFINÓW I MORŚWINÓW NIŻ LUDZI. GDZIE WIĘC SIĘ WSZYSTKIE PODZIAŁY?

PEARSON NIE ODPOWIEDZIAŁ. SŁUCHAŁ Z WYRAZEM NAPIĘCIA I KONCENTRACJI NA TWARZY.

– NIE MA TEŻ ANI ŚLADU RYB NA SONOGRAFIE – DODAŁ SHERWOOD. – NICZEGO. ZUPEŁNIE JAKBY CAŁE ŻYCIE MORSKIE ZOSTAŁO ZLIKWIDOWANE... ALBO PRZEPEŁOSZONE.

– CZEGO TO DOWODZI? – SPYTAŁ PEARSON. ODSUNĄŁ SŁUCHAWKĘ WYŁOŻONĄ MIĘKKĄ GĄBKĄ OD UCHA, ŻEBY DOBRZE SŁYSZEĆ ODPOWIEDŹ SHERWOODA. – W MORZU, JAK POWIADAJĄ, DZIEJĄ SIĘ DZIWNE RZECZY.

– A TO JEST JESZCZE DZIWNIEJSZE – RZEKŁ SHERWOOD MANIPULUJĄC APARATURĄ Z PULPITU STEROWNICZEGO. – USTAWIAM TERAZ ODBIORNIK TAK, ŻE ODBIERA DŹWIĘKI WYTWARZANE NA POWIERZCHNI. PROSZĘ POSŁUCHAĆ. DŹWIĘKI TAKIE, JAKIE WYTWARZA DUŻY OKRĘT IDĄCY CAŁĄ PARĄ, ŻEBY BIĆ REKORDY. DŹWIĘKI CORAZ GŁOŚNIEJSZE. JEST ODDALONY O JAKIEŚ STO MIL.

PEARSON WSŁUCHAŁ SIĘ W MOCNY ŁOMOT POTĘŻNYCH ŚRUB OBRACAJĄCYCH SIĘ Z DUŻĄ PRĘDKOŚCIĄ. MÓGŁ NAWET USŁYSZEĆ ŁATWE DO ROZPOZNANIA POJĘKIWANIE TURBIN PAROWYCH.

– TO PRAWDOPODOBNIĘ „JOHNSON” – OZNAJMIŁ. TERAZ ZNOWU ZACZYNAŁA OGARNIAĆ GO ZŁOŚĆ. – CZY KAZAŁ PAN MNIE OBUDZIĆ O TEJ BARBARZYŃSKIEJ PORZE, ŻEBYM SOBIE POSŁUCHAŁ...

– NIE – ODPAŘ SHERWOOD OSTRYM TONEM. – ZBUDZILIŚMY PANA, ŻEBY POSŁUCHAŁ PAN TEGO.

SHERWOOD ZMIENIŁ NACHYLENIE APARATURY. DŹWIĘK „JOHNSONA” ZASTĄPIŁ HAŁAS, KTÓRY NIE PRZYPOMINAŁ PEARSONOWI ŻADNEGO SŁYSZANEGO DOTĄD HAŁASU. NA TWARZY POJAWIŁ MU SIĘ WYRAZ ZASKOCZENIA, PRZYCISNĄŁ MOCNIEJ DO USZU OBIE SŁUCHAWKI. ROZ-

LEGAŁO SIĘ W NICH COŚ W RODZAJU PODWODNEJ EKSPLOZJI I DEMONICZNEGO WRZASKU NASILAJĄCEGO SIĘ DO CRESCENDA WRAZ Z POMRUKAMI DALEKIEGO GRZMOTU. WSTRĘTNA KAKOFONIA GŁĘBIN BRZMIĄCA JAK RYKI ZŁOŚLIWEJ, TRUDNEJ DO WYOBRAŻENIA BESTII, KTÓRA TRAWI TRZEWIA

ZIEMI. PEARSON LEDWIE SŁYSZALNYM GŁOSEM SPYTAŁ: – CÓŻ TO TAKIEGO, DO DIABŁA?

– LÓD – POWIEDZIAŁ KRÓTKO SHERWOOD.

PRZYSŁUCHUJĄC SIĘ STRASZLIWYM DŹWIĘKOM ROZLEGAJĄCYM SIĘ W SŁUCHAWKACH ADMIRAL SPRAWIAŁ WRAŻENIE ZAHIPNOTYZOWANEGO. SŁUCHAŁ ICH JESZCZE PRZEZ KILKA SEKUND, PO CZYM ZDJAŁ SŁUCHAWKI Z GŁOWY I BEZ SŁOWA POŁOŻYŁ NA KONSOLI.

– CZUJNIKI WYCHWYTUJĄ DŹWIĘKI Z DNA MORSKIEGO – WYJAŚNIŁ ZE SPOKOJEM SHERWOOD. – Z ODLEGŁOŚCI O CIU MIL I NA KURSIE „JOHNSONA”. WYGLĄDA, ŻE Z DUŻĄ PRĘDKOŚCIĄ.

PEARSON POKIWAŁ GŁOWĄ I WLEPIŁ WZROK W SŁUCHAWKI. NIEZEMSKIE SZEPTY BYŁO WYRAŹNIE SŁYCHAĆ. – KAZAŁEM MU PRZYPŁYNAĆ IN JAK NAJSZYBCIEJ.

– ALE ONI SŁYSZĄ Z PEWNOŚCIĄ TE HAŁASY I ZMIENIĄ KURS?

PEARSON SPOJRZAŁ NA SHERWOODA PRZYGASZONYM WZROKIEM.

– NIE... NICZEGO NIE USŁYSZĄ. „JOHNSON” MUSI WCIĄGNĄĆ PODWODNĄ APARATURĘ NASŁUCHOWĄ W KADŁUB PRZY PRĘDKOŚCI PONAD TRZYDZIESTU WĘZŁÓW.

NAGLE DŹWIĘKI USTAŁY. SHERWOOD CHWYCIŁ SŁUCHAWKI I PRZYCISNAŁ JE DO USZU. NASTAWIŁ WZMACNIACZ NA MAKSYMUM I NASŁUCHIWAŁ PILNIE. WYTRZESZCZYŁ OCZY POD WPŁYWEM SZOKU.

– ADMIRALE – RZEKŁ, KONTROLUJĄC SIĘ WOLI SWÓJ GŁOS.

– MUSIMY JAK NAJSZYBCIEJ WYDOSTAĆ SIĘ Z TEGO REJONU.

CZĘŚĆ TRZECIA ZAGŁADA

ROZDZIAŁ ÓSMY

LÓD RUSZYŁ.

RUSZYŁ NIEWYOBRAŻALNIE WOLNO – WYPRÓBOWUJĄC SWOJĄ ŚWIEŻO ODNALEZIONĄ ZDOLNOŚĆ PŁYNIĘCIA TERAZ, GDY WRESZCIE ODERWAŁ SIĘ OD GÓR, KTÓRE CIĄGNAŁ ZE SOBĄ PRZEZ PÓŁ ŚWIATA. NIERUCHAWA MASA O WADZE WIELU MILIARDÓW TON PORUSZAŁA SIĘ NIEPEWNIEM W POWOLNYM DENNYM PRĄDZIE.

LÓD DŹWIGAŁ SIĘ W GÓRĘ.

STO STÓP... PIĘĆSET STÓP...

NIEWIELKA GÓRA, KTÓREJ POSTRZĘPIONE SZKARPOWANIE UTRZYMUJĄCE JĄ NA DOTYCHCZASOWYM MIEJSCU W KOŃCU USTĄPIŁO, OPADŁA POWOLI NA WARSTWĘ GŁĘBINOWEGO MUŁU WYŚCIELAJĄCEGO DNO OCEANU.

LÓD UNOSIŁ SIĘ TERAZ W GÓRĘ SZYBCIEJ. DELIKATNIE, LECZ NIEUBŁAGANIE WYPIERAŁ SWĄ WAGĄ MILIONY TON MORSKIEJ WODY. NAGLE RUCH TEGO KOŁOSA STAŁ SIĘ NABIERAJĄCYM PRZYSPIESZENIA, RADOSNYM PORYWEM WOLNOŚCI.

PORUCZNIK JACK KLEIN LECĄCY SAMOŁOTEM SKYWARRIOR Z USS „JOHNSON” BYŁ JEDYNYM ŚWIADKIEM.

ZNAJDOWAŁ SIĘ NA WYSOKOŚCI PIĘTNASTU TYSIĘCY STÓP, GDY ZAUWAŻYŁ NAGŁE PRZEBARWIENIE MORZA. WEDŁUG JEGO OCENY WYKWIT POKRYWAŁ POWIERZCHNIĘ O WYMIARACH DWADZIEŚCIA PIĘĆ MIL NA CZTERDZIEŚCI – TYSIĄC MIL KWADRATOWYCH OCEANU NABRAŁO KOLORU KRWI.

NURKOWAŁ PRZEKAZUJĄC NA BIEŻĄCO MELDUNKI NA „JOHNSONA”, KTÓRY ZNAJDOWAŁ SIĘ O STO PIĘĆDZIESIĄT MIL NA WSCHÓD I WYDUSZAŁ Z SILNIKÓW JAK NAJWIĘCEJ WĘZŁÓW, ŻEBY UCIEC Z REJONU ZBLIŻAJĄCEJ SIĘ KATASTROFY.

2

WTEDEY TO SIĘ STAŁO.

KLEIN WYRÓWNAŁ MASZYNĘ NA WYSOKOŚCI PIĘCIU TYSIĘCY STÓP I GAPIŁ SIĘ Z PRZERAŻENIEM NA POWIERZCHNIĘ WODY. UNOSIŁA SIĘ I ZMIENIAŁA KOLOR Z CZERWIENI NA BIEL OSZALAŁEJ, PIENISTEJ KUPIELI – JAKBY SIĘ ZAGOTOWAŁA.

I WCIAŻ SIĘ PODNOŚIŁA – PRZYBIERAJĄC KSZTAŁT OLBRZYMIEGO GARBU – GARGANTUICZNY NOWOTWÓR NA OBLICZU OCEANU.

LÓD WYRŻNAŁ SIĘ NA BRZASK PORANKA. KLEIN PATrzyŁ W OSŁUPIE-

NIU NA MIGOTLIWE, KRYSZALICZNE KLIFY WYOBŁONE PRZEZ EROZJĘ CIEPŁYCH WÓD, WZGÓRZA, DOLINY, ZNAJDUJĄCĄ SIĘ W ŚRODKU OSOBLIWĄ GÓRĘ W KSZTAŁCIE USTAWIONEGO NA SZTORC KOWADŁA, A NAWET GWAŁTOWNIE TWORZĄCE SIĘ RZEKI SPŁYWAJĄCEJ W DÓŁ WODY MORSKIEJ, KTÓRE DRĄŻYŁY GŁĘBOKIE PAROWY.

TO BYŁA CAŁA KRAINA. PŁYWAJĄCA KRAINA. KRAINA LODU. MILIONÓW, SETEK MILIONÓW TON LODU.

KLEIN KRĄŻĄC NAD TYM ROZISKRZONYM KONTYNENTEM ZAPOMNIAŁ O MELDOWANIU, A RĘCE NA STEROWNICY PORUSZAŁY MU SIĘ AUTOMATYCZNIE. ZAPOMNIAŁ O ZRZĘDNYM GŁOSIE Z „JOHNSONA” W SŁUCHAWKACH HEŁMOFONU. PATRYŁ W DÓŁ PONAD OSŁONĄ KABINY SWEGO SKYWARRIORA, ZAFASCYNOWANY GROŹNYM PIĘKNEM NAJWIĘKSZEGO NA ŚWIECIE PORUSZAJĄCEGO SIĘ OBIEKTU.

JAKIŚ ODOSONIONY ZAKĄTEK JEGO OSZOŁOMIONEGO UMYŚŁU TRZYMAŁ SIĘ KURCZOWO ROZSĄDKU. LECZ NAWET TO USIŁOWANIE ZDOMINOWAŁA JEDNA MYŚL: DZIEWIĘĆ DZIESIĄTYCH ZNAJDUJE SIĘ POD POWIERZCHNIĄ.

DO WZBURZONEGO MORZA Z HUKIEM SPADAŁY OGROMNE KASKADY DODAJĄC NIEZMIERZONYCH ILOŚCI ENERGII FALI PŁYWU, KTÓRA SUNĘŁA W DAL, STARAJĄC SIĘ UMKNĄĆ ZE SCENY TYCH ZATRWAŻAJĄCYCH NARODZIN.

3

FALA PŁYWU ZNAJDOWAŁA SIĘ W ODLEGŁOŚCI TRZECH MIL I PĘDZIŁA Z RYKIEM W STRONĘ „EUREKI” Z PRĘDKOŚCIĄ EKSPRESU.

SUTHERLAND BYŁ SAM NA MOSTKU – NA WŁASNE ŻĄDANIE.

USTAWIŁ STER TAK, BY UODPORNIONY NA LÓD DZIÓB „EUREKI” ZETKNAŁ SIĘ CZOŁOWO Z ATAKUJĄCĄ GÓRĄ WODY.

„EUREKA” I JEJ ZAŁOGA MIAŁY DZIESIĘĆ GODZIN, BY PRZYGOTOWAĆ SIĘ PSYCHICZNIE I FIZYCZNIE NA TO KATASTROFICZNE, NIEUCHRONNE WYDARZENIE, KTÓRE TERAZ WŁAŚNIE ICH CZEKAŁO. WSZYSTKIE LUKI USZCZELNIONO. OLBRZYMIĘ ANTENY SATELITARNE, KTÓRE MOGŁY PRZE-DZIURAWIĆ POKŁADY, GDYBY ZOSTAŁY RUSZONE ZE SWOICH MIEJSC, ZDEMONTOWANO I SCHOWANO POD POKŁADEM, ZABEZPIECZONO CAŁY CIĘŻKI SPRZĘT. WODOSZCZELNE DRZWI POZAMYKANO, KOMORY POWIETRZNE WYPRÓBOWANO ORAZ POODCINANO PASY ASEKURACYJNE ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NA OKRĘCIE AKWALUNGÓW, BY KAŻDY MÓGŁ

PRZYWIĄZAĆ SIĘ DO KOI I TRZYMAĆ RĘCE NA ŁATWO ODPINAJĄCYCH SIĘ SPRZĄCZKACH.

4

ADMIRAŁ PEARSON NIE ZGODZIŁ SIĘ ODLECIEĆ SWOIM ŚMIGŁOWCEM ARGUMENTUJĄC, ŻE ŻADNEMU MARYNARZOWI NIE WPADŁBY DO GŁOWY POMYSŁ OPUSZCZENIA OKRĘTU ZNAJDUJĄCEGO SIĘ W TARAPATACH. ZRESZTĄ BYLI W TAKIEJ ODLEGŁOŚCI OD LĄDU, ŻE ŚMIGŁOWIEC I TAK BY NIE MIAŁ DOKĄD POLECIEĆ.

KIEDY SHERWOOD SPRAWDZAŁ PAS JULII, TA ZARZUCIŁA MU RĘCE NA SZYJĘ I OBDARZYŁA GO POCAŁUNKIEM.

5

HAGAN I PEARSON LEŻELI W MILCZENIU, KAŻDY W SWOJEJ KABINIE. HAGAN POPRAWIŁ SWOJEMU SZEFOWI SPRZĄCZKI, UPEWNIAJĄC SIĘ, ŻE NIE SĄ ZBYT MOCNO PRZYCIĄGNIĘTE, I WYSZEDŁ BEZ SŁOWA. UŚCISNĘLI SOBIE RĘCE. CÓŻ WIĘCEJ MOŻNA BYŁO ZROBIĆ?

CZTERDZIESTU DZIEWIĘCIU MĘŻCZYŹN I JEDNA KOBIETA MODLIŁO SIĘ KAŻDY DO SWEGO BOGA, SŁUCHAJĄC ZBLIŻAJĄCEGO SIĘ GRZMOTU ZWIASTUJĄCEGO KONIEC.

SUTHERLAND ZE SPOKOJEM MYŚLAŁ O ŚMIERCI, OBSERWUJĄC ŚCIANĘ WODY PĘDZĄCĄ KU NIEMU Z RYKIEM. CZERPAŁ TEN SPOKÓJ ZE ŚWIADOMOŚCI, ŻE NIC NIE MOŻE UCZYNIĆ – „EUREKI” NIE URATUJE ANI JEGO WIEDZA, ANI WZMOCNIONY KADŁUB. OKRĘT, CHOĆ ZAPROJEKTOWANO GO TAK, BY ZDOŁAŁ WYTRZYMAĆ NAJGORSZĄ POGODĘ, JAKĄ I MOGŁA MU ZAOFEROWAĆ ZIEMIA, ZOSTANIE PRZEWROCONY NA BOK I ZDRUZGOTANY W CIĄGU KILKU SEKUND. »

UŚMIECHNĄŁ SIĘ IRONICZNIE, GDY PRZYSZŁO MU DO GŁOWY, ŻE JAKO ZAPALONY AMATOR SURFINGU ZAWSZE MARZYŁ O SPOTKANIU OWEGO MITYCZNEGO OLBRZYMIEGO WAŁU WODNEGO, KTÓRY SUNĄŁBY BEZ KOŃCA. ZAWSZE TEŻ CHCIAŁ UMRZEĆ NA MORZU.

OBA ŻYCZENIA MIAŁY SIĘ OTO SPEŁNIĆ.

6

USS „JOHNSON” OCALAŁ.

LEDWO.

URATOWAŁ SIĘ OD PEWNEJ ZGUBY DZIĘKI STUMIŁOWEJ UCIECZ-

CE I PRZESZŁO TRZYSTU TYSIĄCOM KONI MECHANICZNYCH, KTÓRE ZAPEWNIĄŁY MU PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNĄ CZTERDZIESTU DWU WĘZŁÓW.

FALA PŁYWU, O MALEJĄCEJ MASIE I PRĘDKOŚCI, DOGONIŁA GO W KOŃCU PO TRANSOCEANICZNEJ SZARŻY NA WSCHÓD, POKONUJĄC TYSIĄC MIL W NIESPEŁNA DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY. „JOHNSON” POBIŁ REKORD, ALE NA JEGO POKŁADZIE NIKT Z TEGO POWODU SIĘ NIE CIESZYŁ, BO OKRĘT OBRACAŁ SIĘ DZIOBEM NA SPOTKANIE FALI PŁYWU, KTÓRA ZNAJDOWAŁA SIĘ W ODLEGŁOŚCI ZALEDWIE TRZECH MIL. PIĘĆ MINUT POTEM W NICH UDERZYŁA. POCHYŁONY POKŁAD DO LĄDOWANIA I STARTÓW ZNIKNĄŁ POD TOCZĄCĄ SIĘ GÓRĄ. SAMOLOTY, DLA KTÓRYCH NIE STARCYŁO MIEJSCA NA POKŁADZIE HANGAROWYM I KTÓRE NIE MOGŁY ODLECIEĆ, ZMIOTŁO JAK KONFETTI W TUNELU AERODYNAMICZNYM.

PRZEZ KILKA SEKUND, DŁUŻĄCYCH SIĘ JAK WIECZNOŚĆ, WIDAĆ BYŁO TYLKO POMOST JAK WYSPĘ GÓRUJĄCĄ NAD KUPIĄCYM WIREM. NIEKTÓRYM SAMOLOTOM UDAŁO SIĘ WYSTARTOWAĆ I TERAZ KRAŻYŁY NAD „JOHNSONEM” – DLA CZŁONKÓW ICH ZAŁÓG BYŁO JASNE, ŻE OKRĘT ZMUSZONY BORYKAĆ SIĘ Z ŻYWIOŁEM ZOSTAWI ICH SAMYM SOBIE W POWIETRZU. W CIĄGU PEŁNYCH UDRĘKI CHWIL POTĘŻNY LOTNISKOWIEC, DUMA MARYNARKI WOJENNEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH, BALANSOWAŁ NA KRAWĘDZI ZAGŁADY. JEGO POKŁAD DO LĄDOWANIA I STARTÓW ZNAJDOWAŁ SIĘ NA POZIOMIE GOTUJĄCEGO SIĘ MORZA W KUPIELI FALI PŁYWU.

POWOLI DOSZŁO DO WYMODLONEGO CUDU – ZADZIAŁAŁY OLBRZYMIĘ REZERWY WYPORU LOTNISKOWCA. TĘPY DZIÓB UNIÓSŁ SIĘ ZRZUCAJĄC NIEZLICZONE TONY NIEZNOŚNEGO CIĘŻARU. SPŁYWNIKI, PRZEZ KTÓRE PRZELEWAŁA SIĘ WODA, HUCZAŁY JAK ZAWORY SPUSTOWE PRZY PODSTAWIE ZAPORY.

I TAK OTO „JOHNSON” OCALAŁ. KOSZTY SZKÓD, JAKIE PONIÓSŁ, SIĘGAĆ BĘDĄ KILKU MILIONÓW DOLARÓW. ZACHOWAŁ JEDNAK POKŁAD DO LĄDOWANIA I STARTÓW, SVOJĄ POWIETRZNĄ ZAŁOGĘ I WIĘKSZOŚĆ SWOICH SAMOLOTÓW. BYŁ WCIĄŻ OKRĘTEM WOJENNYM I WCIĄŻ NADAWAŁ SIĘ DO WALKI.

LONDYN.

DLA INSPEKTORÓW TOWARZYSTWA KLASYFIKACYJNEGO LLOYDA BYŁ TO

PONURY DZIEŃ. RAZ PO RAZ ROZBRZMIEWAŁ ŻAŁOBNIE DZWON LUTINE GŁOSZĄC KOLEJNE ZAGINIĘCIE STATKU MIĘDZY BERMUDAMI A BARBADOS.

WIELKI DZWON (DAWNIEJ DZWON OKRĘTOWY HMS „LA LUTINE”, KTÓRA ZATONĘŁA PRZY BRZEGACH HOLANDII W ROKU 1799) UDERZAŁ RAZ, OGŁASZAJĄC ZAGINIĘCIE STATKU, I DWA RAZY, OGŁASZAJĄC, ŻE OPÓŹNIONY STATEK NIE JEST ZAGROŻONY.

TEGO DNIA SŁYSZANO TYLKO POJEDYNCZE BICIE DZWONU.

„PLAISTOW”, „COBRA”, „ESSO CUMBRIA”, „EUREKA”... DALEKOPISY NIEPRZERWANIE WYSTUKIWAŁY NAZWY.

NASTĘPNIE ZACZĘŁY POJAWIAĆ SIĘ PIERWSZE NIEOFICJALNE DONIESIENIA Z NOWEGO JORKU... HISPANIOLA – SILNE ZALANIE, WYSPY DZIEWICZE – DOTKNIĘTE KOLEJNĄ FAŁĄ PŁYWU, PUERTO RICO – KATASTROFALNE ZALANIE, HAITI I DOMINIKANA – ROZLEGŁE ZALANIE TERENÓW PRZYBRZEŻNYCH SPOWODOWANE GIGANTYCZNĄ FAŁĄ PŁYWU... POTEM NAZWY DALSZYCH STATKÓW I DONIESIENIA RADIOWE O KOŁOSALNEJ FALI PŁYWU PRZEKAZYWANE DO LONDYNU. SKONFUNDOWANI INSPEK-

TORZY CAŁYMI GRUPAMI DYSKUTOWALI O TYM TAJEMNICZYM ZJAWISKU.

O CZWARTEJ PO POŁUDNIU OTRZYMANO ZDJĘCIA SATELITARNE I OSZOŁOMIONY ŚWIAT DOWIEDZIAŁ SIĘ O BIAŁEJ ATLANTYDZIE. TĘ NAZWĘ WYMYŚLIŁ JAKIŚ DZIENNIKARZ SPĘDZAJĄCY URLOP W MIAMI. GDZIE DAŁY SIĘ ODCZUĆ JEDYNNIE NIEWIELKIE SKUTKI OSŁABIONEJ JUŻ FALI

PŁYWU.

JAK ZWYKLE W WYPADKU KLĘSK ŻYWIOŁOWYCH NAJWIĘCEJ UCIERPIAŁY KRAJE BIEDNE.

UPALNE BABIE LATO, KTÓRE ZDOMINOWAŁO POGODĘ NA PÓŁKULI PÓŁNOCNEJ, ZACHĘCAŁO TURYSTÓW DO POZOSTANIA W LO''', V^T.

JAMES PARK BYŁO NIEZWYKLE TŁOCZNO.

NIE

SUTHERLAND?

ADMIRAŁ HOWE SIADŁ OBOK PORUCZNIKA ABBJNORUJĄCUPRZEDPRZED SIEBIE NOGI.

– JAK PRZEBIEGŁO SPOTKANIE, SIR? »Ę UKAZUJĄC JĄ OD

– MOŻESZ JUŻ ZANIECHAĆ PISANIA LISTÓW

NO UMIEŚCIĆ „ASTERIĘ” NA LIŚCIE OKRĘTÓW ZAGINIONYCH. JUTRO

ZOSTANIE OGŁOSZONE JEJ ZAGINIĘCIE.

WYGLĄDAŁO NA TO, ŻE ABBOTTOWI SPADŁ CIĘŻAR Z SERCA. – DZIĘKUJĘ, SIR. NIE SĄDZĘ, ŻEBYM ZDOŁAŁ CIĄGNĄĆ TĘ ZABAWĘ DUŻO DŁUŻEJ. ADMIRAŁ HOWE ZMARSZCZYŁ BRWI. ZIRYTOWAŁO GO OKREŚLENIE PRZEZ ABBOTTA OPERACJI MIANEM ZABAWY. NIC JEDNAK NIE RZEKŁ. NIE MIAŁO TO SENSU – CAŁA TA NIESZCZĘSNA HISTORIA JUŻ SIĘ ZAKOŃCZYŁA I OD JUTRA OKRĘT PODWODNY „ASTERIA” UZNANY ZOSTANIE OFICJALNIE ZA „MARTWY”.

TAK PRZYNAJMNIEJ MYŚLAŁ.

7

PREZYDENTOWI NIE ODPOWIADAŁY PÓŁŚRODKI.

– SŁUCHAJ – POWIEDZIAŁ BEZ OGRÓDEK DO SWEGO ASYSTENTA.
– NA TYCH WYSPACH MIESZKA MILION LUDZI, KTÓRZY POTRZEBUJĄ POMOCY, I TO NATYCHMIASTOWEJ. OPIEKI LEKARSKIEJ, JEDZENIA, DACHU NAD GŁOWĄ I UBRAŃ, W TEJ KOLEJNOŚCI. NIE BĘDZIEMY WDAWAĆ SIĘ W DYSKUSJĘ Z URZĘDNIKAMI LOKALNYCH RZĄDÓW, BO W TEN SPOSÓB WŁAŚNIE DOSTAWY Z POMOCY TRAFIĄ NA RYNEK. WYŚLEMY JE BEZPOŚREDNIO TAM, GDZIE SĄ NAJBARDZIEJ POTRZEBNE, I PODEJMOWANIE DECYZJI POZOSTAWIMY ZAŁOGOM ŚMIGŁOWCÓW. CO WIEMY O TEJ GÓRZE LODOWEJ? KTO ZA NIĄ ODPOWIADA?

– OCHRONA WYBRZEŻA.
– DLACZEGO?
– TO IM PODLEGA MIĘDZYNARODOWA SŁUŻBA LODOWA.
– JAK DUŻA JEST TA GÓRA LODOWA?
– NIKT NIE WIE.

PREZYDENT WYGLĄDAŁ NA ZANIEPOKOJONEGO. – DLACZEGO?

– SPOWIJA JĄ MGŁA. DO JEJ ŚLEDZENIA OCHRONA WYBRZEŻA UŻYWA SWOJEGO RADARU BOCZNEJ OBSERWACJI Z SAMOLOTÓW C-130. MÓWIĄ, ŻE LÓD PŁATA CHOLERNE FIGLE Z ODBICIAMI. NIE MOGĄ USTALIĆ JEGOJFITSYR^I.

I TAK OTO „JIYWKŁ DO WSZELKICH INDAGACJI, TOTEŻ ODPOWIADAŁ SIĘGAĆ BĘDĄ KILKU ;E SZYBKO, JAK SZYBKO MU JE ZADAWANO, DO LĄDOWANIA I SFANAWIAŁ SIĘ PRZEZ CHWILĘ. – ZAPEWNE WSZYST-SWOICH SAMOLOTOWI BIORĄ UDZIAŁ W OPERACJI NIESIENIA POMOCY? NADAWAŁ SIĘ DO WALKI.

PREZYDENT I ASYSTENT BYLI BLISKIMI PRZYJACIÓŁMI. TOTEŻ GDY BYLI

SAMI, ASYSTENT NIE UŻYWAŁ OFICJALNEGO ZWROTU „PANIE PREZYDENCIE”.

ZADZWONIŁ TELEFON. ASYSTENT ODEBRAŁ GO I SŁUCHAŁ. – TAK...

JESTEM WŁAŚNIE U NIEGO. – POBLADŁ Z WRAŻENIA. – CO TAKIEGO?

PREZYDENT UNIÓSŁ PYTAJĄCO BRWI.

– TAK... POWIEM MU... TAK. DZIĘKUJĘ.

ODŁOŻYŁ POWOLI SŁUCHAWKĘ I WPATRYWAŁ SIĘ W NIĄ PRZEZ KILKAS EKUND.

– TRUDNO W TO WPROST UWIERZYĆ. „EUREKA” OCALAŁA. NIKT NIE ZGINĄŁ, NIE MA RANNYCH. DOPIERO TERAZ NAPRAWILI ANTENĘ RADIOWĄ I MOGLI NADAĆ WIADOMOŚĆ.

– PEARSON ŻYJE? – PREZYDENT BYŁ URADOWANY.

– I CZUJE SIĘ DOBRZE. ALE „EUREKA” MA JESZCZE PRZED SOBĄ DŁUGĄ DROGĘ, ZANIM WYDOSTANIE SIĘ ZE STREFY GŁÓWNEGO ZAGROŻENIA FALĄ PŁYWU.

– POCZEKAJ, PRZECIEŻ W CZORAJ, ZANIM ZAGINĘŁA, ZNAJDOWAŁA SIĘ W SAMYM CENTRUM. W JAKI SPOSÓB, DO DIABŁA, SIĘ URATOWAŁA?

– W TO WŁAŚNIE TRUDNO WPROST UWIERZYĆ.

8

DEKĘ SUTHERLAND UŚMIECHNĄŁ SIĘ SZEROKO, WIDZĄC NIEDOWIEZANIE NA TWARZY REPORTERA TELEWIZYJNEGO PO ODPOWIEDZI, JAKIEJ XL UDZIELIŁ.

REPORTER ŚCISNĄŁ MOCNIEJ MIKROFON I Z DESPERACKĄ MINĄ

ROZEJRZAŁ SIĘ PO POMOŚCIE ŚMIGŁOWCOWYM „EUREKI”, NA KTÓREJ WYLĄDOWAŁ WRAZ Z OPERATORAMI. OKRĘT OCEANOGRAFICZNY ZATRZY-

MAŁ SIĘ, ŻEBY UMOŻLIWIĆ LĄDOWANIE, A TERAZ PORUSZAŁ SIĘ ZNOWU ZE

SWOJĄ STAŁĄ PRĘDKOŚCIĄ DZIESIĘCIU WĘZŁÓW. WSZYSTKO FUNKCJONOWAŁO NA NIM JAK NALEŻY. NIE BYŁO USZKODZEŃ – NICZEGO, CO MOGŁOBY STAĆ SIĘ POŻYWKĄ DLA ŻADNEJ WIDOKU NIESZCZĘŚCIA, JEDNOOCZNEJ I ROZCZAROWANEJ, USADOWIONEJ NA RAMIENIU OPERATO-

RA KAMERY FILMOWEJ.

– CZY ZECHCIAŁBY PAN TO POWTÓRZYĆ, KAPITANIE SUTHERLAND?

– JECHALIŚMY NA FALI – RZEKŁ SUTHERLAND, IGNORUJĄC UPRED-

NIE OSTRZEŻENIE, ŻEBY NIE PATRZEĆ W KAMERĘ.

KAMERA SKIEROWAŁA SIĘ CHWILOWO NA JULIĘ UKAZUJĄC JĄ OD GÓRY DO DOŁU.

– UPRAWIAŁ PAN SURFING DZIESIĘCIOTYSIĘCZNIKIEM NA FALI PŁYWU?

– PRZED FALĄ – SKORYGOWAŁ SUTHERLAND. – CZY CHCE PAN, ŻEBYM TO WYTŁUMACZYŁ?

– PROSZĘ.

– GDYBY „EUREKA”, CO NA SZCZĘŚCIA ZDARZA SIĘ RZADKO, UWIĘZŁA W PAKU LODOWYM, MOŻE SIĘ Z NIEGO UWOLNIĆ DZIĘKI TEMU, ŻE ZANURZONA CZĘŚĆ KADŁUBA MA KSZTAŁT LITERY V. MOŻE TEŻ DZIĘKI TEMU PŁYWAĆ PO TAKICH OBSZARACH, GDZIE POJAWIAŁY SIĘ EPIZODYCZNIE FALE. PRZED PIĘCIOMA LATY TRAFILIŚMY NA TAKĄ PRZY BRZEGACH

AFRYKI POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ. SPOSÓB, JAKIM „EUREKA” Jechała na tej fali, NASUNĄŁ MI MYŚL, ŻE PEWNO MOGŁABY POWTÓRZYĆ TEN MANEWR. – SUTHERLAND MIAŁ ZAKŁOPOTANĄ MINĘ. – PRZYSZŁO MI DO GŁOWY CHWILĘ PRZED TYM, JAK WŁAŚNIE MIAŁA W NAS UDERZYĆ. ZDAŻYŁEM PRZESTAWIĆ STER, TAK ŻE „EUREKA” SZŁA NA NIĄ POD KĄTEM, I FALA JUŻ DO NAS DOTARŁA... TYLE TYLKO, ŻE NIE ZDOŁALIŚMY JESZCZE OSIĄGNĄĆ DZIESIĘCIU STOPNI NA PÓŁNOC, A FALA PRZYGAŚŁA DO ROZSĄDNYCH ROZMIARÓW. – SUTHERLAND WDAŁ SIĘ W OMAWIANIE PEWNYCH SUBTELNOŚCI SURFINGU, DOPÓKI REPORTER MU NIE PRZERWAŁ. NASTĘPNIE PRZED KAMERĄ WYSTĄPIŁ ADMIRAŁ PEARSON. CHWALIŁ DŁUGO KAPITANA SUTHERLANDA I JEGO UMIEJĘTNOŚCI, PO CZYM ZAKOŃCZYŁ: – KAPITAN ZAPEWNIŁ NAM TAKĄ PRZEJAZDZKĘ, JAKIEJ NIGDY NIE ZAPOMNIMY.

– CZY NAPRAWDĘ NIE MA ŻADNYCH OFIAR?

– ŻADNYCH – RZEKŁ PEARSON.

– I ŻADNYCH USZKODZEŃ?

– JEST TROCHĘ.

NA TWARZY REPORTERA POJAWIŁA SIĘ NADZIEJA.

– POTRZEBA TRZECH TYSIĘCY DOLARÓW NA NOWE PASY DO AKWALUNGÓW – OZNAJMIŁ PEARSON.

BIĄŁY OŚLEPIAJĄCY BLASK NA SPODZIE NISKICH CHMUR RZUCANY PRZEZ LÓD ZNAJDUJĄCY SIĘ PONIŻEJ WIDNOKRĘGU.

– NALEŻĄ SIĘ PANU Z MOJEJ STRONY PRZEPROSINY, SHERWOOD
– RZEKŁ ADMIRAŁ PEARSON OBSERWUJĄC DZIWNE ŚWIATŁO SŁONECZNE MIGOCĄCE NA WIDNOKRĘGU.

SHERWOOD NIE RZEKŁ NA TO NIC. PEARSON PODAŁ MU SWOJĄ LORNETKĘ. GEOLOG POPATrzyŁ NA TAJEMNICZĄ SYLWETKĘ GÓRY ANVIL WYNURZAJĄCĄ SIĘ POWOLI NA NIEBIE PONAD NISKĄ, NIE USTĘPUJĄCĄ CHMURĄ, KTÓRA SPOWIAŁA TAJEMNICĘ BIAŁEJ ATLANTYDY.

– WYGLĄDA NA TO, ŻE DOPŁYNIEMY TAM ZA TRZY GODZINY
– ZAUWAŻYŁ PEARSON.

JULIA DOŁĄCZYŁA DO DWU MĘŻCZYZN OPARTYCH NA RELINGU „EUREKI”. – TEMPERATURA MORZA SZYBKO OPADA – OZNAJMIŁA.

– JEST TERAZ O SIEDEM STOPNI NIŻSZA OD TEJ, JAKA POWINNA BYĆ.

PEARSON WZRUSZYŁ RAMIONAMI. – NO TO CO? CO TO ZNACZY SIEDEM STOPNI? CAŁKIEM W GRANICACH NORMALNYCH WAHAŃ, POWIEDZIAŁBYM.

– W SKALI CELSJUSZA – UZUPEŁNIŁA JULIA, PRZYPOMINAJĄC SOBIE, ŻE AMERYKANIE WCIAŻ PRZYWIĄZANI SĄ DO MAMUCIEJ SKALI FAHRENHEITA.

PEARSON PRZELICZYŁ W PAMIĘCI. TO WIELKI SPADEK. ZAJĄŁ SIĘ ZNOWU OBSERWACJĄ OLSNIEWAJĄCEGO ODBLASKU LODU. – „JOHNSON” I JEGO OCALAŁE SAMOLOTY POWRÓCĄ JUTRO – RZEKŁ. – BĘDZIEMY MOGLI POROZMAWIAĆ Z LOTNIKIEM, KTÓRY WIDZIAŁ WSZYSTKO Z GÓRY.

SHERWOOD SIĘ NIE ODEZWAŁ. SPIERAŁ SIĘ Z ADMIRAŁEM PEARSONEM NA TEMAT RAPORTU PORUCZNIKA KLEINA I ADMIRAŁ ZDECYDOWANIE NIE CHCIAŁ PRZYJĄĆ DO WIADOMOŚCI, ŻE GÓRA LODOWA MOŻE MIEĆ ROZMIARY AŻ DWUDZIESTU PIĘCIU MIL NA CZTERDZIEŚCI. PEARSON BYŁ PRZEKONANY, ŻE KLEIN MUSIAŁ SIĘ POMYLIĆ. JAK PRZYPOMNIAŁ, TO WŁAŚNIE KLEIN TWIERDZIŁ KIEDYŚ, ŻE WIDZIAŁ W SZYKU CZTERY LATAJĄCE

TALERZE NAD FLORYDĄ. NIKT INNY O NICH NIE MELDOWAŁ. – WSZYSCY POPEŁNIAMY BŁĘDY – ORZEKŁ PEARSON.

JULIA PRZERWAŁA ROZMYŚLANIA SHERWOODA. – DLACZEGO WŁAŚNIE „JOHNSON”? – SPYTAŁA.

- ŚCIAGNĄŁEM Z NIEGO ŚRODKI BOJOWE – ODPARŁ PEARSON.
- STRACIŁ ZBYT WIELE SAMOLOTÓW. ALE JEST TO NADAL DOBRA PŁYWAJĄCA BAZA LOTNICZA. BĘDZIE MIAŁ ZA ZADANIE ODPĘDZAĆ STAMTĄD GAPIÓW, DOPÓKI NIE DOWIEMY SIĘ O TEJ GÓRZE CZEGOŚ WIĘCEJ.

SHERWOOD SIĘ UŚMIECHNĄŁ. – DOPÓKI SIĘ NIE ROZTOPI, PANIE ADMIRALE?

- TAK.
- WOBEC TEGO CZEKA GO DŁUGOTRWAŁE ZADANIE.
- MSL SĄDZI, ŻE STOPI SIĘ SZYBKO, JAK TYLKO DOTRZE DO PRĄDU FLORYDZKIEGO – OZNAJMIŁ PEARSON.

SHERWOOD POKIWAŁ GŁOWĄ. PRĄD FLORYDZKI PŁYNIE NA PÓŁNOC WZDŁUŻ WSCHODNIEGO WYBRZEŻA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, POTEM OMIJA LONG ISLAND I ZAMIENIA SIĘ W PRĄD ZATOKOWY PŁYNAJĄCY PRZEZ ATLANTYK DO PÓŁNOCNEJ EUROPY.

- JAK JUŻ ZWRACAŁEM UWAGĘ – POWIEDZIAŁ SHERWOOD
- PRZY CAŁYM SZACUNKU NALEŻNYM MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBIE LODOWEJ, ICH DOŚWIADCZENIE DOTYCZY WYŁĄCZNIE GRENLANDZKICH GÓR LODOWYCH DRYFUJĄCYCH NA POŁUDNIE – WSKAZAŁ NA ODBLASK LODU, TAM GDZIE WIDOCZNY BYŁ TERAZ GOŁYM OKIEM SZCZYT GÓRY ANVIL. – TO NIE JEST GÓRA LODOWA W PRAWDZIWYM TEGO SŁOWA ZNACZENIU, TO CZĘŚĆ ANTARKTYCZNEJ KALETY LODOWEJ. NIE PASUJE DO NIEJ ŻADNA Z REGUŁ ODNOSZĄCYCH SIĘ DO GÓR LODOWYCH. JEST NA TYLE WIELKA, ŻEBY STWORZYĆ WŁASNE REGUŁY I ZŁAMAĆ WSZYSTKIE NASZE, CO JUŻ ZRESZTĄ ZROBIŁA.

PEARSON MILCZAŁ. ROSNĄCY SZACUNEK WOBEC POGLĄDÓW BRYTYJSKIEGO GEOLOGA POWŚCIAĞAŁY DWA NIE PODLEGAJĄCE DYSKUSJI FAKTY:

LÓD TO LÓD, A CIEPŁE MORZE TO CIEPŁE MORZE, I TE DWIE RZECZY NIE DAJĄ SIĘ ZE SOBĄ POŁĄCZYĆ.

- DOBRZE, PANIE SHERWOOD. JAK DŁUGO BĘDZIE TOPNIEĆ?
- NAJPIERW STWIERDŹMY, JAK JEST DUŻA – RZUCIŁ Z IRYTACJĄ SHERWOOD.

LÓD RUSZYŁ.

WIELKI BIAŁY CAŁUN OTULAJĄCEJ GO ŁAWICY MGŁY SUNĄŁ WRAZ Z NIM PO NIESAMOWICIE SPOKOJNYM MORZU.

POSUWAŁ SIĘ Z SZYBKOŚCIĄ DWU WĘZŁÓW PRZEMIERZAJĄC KAŻDEGO DNIA PIĘDZIESIĄT MIL. PRĘDKOŚĆ NIEWIELKA, ALE STAŁA, POCHŁANIAJĄCA NIESTRUDZENIE MILĘ ZA MILĄ.

PO DWUDZIESTU PIĘCIU DNIACH PRZEPEŁYWAŁ MIĘDZY BERMUDAMI A CHARLESTONEM, MORSKIM PORTEM W POŁUDNIOWEJ KAROLINIE, GDZIE ROZPOCZĘŁA SIĘ WOJNA DOMOWA.

W PEWNEJ ODLEGŁOŚCI ZA NIM PODAŻAŁA BACZNA ESKORTA – SZYBKA ŁÓDŹ MOTOROWA Z „EUREKI” LUB „JOHNSON”, NIEKIEDY ZMUSZONY ODPEŁDZAĆ CIEKAWSKIE STATECZKI WYCIECZKOWE Z NIEZLICZONYCH PRYZYSTANI ROZSIANYCH WZDŁUŻ WYBRZEŻA MIĘDZY WILMINGTON A JACKSONVILLE.

PEWIEN PRZEDSIĘBIORCZY KIEROWNIK LINII LOTNICZEJ ZORGANIZOWAŁ LOTY DO BIAŁEJ ATLANTYDY, ALE PASAŻEROWIE POWRACALI ZE SWEJ

TYSIĄCMIŁOWEJ WYPRAWY NIEMAL Z NICZYM, MOGĄC SIĘ POCHWALIĆ JEDYNIJE RZUTEM OKA NA KRYSTALICZNY WIERZCHOŁEK GÓRY ANVIL STERCZĄCY Z MGŁY JAK UPIORNY SZTYLET PRZEBIJAJĄCY PRZEŚCIERADŁO.

NIKT, PRÓCZ PORUCZNIKA KLEINA, NIE WIDZIAŁ BIAŁEJ ATLANTYDY. ZUPEŁNIE JAKBY POTĘŻNA GÓRA ŁODOWA CHCIAŁA ZACHOWAĆ AURĘ TAJEMNICZOŚCI, DOPÓKI NIE ZNISZCZĄ JEJ OSTATECZNIE CIEPŁE WODY ATLANTYKU.

SHERWOOD ODGADŁ TRAFNIE, ŻE GÓRA WYTWARZA WOKÓŁ SIEBIE IKROKLIMAT, A TEN UMOŻLIWIA JEJ ISTNIENIE.

ZACHOWAŁ TĘ WIEDZĘ DLA SIEBIE, DOPÓKI NIE NABIERZE CAŁKOWITEJ PEWNOŚCI.

POWIETRZE BYŁO TAK NIEPRAWDOPODOBNIJE SPOKOJNE, ŻE SHERWOOD NIE MUSIAŁ PRZYTRZYMYWAĆ MAPY, KTÓRĄ PEARSON RZUCIŁ MU NA KOLANA.

– WYGLĄDA NA TO, ŻE OD POCZĄTKU MIAŁ PAN RACJĘ – RZEKŁ ADMIRAŁ, OPADAJĄC NA LEŻAK OBOK SHERWOODA. – OPRACOWANO

MAPĘ BIAŁEJ ATLANTYDY NA PODSTAWIE NAMIARÓW RADAROWYCH. TRZYDZIEŚCI MIL NA DWADZIEŚCIA. RZECZYWIŚCIE POTWORNIE WIELKI KAWAŁ LODU.

SHERWOOD Z DUŻYM ZAINTERESOWANIEM ZACZAŁ STUDIOWAĆ MAPĘ. NAGŁY ZBIEG WARSTWIE W SPOISTE, KONCENTRYCZNE LINIE, JAK PIĘRSIENIE PRZYROSTÓW U DRZEWA, OZNACZAŁ STRZELISTOŚĆ GÓRY ANVIL. W INNYCH MIEJSCACH LINIE SIĘ URYWAŁY.

– ZA DUŻO ZAKŁÓCEŃ BIERNYCH – ODPAŁ PEARSON W ODPOWIEDZI NA PYTANIE SHERWOODA. – MIRAŻE NA WYKRESIE PANORAMICZNEGO WSKAŹNIKA RADIOLOKACYJNEGO. NAWET ZESPÓŁ RADAROWY „JOHNSONA” NIE POTRAFI ICH WYELIMINOWAĆ, CHYBA ŻE LOTNISKOWIEC PODPŁYNAŁBY BLISKO. A JA NIE PODEJMĘ TEGO RYZYKA.

– TO, CO SIĘ NAPRAWDĘ LICZY, TO TE DZIEWIĘĆ DZIESIĄTYCH POD POWIERZCHNIĄ – RZEKŁ SHERWOOD. – JAK SOBIE RADZI ZESPÓŁ SONAROWY?

– WCIAŻ NIE MAJĄ MAPY. UTYSKUJĄ, ŻE ZIMNA WODA PŁATA IM PSIKUSY ODBIJAJĄC WIĄZKI PROMIENI.

Z ODLEGŁEJ ŁAWICY MGIELNEJ DOLECIAŁ GŁUCHY HUK. Z MGŁY WYPŁYŃĘŁA NIEWIELKA GÓRA LODOWA I WOLNO SIĘ TOCZYŁA, TRYSKAJĄC

PIÓROPUSZAMI WODNEGO PYŁU, KTÓRE Z GRACJĄ WZBIJAŁY SIĘ W POWIETRZE.

– JUŻ TRZECIA TAKA DZISIAJ – ZAUWAŻYŁ PEARSON. – NIECH DIABLI WEZMĄ TĘ MGŁĘ. TA POGODA WSZYSTKICH ZBIJA Z TROPU. DLACZEGO, U LICHA, JEST TAK SPOKOJNIE?

Z MGŁY Z HUKIEM WYNURZYŁA SIĘ NASTĘPNA GÓRA LODOWA.

– PRZYNAJMNIEJ – MRUKNĄŁ PEARSON – ROZPADA SIĘ SZYBKO.

– NIE TAK SZYBKO, JAK SĄDZIŁEM – RZEKŁ SHERWOOD. – JAKĄ ODLEGŁOŚĆ POKONAŁA W CZORAJ? KOŁO CZTERDZIESTU OŚMIU MIL?

– CZTERDZIEŚCI OSIEM PRZECINEK SIEDEM.

SHERWOOD ZROBIŁ NA ODWROTCIE MAPY SZYBKI RACHUNEK.

– PRZYJMUJĄC PRZECIĘTNĄ GRUBOŚĆ PÓŁTorej MILI, BIAŁA ATLANTYDA WCIAŻ MA DOŚĆ POKAŻNE ROZMIARY, KOŁO TYSIĄCA MIL SZEŚCIENNYCH.

– JAK WIĘC PAN SZACUJE TEMPO JEJ TOPNIENIA?

– MILA SZEŚCIENNA NA DOBĘ, MILIARD TON.

PEARSON ZAPALIŁ CYGARO. – PAMIĘTA PAN WALTERA KRANTZA

Z MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ? ON PANA PAMIĘTA.

– TAK.

– JEGO SZACUNEK TEMPA TOPNIENIA JEST STO RAZY WIĘKSZY OD PAŃSKIEGO. ON UWAŻA, ŻE BIAŁA ATLANTYDA ROZTOPI SIĘ PRZED UPŁYWEM TYGODNIA.

– PRZEKAZAŁ MU PAN EGZEMPLARZ TEJ MAPY?

PEARSON POKIWAŁ GŁOWĄ TWIERDZĄCO. – JAK WIĘC PAN WYTŁUMACZY TAK WIELKĄ ROZBIEŻNOŚĆ MIĘDZY PAŃSKIMI A JEGO OBLICZENIAMI?

– WALTER WIE WSZYSTKO, CO MOŻNA WIEDZIEĆ O GRENLANDZKICH GÓRACH LODOWYCH. BYĆ MOŻE OPIERA SIĘ W SWOICH OBLICZENIACH NA ZAŁOŻENIU, ŻE BIAŁA ATLANTYDA JEST W ŚRODKU WYDRAŻONA LUB PÓŁOKRĄGŁA, TO ZNACZY MA KSZTAŁT, JAKI ZAZWYCZAJ PRZYBIERAJĄ GÓRY LODOWE W GRENLANDII.

– A WIĘC MOŻE MIEĆ RACJĘ? – PEARSON ODKRYWAŁ, ŻE WYDOSTAWANIE JEDNOZNACZNYCH ODPOWIEDZI OD NAUKOWCÓW TO CZYNNOŚĆ UCIAŻLIWA.

– TAK, JEŚLI BIAŁA ATLANTYDA JEST WYDRAŻONA W ŚRODKU.

– A ZATEM I PAN MOŻE MIEĆ RACJĘ?

– JEŚLI JEST LITA.

PEARSON JĘKNĄŁ.

SHERWOOD UŚMIECHNĄŁ SIĘ WIDZĄC NA TWARZY AMERYKAŃSKIEGO OFICERA ZNIECIERPLIWIEŃ. – WIE PAN CO, ADMIRALE, MOŻE PAN POZWOLI PANNIE HAMMOND I MNIE PRZYJRZEĆ SIĘ BIAŁEJ ATLANTYDZIE Z BLISKA?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

12

UCZUCIE PRZERAŻENIA POWRÓCIŁO, KIEDY TO PONOWNIE DAŁ SIĘ WYCUĆ TRUDNY DO OKREŚLENIA ZAPACH LODU.

BYŁ TO TEN SAM LĘK, KTÓREGO DOZNAŁ SHERWOOD, GDY „ORION” WPADŁ NA UKRYTĄ GÓRĘ LODOWĄ PRZY WYBRZEŻU AFRYKI POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ, TO SAMO SZARPIĄCE TRZEWIA PRZECZUCIE. STŁUMIŁ W SOBIE INSTYNKTOVNĄ CHĘĆ ZAWRÓCENIA ŁODZI I POPŁYNIĘCIA Z POWROTEM W STRONĘ „EUREKI”. OKRĘT OCEANOGRAFICZNY I „JOHNSON” ZNAJDOWAŁ Y SIĘ NA SWOICH ZWYKŁYCH MIEJSCACH,

W ODLEGŁOŚCI PIĘCIU MIL OD ŁAWICY MGIELNEJ. JULIA SIEDZIAŁA NA POKŁADZIE PRZED NIM Z OBOJĘTNĄ MINĄ, WCIĄGAJĄC ZGŁĘBNIK WODY I PRZENOSZĄC JEGO ZAWARTOŚĆ DO PROBÓWEK Z ETYKIETKAMI. POPATRZYŁ W GÓRĘ NA ODCHUDZONY SZPIC WZNOSZĄCY SIĘ Z GĘSTEJ MGŁY W ODLEGŁOŚCI TYSIĄCA STÓP. ŚWIECŁA NICZYM OŚLEPIAJĄCA LATARNIA MORSKA W CZYSTYM, SPOKOJNYM RANNYM POWIETRZU. ZAUWAŻYŁ, ŻE W CIĄGU TYGODNIA UWYDATNIŁA SIĘ SZCZUPŁOŚĆ GÓRY, I PRZYPUSZCZAŁ, ŻE TO EFEKT DZIAŁALNOŚCI SŁOŃCA NA JEJ POŁUDNIOWEJ FLANCE.

– TERAZ STOPIEŃ W PRAWO – POWIEDZIAŁ GŁOS W JEGO SŁUCHAWKACH. TO JEDEN Z TECHNIKÓW RADAROWYCH NA „JOHNSONIE” – SHERWOOD PROWADZIŁ MOTORÓWKĘ KIEROWANY WIĄZKĄ RADAROWĄ Z LOTNISKOWCA, KTÓRA MIAŁA PRZEPROWADZIĆ ŁÓDŻ PRZEZ NIEPRZENIKNIONĄ ŚCIANĘ MGŁY I MIĘDZY RAMIONAMI LODOWEJ LAGUNY W KSZTAŁCIE PÓŁKOLA, GDZIE, JAK MIANO NADZIEJĘ, BĘDZIE NA TYLE SPOKOJNA WODA, ŻEBY BEZPIECZNIE DOKONAĆ BADAŃ.

SHERWOOD ZMIENIŁ KURS.

– OKEJ. ŚWIETNIE. UTRZYMAĆ TEN KIERUNEK.

PRZERAŻAJĄCA OBECNOŚĆ PRZYBLIŻAJĄCEJ SIĘ ŚCIANY MGŁY ZROBIŁA NA JULII WRAŻENIE, BO PRZESTAŁA NAPEŁNIAĆ SWOJE PROBÓWKI I PATrzyŁA PRZED SIEBIE.

– POSŁUCHAJ – POWIEDZIAŁA.

SHERWOOD PRZYCISZYŁ MOTOR PRZYCZEPNY I TERAZ ON TEŻ MÓGŁ SŁYSZEĆ TRZASKANIE NIEWIDOCZNEGO LODU.

– CO TO JEST, DO LICHA? – SZEPNĘŁA JULIA.

– WSZYSTKIE GÓRY LODOWE HAŁASUJĄ. WIĄŻE SIĘ TO ZE ZMNIEJSZANIEM NAPRĘŻEŃ WEWNĘTRZNYCH PRZY TOPNIENIU. NIE SŁYSZAŁAŚ NIGDY TEGO SAMEGO DŹWIĘKU, KIEDY PODSTAWIŁAŚ TACKĘ Z ZAMROŻONYMI KOSTKAMI LODU POD KRAN Z CIEKNĄCĄ WODĄ?

– WŁĄCZCIE LEPIEJ SWOJĄ ECHOSONDĘ – POWIEDZIAŁ GŁOS Z „JOHNSONA”. – ŚWIETNIE WAM IDZIE.

SHERWOOD JĄ WŁĄCZYŁ. JARZENIOWY WSKAŹNIK NEONOWY ZATRZYMAŁ SIĘ NA STU STOPNIACH. POD NIMI BYŁ ŁÓD.

– POWINIŚMY WŁOŻYĆ JUŻ KOMBINEZONY – ZAUWAŻYŁA JULIA.

POMOGLI SOBIE WZAJEMNIE PRZY WŚLIZGIWANIU SIĘ DO JEDNOCZĘŚCIOWYCH KOMBINEZONÓW CHRONIĄCYCH PRZED NISKĄ TEMPERATURĄ. ŁÓDŹ ZNAJDOWAŁA SIĘ W ODLEGŁOŚCI STU JARDÓW OD ŚCIANY MGŁY, GDY GŁOS Z „JOHNSONA” POLECİŁ SHERWOODOWI, ŻEBY DOKONAŁ NASTĘPNEJ NIEWIELKIEJ KOREKTY KURSU.

TERAZ, GDY ŁAWICA MGIELNA SIĘ ZBLIŻAŁA, USŁYSZELI JESZCZE INNY DŹWIĘK: GŁUCHE DUDNIENIE NIESPOKOJNEGO ATLANTYKU, KTÓRY WALIŁ BEZSILNIE W NIEWZRUSZONY LÓD.

MIMO OCHRONNEGO KOMBINEZONU JULIA ZADRZAŁA, GDY PIERWSZE LODOWATE PALCE DZIWNIE SPOKOJNEJ MGŁY MUSNĘŁY JEJ TWARZ.

– OTO JEDNA Z PRZYCZYN, DLACZEGO TEN LÓD UTRZYMUJE SIĘ TAK DŁUGO – RZEKŁ SHERWOOD ZAUWAŻYWSZY JEJ REAKCJĘ. – MGŁA ODBIJA DZIEWIĘDZIESIĄT PROCENT ENERGII SŁONECZNEJ, KTÓRA INACZĘJ DOTARŁABY DO LODU.

– A OTACZAJĄCA GO PODUSZKA ZIMNEJ WODY UNIEMOŻLIWIA ATLANTYKOWI ZROBIENIE TEGO, CO TRZEBA – DODAŁA JULIA. – PRAWDA?

– TAK.

– MÓWIŁEŚ ADMIRAŁOWI?

– NIE UWIERZYŁBY MI.

ŁÓDŹ WESZŁA W MGŁĘ. NAGŁY SPADEK TEMPERATURY POWIETRZA PRZERWAŁ ICH ROZMOWĘ. ZUPEŁNIE JAKBY PRZESZLI PRZEZ OTWARTE DRZWI DO SKŁADU GŁĘBOKIEGO MROŻENIA. PŁYWAJĄCE IGŁY LODOWE CHRZEŚCIŁY POD DZIOBEM ŁODZI. SHERWOOD SPRAWDZIŁ WSKAŹNIK ECHOSONDY. DWADZIEŚCIA STÓP. ZASTANAWIAŁ SIĘ, CO BY SIĘ STAŁO, GDYBY OLBRZYMIA GÓRA LODOWA SIĘ PRZEWRÓCIŁA, ŻEBY UZYSKAĆ WIĘKSZĄ STABILNOŚĆ. PEWNEGO RAZU LECĄC C-130 NALEŻĄCYM DO MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ OBSERWOWAŁ NIEWIARYGODNY WIDOK, KIEDY OLBRZYMIA GRENLANDZKA GÓRA LODOWA W KSZTAŁCIE PODKOWY KOŃSKIEJ FIKNĘŁA WOLNO KOZIOŁKA.

– STOP! – ROZKAZAŁ OSTRYM TONEM „JOHNSON”. – GUBIMY WAS NA TLE ZAKŁÓCEŃ. WYŁĄCZYĆ SILNIK I CZEKAĆ NA ROZKAZY. SHERWOOD PRZTYKNAŁ WYŁĄCZNIKIEM PRZYCZEPNEGO MOTORU MERCURY I WYJAŚNIŁ JULII, DLACZEGO TO ROBI.

– BOŻE, CO ZA STRASZNE MIEJSCE – POWIEDZIAŁA JULIA SONDUJĄC WZROKIEM MGŁĘ I NACIĄGAJĄC KAPTUR NA TWARZ.

WIDZIALNOŚĆ OGRANICZONA BYŁA DO NIECAŁYCH DZIESIĘCIU JARDÓW. ZEWSZĄD DOCHODZIŁO ZŁOWIESZCZE TRZESZCZENIE LODU I SŁYCHAĆ BYŁO DRAŻNIĄCY DŹWIĘK WOLNEGO KAPANIA.

– ZOSTAW MOTOR NA WOLNYM BIEGU – RADZIŁA JULIA. –

NIECH BĘDZIE JAKIŚ HAŁAS, NA MIŁOŚĆ BOSKĄ!

– TRZEBA OSZCZĘDZAĆ PALIWO.

TRZESZCZENIE USTAŁO. NAGŁA CISZA OKAZAŁA SIĘ JESZCZE GORSZA. JULIA KLASNĘŁA W DŁONIE. Z GŁĘBI MGŁY ODPOWIEDZIAŁO PRZYTYŁUMIONE ECHO – POSĘPNY DOWÓD ZAGROŻENIA ZE STRONY NIEWIDOCZNYCH KLIFÓW, KTÓRE CZYHAŁY W POBLIŻU.

– ECHO DOCHODZI JAKBY ZE WSZYSTKICH STRON; – ODEZWAŁA SIĘ JULIA, DODAJĄC SOBIE ODWAGI MÓWIENIEM.

– JESTEŚMY W LAGUNIE – RZEKŁ SHERWOOD.

JULIA ZNÓW ZADRZAŁA. ZACZYNAŁA UŚWIADAMIAĆ SOBIE SŁUSZNOŚĆ HIPOTEZY SHERWOODA O SPOWIJANIU SIĘ LODU W OTOCZKĘ ZIMNA, KTÓRA NIE POZWAŁA MU SIĘ ROZTOPIĆ.

– CO, DO LICHA, ROBI „JOHNSON”? – SPYTAŁA.

MINĘŁO PIĘĆ MINUT DEPRYMUJĄCEJ CISZY.

– DLACZEGO USTAŁO TRZESZCZENIE?

– TAK BYWA – ODPARŁ SHERWOOD, NICZEGO NIE WYJAŚNIAJĄC.

Z „JOHNSONA” SPYTANO GO, CZY ICH ODBIERA. GŁOS W SŁUCHAWKACH BYŁ MOCNIEJSZY, CHOĆ SHERWOOD NIE DOTYKAŁ REGULATORA SŁY

GŁOSU W ODBIORNIKU.

– ZBLIŻYLIŚMY SIĘ – WYJAŚNIŁ GŁOS, GDY GEOLOG ODPOWIEDZIAŁ. – JESTEŚCIE TERAZ WYRAŹNIE UMIEJSCOWIENI NA NASZYM RADAROWYM NAKRESIE.

JULIA ODETCHEŃĘŁA Z ULGĄ, GDY SHERWOOD ZAPALIŁ MOTOR I ZACZĄŁ STEROWAĆ WE MGLE ZGODNIE ZE WSKAZÓWKAMI Z „JOHNSONA”. LECZ ÓW MIŁY DLA UCHA WARKOT MOTORU NIE ROZPROSZYŁ JEJ IRRACJONALNEJ

OBAWY, ŻE LÓD, KTÓRY UŚMIERCIŁ TAK WIELE OSÓB I SPOWODOWAŁ TYLE NIESZCZĘŚĆ, ZNOWU COŚ KNUJE.

13

STĘPKA ŁODZI DOTKNĘŁA LODU.

SHERWOOD WYSKOCZYŁ NA LODOWY SZELF TWORZĄCY COŚ W RODZA-

JU WYBRZEŻA I WCIĄGNĄŁ DZIÓB ŁODZI NA ZAŁAMUJĄCY SIĘ, NA PÓŁ ODTAJAŁY ŚNIEG. POMÓGŁ JULII WYSIĄŚĆ. TRZYMAŁA GROT CUMOWNICZY, GDY ON WBIJAŁ GO GŁĘBOKO W MOCNY LÓD.

– MYŚLAŁAM, ŻE BĘDZIE CZYSTSZY – POWIEDZIAŁA WSKAZUJĄC NA BRZEG OBWIEDZIONY MUŁEM.

SHERWOOD SIĘ NIE ODEZWAŁ. WZIĄŁ GARŚC SZAREGO ŚRYŻU I PRZYGLĄDAŁ MU SIĘ UWAŻNIE, PRZEPUSZCZAJĄC MIĘDZY PALCAMI W RĘKAWICACH, JAK GDYBY SZUKAŁ DIAMENTÓW.

– NO I? – SPYTAŁA JULIA.

SHERWOOD ZABRAŁ Z ŁODZI MAGNETOFON. – WYGLĄDA NA TO, ŻE ŁATWO TU CHODZIĆ, ZNAJDŹMY JAKIŚ WYŻSZY TEREN.

– JAKIŚ WYŻSZY LÓD – POPRAWIŁA GO JULIA, ROZPIECZĘTOWUJĄC FARBĘ W AEROSZLU, KTÓRĄ ZAMIERZAŁA ZNACZYĆ ICH DROGĘ. MGŁA ROZRZEDZIŁA SIĘ NIECO NA WYSOKOŚCI PIĘCIUSET STÓP NAD POZIOMEM MORZA. JULIA POLUZOWAWSZY PASEK ZSUNĘŁA PLECAK NA KRUSZĄCY SIĘ, PYLISTY LÓD. USIADŁA.

– ODPOCZNIJMY, GLYN.

SHERWOOD ROZEJRZAŁ SIĘ WOKOŁO. BYLI NA RÓWNIENIE OTOCZONEJ PRZEZ ZAOKRĄGLONE, GROŹNE PAGÓRKI. TERAZ, KIEDY PRZESTALI SIĘ WSPINAĆ, LODOWATA MGŁA PRZENIKAŁA PRZEZ ICH KOMBINEZONY OCHRONNE. JULIA ŚCIAGNĘŁA KALOSZE Z KOLCAMI I TARŁA ZZIĘBNIĘTĄ STOPE.

– MÓJ BOŻE! ZUPEŁNIE JAKBYŚMY SIĘ ZNALEŻLI ZNOWU W BAZIE ROSENTHALA. WPROST NIE DO WIARY, ŻE JESTEŚMY CZTERYSTA MİL OD BRZEGÓW PÓŁNOCNEJ KAROLINY.

– MÓGŁBYM TU ZROBIĆ PIERWSZY ZAPIS – POWIEDZIAŁ SHERWOOD ROZPAKOWUJĄC MAGNETOFON.

JULIA ZAZNACZYŁA NA MAPIE ICH POZYCJĘ, A ON TYMCZASEM USTAWIŁ MIKROFON I WŁĄCZYŁ APARAT. ZAMIERZAŁ NAGRAĆ DŹWIĘKI WYCHODZĄCE Z GŁĘBI LODU, LICZĄC NA TO, ŻE TRZASKI I STĘKANIA MASYWNEJ GÓRY LODOWEJ MOGŁYBY DOSTARCZYĆ JESZCZE JEDNEJ WSKAZÓWKI CO DO TEMPJA JEJ TOPNIENIA.

NAGLE NADLECIAŁ LODOWATY PODMUCH DŁUGO OCZEKIWANEGO WIATRU.

– MGŁA SIĘ PODNOSI! – KRZYKNĘŁA JULIA. – POPATRZ, GLYN! ROZWIEWA SIĘ! WIEJE WIATR! CZUJESZ?

NA MOMENT BRYZA USTAŁA, BY ZA CHWILĘ POWRÓCIĆ ZE WZMOŻONĄ SIŁĄ. SHERWOOD POPATrzył W GÓRĘ. OBŁOKI MGŁY KŁĘBIĄC SIĘ PĘDZIŁY NAD PAGÓRKAMI. W ODLEGŁOŚCI NIECAŁYCH STU JARDÓW Utworzył się ŚWIEŻY POTOK.

– PATRZ! – W GŁOSIE JULII ZADŹWIĘCZAŁ NIE SKRYWANY STRACH. SHERWOOD SPOJRZAŁ W KIERUNKU WSKAZYWANYM PRZEZ JEJ PALEC, NA ZŁOWROGĄ WSPANIAŁOŚĆ BŁYSZCZĄCEGO SZTYLETU GÓRY ANVIL WYŁANIAJĄCEGO SIĘ Z MGŁY. Z OLŚNIEWAJĄCEGO SZCZYTU SPŁYWAŁY OBŁOKI NICZYM ALBINKA KREW TRYSKAJĄCA ZE ZRANIONEGO NIEBA.

SHERWOOD I JULIA STALI JAK WROŚNIĘCI W ZIEMIĘ, ZAFASCYNOWANI GROŹNYM WIDOWISKIEM – GDY WIATR ROZWIEWAŁ OBŁOK MGŁY SKRYWAJĄCY BIAŁY KONTYNET, WYDAWAŁO SIĘ, ŻE WIEŻA UNOSI SIĘ W NIEBIOŚA.

NIE KOŃCZĄCE SIĘ SEKUNDY WYDAWAŁY SIĘ WLEC JAK MINUTY. A MINUTY PODCZAS TYCH CHWIL PRZERAŻAJĄCEGO ODKRYCIA UCIEKAŁY IM K SEKUNDY. LINIE WARSTWIE NA MAPIE NIE MÓWIŁY O ZNIEKSZTAŁCĄCĄBYM GÓRĘ ANVIL ZAKRZYWIENIU – POWODOWAŁO, ŻE CHYLIŁA SIĘ KU MORZU, Z KTÓREGO UCIEKAŁA.

SHERWOOD ODERWAŁ WZROK OD LODOWEGO MATTERHORNU I PATRZYŁ ZE ZDUMIENIEM NA MATERIALIZUJĄCĄ SIĘ PRZED JEGO OCZAMI I ENERGIĘ BIAŁEJ ATLANTYDY. SFALOWANE WZGÓRZA, GŁĘBOKIE WĄWOZY

I SZALONA OBFITOŚĆ OPALIZUJĄCYCH TURNI, RZUCAJĄCYCH BIAŁE OGNIE W PRZERAŻONYM ŚWIECLE SŁOŃCA – WSZYSTKO TO CIĄGNĘŁO SIĘ AŻ PO WIDNOKRĄG. TO WTEDY WŁAŚNIE SPOJRZAWSZY W DÓŁ, NA METALICZNY KADŁUB „JOHNSONA” ZAKOTWICZONEGO W ODLEGŁOŚCI MNIEJSZEJ NIŻ PÓL MILI OD KRĘTYCH POSZARPANYCH KLIFÓW GÓRY LODOWEJ, ZACZAŁ UŚWIADAMIAĆ SOBIE GIGANTYCZNOŚĆ PROPORCJI TEGO GROTESKOWO PIĘKNEGO POTWORA ZRODZONEGO PRZEZ ANTARKTYCZNĄ KALOTĘ LODOWĄ.

PRZERAŻONA JULIA WPIĘŁA MU PALCE W PRZEDRAMIĘ. WYDAŁA OKRZYK ROZPACZY WSKAZUJĄC W GÓRĘ, SKĄD DOBIEGAŁ JAKIŚ NOWY DŹWIĘK. LODOWE RAMIĘ GÓRY ANVIL O WYSOKOŚCI PIĘCIUSET STÓP ZAŁAMYWAŁO SIĘ I ROZPADAŁO. GDY TYLKO ODCZULI POD STOPAMI PIERWSZE, CORAZ SZYBSZE DUDNIENIA NADCIĄGAJĄCEGO TRZĘSIENIA LODU, U STÓP

KRYSTAŁOWEJ GÓRY ZACZĘŁA SIĘ ROZWIERAĆ OLBRZYMIĄ SZCZELINA.

14

PIERWSZA FALA UDERZENIOWA, KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA LODEM, RZUCIŁA SHERWOODA I JULIĘ TWARZAMI NA SPROSKOWANY LÓD. MIELI JESZCZE DO

PRZEBYCIA DWADZIEŚCIA JARDÓW DO BEZPIECZNEJ, JAK SĄDZILI, LODOWEJ

MASY MIĘDZY NIMI A NIŻSZYMI STOKAMI ROZPADAJĄCEJ SIĘ GÓRY.

JULIA ZARYZYKOWAŁA SZYBKĄ RZUT OKA W GÓRĘ. PO OŚLEPIAJĄCEJ POCHYŁOŚCI O PÓŁ MILI WYŻEJ PĘDZIŁY KU NIM W SZALEŃCZYM TEMPIE OLBRZYMIĘ, NIEREGULARNE LODOWE GŁAZY, NIEKTÓRE WIELKOŚCI TRZY-

PIĘTROWEGO BUDYNKU.

PODNIĘLI SIĘ JUŻ I MIELI RUSZYĆ BIEGIEM, GDY ZE STŁUMIONĄ SIŁĄ MŁOTA PAROWEGO UKRYTEGO POD LODEM UDERZYŁA NASTĘPNA FALA WSTRZĄSÓW. SHERWOOD KRZYKNAŁ Z POWODU PRZERAŻLIWEGO BÓLU I UPADŁ. OBIE KOSTKI WYKRĘCIŁO MU BEZLITOSNE, DRUZGOCZĄCE UDERZENIE.

– SZYBKO! – KRZYCZAŁA JULIA SZARPIĄC GO Z NIEBYWAŁĄ SIŁĄ ZA RĘKĘ.

PRÓBOWAŁ STANĄĆ NA NOGI. GRYMAS BÓLU WYKRZYWIŁ MU TWARZ, UPADŁ Z POWROTEM. – NIE MOGĘ – OZNAJMIŁ PŁACZLIWYM GŁOSEM.

– MUSISZ! – JULIA ZOBACZYŁA, ŻE PIERWSZA PARTIA LAWINY POGRUCHOTANYCH GŁAZÓW LODOWYCH ZNAJDUJE SIĘ W ODLEGŁOŚCI NIESPEŁNA STU JARDÓW I PĘDZI PROSTO NA NICH. PŁACZĄC ZE STRACHU CHWYCIŁA SHERWOODA POD PACHY I NIE ZWRACAJĄC UWAGI NA PROTESTY, ZACZĘŁA CIĄGNĄĆ GO Z POWROTEM POD STERTĘ LODU.

15

WALTER KRANTZ Z MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ, SZCZUPŁY CZTERDZIESTOPAROLETNI MĘŻCZYZNA O POMARSZCZONEJ, ZMARTWIO-

NEJ TWARZY – PRZYBYŁ NA „EUREKĘ”. UŚCISNAŁ DŁOŃ ADMIRAŁA PEARSONA I SPYTAŁ O SHERWOODA. INFORMACJA, ŻE ZNAJDUJE SIĘ NA GÓRZE LODOWEJ, JAK SIĘ WYDAWAŁO, WZMOGŁA JEGO NIEPOKÓJ. JUŻ MIAŁ ZAPROTESTOWAĆ, ŻE NIKT NIE POWINIEN PRZEBYWAĆ NA BIAŁEJ

ATLANTYDZIE, ALE MU PRZESZKODZIŁO NAGŁE PORUSZENIE – Z GÓRY LODOWEJ PODNOŚIŁ SIĘ OBŁOK MGŁY.

PEARSON I KRANTZ OBSERWOWALI BEZ SŁOWA, JAK CORAZ MOCNIEJSZY WIATR TARGA NA STRZĘPY CAŁUN BIAŁEJ ATLANTYDY. „EUREKA” BYŁA

ODDALONA OD KOŁOSA O SZEŚĆ MIL – ODLEGŁOŚĆ TA NIE UMNIEJSZAŁA BYNAJMNIEJ MAJESTATU WYŁANIAJĄCEGO SIĘ KONTYNETU, NAD KTÓRYM DOMINOWAŁ LŚNIĄCY, WYOSTRZONY PRZEZ POGODĘ SZCZYT POCHYLONEJ GÓRY ANVIL. NA TLE ISKRZĄCYCH SIĘ KLIFÓW WIDAĆ BYŁO SYLWETKĘ MAŁENKIEGO „JOHNSONA” – BLISKOŚĆ TYTANICZNIE WIELKIEJ ATLANTYDY ZREDUKOWAŁA OKRĘT O WADZE STU TYSIĘCY TON DO ROZMIARÓW ZABAWKI.

– TEN LOTNISKOWIEC NIE POWINIEN BYĆ TAK BLISKO – POWIEDZIAŁ ZATROSKANY KRANTZ.

WŚRÓD ZAŁOGI I NAUKOWCÓW ZGROMADZONYCH PRZY RELINGU ZAPANOWAŁO PORUSZENIE. KTOŚ ZAKŁĄŁ.

– GÓRA SIĘ ROZPADA!

PEARSON ZAPOMNIAŁ O KRANTZU I WPATRYWAŁ SIĘ ZAFASCYNOWANY I PRZERAŻONY W GÓRĘ ANVIL. U JEJ PODSTAWY POJAWIŁA SIĘ CIEMNA OBWÓDKA. DOPIERO PO KILKU SEKUNDACH UŚWIADOMIŁ SOBIE, ŻE TO OLBRZYMIĘ PĘKNIĘCIE, KTÓRE POWOLI SIĘ ROZSZERZA I PRZEDŁUŻA. POTEM GÓRA ZMIENIŁA SWÓJ KSZTAŁT JAKBY SIĘ PRZEKRĘCAJĄC. SZPICA WIERZCHOŁKA Z WOLNA WYGINAŁA SIĘ W ŁUK.

DO „EUREKI” DOTARŁ PRZERAŻAJĄCY ŁOSKOT. PRZYPOMINAŁ KRZYK TYSIĘCY TORTUROWANYCH WIDM BŁAGAJĄCYCH O LITOŚĆ.

GÓRA ANVIL RUNĘŁA.

PRZEZ KILKA SEKUND NIE BYŁO WIDAĆ NIC PRÓCZ KŁĘBÓW BIAŁEGO DYMU, W KTÓRYM ZNIKNĘŁA. HUK SIĘ WZMAGAŁ, BLADA LAWINA SUNĘŁA PRZEZ MORZE.

A TAKŻE PRZEZ USS „JOHNSON”.

STAŁO SIĘ TO W UŁAMKU SEKUNDY, TAK KRÓTKIM, ŻE LUDZIE OBSERWUJĄCY TO NA POKŁADZIE „EUREKI” NIE ZDAŻYLI ZMIENIĆ WYRAZU TWARZY – SZTYLET MILIONA TON LODU PRZESZYŁ MORZE I UDERZYŁ W OLBRZYMI LOTNISKOWIEC. LÓD SIĘ NIE ZATRZYMAŁ. DWA WIELKIE PIÓROPUSZE, PYŁU

WODNEGO TRYSKAJĄCE W POWIETRZE ZNACZYŁY JEGO SZLAK.

ZWOLNIŁ. WODNY PYŁ, DOTYCHCZAS OPIERAJĄCY SIĘ PRZYCIĄGANIU ZIEMSKIEMU, ZACZYNAŁ OPADAĆ.

PO „JOHNSONIE” NIE BYŁO ANI ŚLADU.

ZUPEŁNIE JAKBY LOTNISKOWIEC BYŁ TYLKO OBRAZEM RZUCONYM NA EKRAŃ; OBRAZEM, NA KTÓRY NIE SKŁADAŁO SIĘ NIC BARDZIEJ KONKRETNEGO NIŻ ŚWIATŁO I CIEŃ.

A POTEM RZUTNIK GWAŁTOWNIE WYŁĄCZONO.

16

PREZYDENT PATrzył NA CZARNĄ CHORAĞIEWKĘ NA ŚCIENNEJ PODŚWIETLONEJ MAPIE PÓŁNOCNEGO ATLANTYKU, KTÓRĄ ZAZNACZONO GRÓB USS „JOHNSON”. ZE SMUTKIEM POTRZĄSAŁ GŁOWĄ.

– DWA TYSIĄCE PIĘCIUSET LUDZI...

PEARSON SIEDZIAŁ W MILCZENIU, PALCAMI WODZIŁ PO ZŁOTYM GALONIE TRZYMANEJ W RĘKACH CZAPKI.

– ...PRZYNAJMNIEJ PIĘĆ NAZWISK Z TEJ LISTY PAMIĘTAM Z CZASÓW SWOJEJ SŁUŻBY W MARYNARCE.

– NIE USTALILIŚMY JESZCZE DATY UROCZYSTOŚCI ŻAŁOBNYCH

– RZEKŁ PEARSON – NA WYPADEK GDYBY ŻYCZYŁ PAN SOBIE WZIĄĆ W NICH UDZIAŁ, PANIE PREZYDENCIE.

– CO ZROBIMY Z TĄ GÓRĄ LODOWĄ?

– KRANTZ UWAŻA, ŻE STOPNIEJE W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH DNI, PANIE PREZYDENCIE.

PREZYDENT STUDIOWAŁ JEDNO ZE ZDJĘĆ BIAŁEJ ATLANTYDY, LEŻĄCE NA JEGO BIURKU. – WOBEC TEGO BĘDZIE TO CHOLERNIE WIELKIE TOPNIENIE.

DOKŁADNIE TO SAMO MYŚLAŁ PEARSON PRZEZ CAŁY TEN RANEK, LECĄC DO WASZYNGTONU. NIE ODEZWAŁ SIĘ I OBSERWOWAŁ MŁODSZEGO

OD SIEBIE MĘŻCZYZNĘ, GDY TEN JESZCZE PRZERZUCAŁ RAPORTY. Z PYTAŃ, JAKI MU ZADAWAŁ, ORIENTOWAŁ SIĘ, ŻE PREZYDENT NIE PRZEOCZYŁ ŻADNEGO ISTOTNEGO SŁOWA CZY WAŻNEGO ZDANIA.

– A CI DWAJ BRYTYJSCY NAUKOWCY, HAMMOND I SHERWOOD, TO ZOSTALI URATOWANI Z „ORIONA”?

– TAK, PANIE PREZYDENCIE.

PREZYDENT ZNOWU ZABRAŁ SIĘ DO CZYTANIA. PRZERZUCAŁ STRONY. PO JAKIMŚ CZASIE POWIEDZIAŁ: – J. HAMMOND. CZY OKAZAŁO SIĘ,

ŻE MIAŁ RACJĘ CO DO PRZYCZYN NIESZCZĘŚCIA NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYŁĄDKA?

– TAK, SIR.

– A HIPOTEZY SHERWOODA DOTYCZĄCE LODU ZOSTAŁY POTWIERDZONE PRZEZ NASTĘPNE WYDARZENIA?

PEARSON PRZYZNAŁ, ŻE TAK BYŁO. – ON I KRANTZ RÓŻNIĄ SIĘ W OCENIE SYTUACJI.

– ZA KTÓRYM Z NICH PAN SIĘ OPOWIADA?

TO BYŁO KŁOPOTLIWE PYTANIE. – NO CÓŻ – POWIEDZIAŁ Z NAMYSŁEM PEARSON. — SHERWOOD I HAMMOND, HAMMOND, NAWIASEM MÓWIĄC, TO KOBIETA, MAJĄ Z TĄ GÓRĄ LODOWĄ DOŚWIADCZENIA Z PIERWSZEJ RĘKI. NAJPIERW, GDY ZATONAŁ „ORION”, POTEM, GDY PRZEBYWALI NA PLAŻY ZIELONEGO PRZYŁĄDKA I MORZE ZAMIENIŁO SIĘ W PORĄŻAJĄCY NERWY PŁYN, A NA KONIEC, WCZORAJ URATOWALI SIĘ CUDEM, GDY GÓRA ANVIL RUNĘŁA... W SUMIE ZYSKALI OGROMNE DOŚWIADCZENIA. Z DRUGIEJ STRONY MOŻLIWE, ŻE NIE SĄ JUŻ OBIEKTYWNI. I ICH DOŚWIADCZENIE Z GÓRAMI LODOWYMI WŁAŚCIWIE TYLKO OGRANICZA SIĘ DO BIAŁEJ ATLANTYDY.

– KTÓRA WŁAŚNIE NAS INTERESUJE – PODKREŚLIŁ PREZYDENT.

– ALE KRANTZ MA PRZECIĘTNIE DO CZYNNIENIA Z TYSIĄCEM GÓR LODOWYCH ROCZNIE.

– LECZ ŻADNA Z NICH NIE NAROBİŁA TYLE SZKÓD CO TA – ZAUWAŻYŁ PREZYDENT, PODNOSZĄC FOTOGRAFIĘ BIAŁEJ ATLANTYDY. – CZY ZDOŁA PAN UTRZYMAĆ LUDZI Z DAŁA OD NIEJ?

– POŁĄCZONE SIĘ MARYNARKI WOJENNEJ I OCHRONY WYBRZEŻA...

– JAK? – PRZERWAŁ MU PREZYDENT. – JAK, U LICHA, ZDOŁA PAN PILNOWAĆ KAŻDEGO CALA BRZEGÓW GÓRY LODOWEJ?

– ZA POMOCĄ ŚMIGŁOWCÓW... – ZACZAŁ PEARSON.

– KIEDYŚ PODCZAS WIZYTY KRÓLOWEJ ELŻBIETY I KSIĘCIA FILIPA MIAŁEM ZA ZADANIE UTRZYMYWAĆ ŁODZIE NA ROZSĄDNĄ ODLEGŁOŚĆ OD „BRITANII”. TO BYŁO ABSOLUTNIE NIEMOŻLIWE, BO GDY ODPĘDZIŁEM JEDNĄ, POJAWIAŁY SIĘ DWIE DALSZE.

– DAJEMY SOBIE JAK DOTĄD RADĘ, PANIE PREZYDENCIE.

– NIECH PAN POCZEKA, AŻ GÓRA LODOWA ZNAJDZIE SIĘ PRZY PRZYŁĄDKU HATTERAS, BĘDZIE PAN MIAŁ WTEDY LAWINĘ STATKÓW

WYCIECZKOWYCH.

– ALEŻ ONA PŁYNIE W ODLEGŁOŚCI PONAD DWUSTU MIL OD BRZEGÓW! – PROTESTOWAŁ PEARSON.

– TO ICH NIE POWSTRZYMA. MÓJ PIERWSZY JACHT, CZTERDZIESTO-STOPOWY SILVER, MIAŁ ZASIĘG OŚMIUSET MIL PRZY PEŁNYCH ZBIORNIKACH.

– FORMALNIE – POWIEDZIAŁ PEARSON Z NAMYSŁEM – NIE MAMY PRAWNEGO OBOWIĄZKU POWSTRZYMYWANIA LUDZI, KTÓRZY CHCĄ ZŁAMAĆ

SOBIE KARK WSPINAJĄC SIĘ NA BIAŁĄ ATLANTYDĘ. TO SĄ WODY MIĘDZY-NARODOWE, NAWET NIE STYKAJĄ SIĘ Z NASZYM SZELFEM KONTYNETALNYM.

TEGO RODZAJU NEGATYWNYCH STWIERDZEŃ PREZYDENT SERDECZNIE NIE ZNOSIŁ. MIERZĄC SUROWO PEARSONA SWOIMI NIEBIESKIMI OCZY-MA OŚWIADCZYŁ KATEGORYCZNIE: – JEŚLI JEST W NASZEJ MOCY NIEDOPUSZCZENIE DO TEGO, ŻEBY LUDZIE, WSZYSTKO JEDNO JAKIEJ NARODOWOŚCI, WYRZĄDZILI SOBIE KRZYWDĘ, TO MAMY MORALNY OBOWIĄZEK TO ZROBIĆ. ŻYCZĘ SOBIE, ŻEBY ZNISZCZONO TĘ GÓRĘ LODOWĄ, I ZAGWARANTUJĘ PANU WSZELKIE ŚRODKI I PEŁNOMOCNICTWA, ŻEBY DOPILNOWAŁ PAN WYKONANIA MOJEGO ROZKAZU.

PREZYDENT PODNIÓSŁ SIĘ Z MIEJSCA. ROZMOWA BYŁA SKOŃCZONA. UŚCISNAŁ DŁOŃ PEARSONA I ŻYCZYŁ MU POWODZENIA.

JEDNA MYŚL NIE OPUSZCZAŁA ADMIRAŁA W CZASIE POWROTNEGO LOTU NA „EUREKĘ”.

JAK MÓGŁ KTOŚ, DO DIABŁA, WPAŚĆ NA POMYSŁ ZNISZCZENIA GÓRY LODOWEJ WIELKOŚCI MAŁEGO KRAJU I WAŻĄCEJ MILIARDY TON?

17

KRANTZ MIAŁ JESZCZE BARDZIEJ ZMARTWIONĄ MINĘ NIŻ ZWYKLE. SIEDZIAŁ WRAZ Z SHERWOODEM W LABORATORIUM „EUREKI” I SŁUCHAŁ ZAPISU ZROBIONEGO PRZEZ SHERWOODA NA BIAŁEJ ATLANTYDZIE PRZED

RUNIĘCIEM GÓRY ANVIL.

– PUŚĆ TO JESZCZE RAZ, GLYN – POWIEDZIAŁ KRANTZ, KIEDY NAGRANIE OSIĄGNĘŁO PUNKT, W KTÓRYM ZOSTAŁO SKASOWANE PRZEZ TRZĘSIENIE LODU.

SHERWOOD PRZEWINAŁ TAŚMĘ Z POWROTEM I PUŚCIŁ JĄ ZNOWU.

KRANTZ SPOJRZAŁ NA ZEGAREK, KIEDY Z GŁOŚNIKA ROZLEGŁO SIĘ OSTRE STUK... STUK... STUK... KAŻDE STUKNIĘCIE WZMAGAŁO JEGO ZAFRASOWANIE.

– ZDECYDOWANIE ZBYT REGULARNE, ŻEBY MOGŁO BYĆ WYWOŁANE PRZEZ NAPRĘŻENIA – RZEKŁ SHERWOOD Z NACISKIEM. – SPRAWDZIŁEM SYNCHRONIZACJĘ CZASOWĄ, DŁUGOŚCI STUKNIĘĆ I PRZERWY MIĘDZY NIMI NIE RÓŻNIĄ SIĘ WIĘCEJ NIŻ O JEDNĄ SETNĄ SEKUNDY. A TY WCIAŻ TWIERDZISZ, ŻE SPOWODOWANE SĄ PRZEZ ZMNIEJSZANIE SIĘ WEWNĘTRZNYCH NAPRĘŻEŃ?

KRANTZ POTRZAŚNĄŁ ZE SMUTKIEM GŁOWĄ. – JA NICZEGO NIE TWIERDZĘ, GLYN, TYLKO PODSUWAM JAKIEŚ WYJAŚNIENIE.

– WYJAŚNIENIE NIEPRAWDOPODOBNE.

KRANTZ SIĘ NAGLE UŚMIECHNĄŁ. – NASZE ROLE ULEGŁY ODWRÓCENIU. TO JA NIE CHCIAŁEM UWIERZYĆ W TWOJE HIPOTEZY DOTYCZĄCE BIAŁEJ ATLANTYDY.

– JA SAM W NIE TYLKO NA WPÓŁ WIERZYŁEM. – SHERWOOD ZAMILKŁ I ZMIERZYŁ WZROKIEM KRANTZA. – CZY JUŻ ZREWIDOWAŁEŚ SWOJE ZWARIOWANE DANE CO DO TEMPА TOPNIENIA?

– O CO CHODZI, GLYN? POJUTRZE...

– POJUTRZE BIAŁA ATLANTYDA WCIAŻ BĘDZIE ISTNIEĆ!

KRANTZ WYGLĄDAŁ NA SZCZERZE ZMARTWIONEGO. – NIE SĄDZISZ, ŻE TO COŚ DA?

– NIE.

– A WIĘC TY WIESZ, CO DA EKSPLOZJA TYSIĄCA TON?

SHERWOOD WYCZUŁ, ŻE PRZEDSTAWICIEL MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ POKPIWA SOBIE Z NIEGO, I ZACZAŁ SIĘ ZŁOŚCIĆ. – NIE, WALTER. A TY?

KRANTZ KIWNĄŁ GŁOWĄ. – ROZWALI TĘ GÓRĘ LODOWĄ NA CZTERY CZĘŚCI, GLYN.

18

__BIAŁA ATLANTYDA PRZEDSTAWIA ZE ŚMIGŁOWCA FANTASTYCZNY WIDOK – ZACHWYCAŁ SIĘ REPORTER RADIOWY. – ISKRZY SIĘ NA WODZIE NICZYM BEZCENNY DIAMENT...

JULIA ZACHICHOTAŁA UMIESZCZAJĄC MIKROFILM W CZYTNIKU UŻYWANYM PRZEZ SHERWOODA. WE DWÓJKĘ GRZEBALI W TECHNICZNEJ BIBLIOTECE „EUREKI” POSZUKUJĄC INFORMACJI, KTÓRA, ZDANIEM

SHERWOODA, MUSIAŁA SIĘ TAM ZNAJDOWAĆ.

– DIAMENT TEN ZOSTANIE ZNISZCZONY DOKŁADNIE ZA MINUTĘ. TYM RAZEM ROZBAWIŁO TO SHERWOODA.

– SZKODA, ŻE JESTEM ZA DALEKO, ŻEBY TO ZOBACZYĆ – POWIEDZIAŁA JULIA, SIADAJĄC PRZED WOLNYM CZYTNIKIEM I WKŁADAJĄC DO NIEGO MIKROFILM.

– NIE BĘDZIE NIC DO OGLĄDANIA – MRUKNĄŁ PONURO SHERWOOD. – NIECH TO DIABLI WEZMĄ, TO BĘDZIE TRWAŁO CAŁE GODZINY.

– BIAŁA ATLANTYDA JEST TERAZ JAK RZESZOTO, WYWIERCONO W NIEJ PIĘCIEŚ OTWORÓW – MÓWIŁ REPORTER. – I KAŻDY TAKI OTWÓR WYPEŁNIONO DWIEMA TONAMI TROTYLU. OPERACJĘ TĘ TRZEBA PORÓWNAĆ DO WYSADZENIA W POWIETRZE HELGOLANDU W ROKU TYSIĄC DZIEWIĘCIEŚT DWUDZIESTYM PIERWSZYM, Z TYM JEDNAK ŻE NA WYSADZENIE HELGOLANDU NIE POTRZEBOWANO TYSIĄCA TON TROTYLU... JESZCZE TRZYDZIEŚCI SEKUND...

JULIA SZYBKO ODCZYTAŁA Z KLATKI ZNAJDUJĄCEJ SIĘ NA EKRANIE CZYTNIKA: – „ZAPISKI ANTARKTYCZNE”, TYSIĄC DZIEWIĘCIEŚT SZEŚC-DZIESIĄT SIEDEM, NUMER TRZYDZIESTY, RAPORT O OLBRZYMIJ GÓRZE LODOWEJ W ZATOCE LUTZOW-HOLM. PRZYDA SIĘ?

SHERWOOD POTRZAŚNĄŁ PRZECZĄCO GŁOWĄ. – TO BYŁO WCZEŚNIEJ NIŻ W SZEŚC-DZIESIĄTYM SIÓDMYM.

– ROZMAWIAŁEM DZIŚ Z WALTEREM KRANTZEM Z MIĘDZYNARODOWEJ SŁUŻBY LODOWEJ – MÓWIŁ REPORTER SWOIM SŁUCHACZOM.

– I JEGO ZDANIEM ROZSADZENIE BIAŁEJ ATLANTYDY NA CZTERY CZĘŚCI POWIĘKSZY MASĘ LODU KONTAKTUJĄCĄ SIĘ Z WODĄ I PRZYSPIESZY W TEN SPOSÓB TEMPO TOPNIENIA...

SHERWOOD ZE ZNIECIERPLIWIE NIEM ZMIENIAŁ MIKROFILM.

PRZEZ GŁOS REPORTERA PRZEBIŁ SIĘ JAKIŚ INNY I ZACZĄŁ ODLICZAĆ DZIESIEĆ SEKUND.

– ZUPEŁNIE JAKBY ZASTOSOWAĆ FAJERWERK DO WYSADZANIA MOUNT EVERESTU – ZAUWAŻYŁ SHEROOD.

– PIĘĆ...

SHERWOOD GAPIŁ SIĘ NA EKRAN PRZEGLĄDARKI.

– CZTERY...

– CO SIĘ STAŁO? – SPYTAŁA JULIA.

– TRZY...

PODNECONY SHERWOOD NACISKAŁ PEDAŁ PRZESUWAJĄC FILM W CZYTNIKU.

– DWA...

– NO WIĘC CO SIĘ STAŁO? – POWTÓRZYŁA JULIA.

– JEDNA...

PRZEZ RADIO SŁYCHAĆ BYŁO PRZYTŁUMIONY HUK EKSPLOZJI. PÓTEM GŁOS REPORTERA – PODNECONY, NIEMAL HISTERYCZNY. – ZDUMIEWAJĄCE! FANTASTYCZNE! NAJWIĘKSZA EKSPLOZJA WYWOŁANA PRZEZ CZŁOWIEKA OD CHWILI ZAPRZESTANIA PRÓB Z BOMBĄ WODOROWĄ! WZDŁUŻ CAŁEJ BIAŁEJ ATLANTYDY WYSTRZELIŁ W POWIETRZE OLBRYMI BIAŁY OBŁOK! GÓRA LODOWA CAŁKIEM ZNIKŁA, ALE NIC, NAWET TYSIĄC TON TROTYLU, NIE ZDOŁA UKRYĆ TEGO NIEWIARYGODNEGO, TEGO WSPANIAŁEGO DZIWOŁĄGA, TEJ OGROMNEJ WYSPY LODU!

– ZNALAZŁEM – OZNAJMIŁ SHERWOOD, NIE ODRYWAJĄC WZROKU OD ZADRUKOWANEJ STRONY WIDNIEJĄCEJ NA JEGO EKRANIE. JULIA DOŁĄCZYŁA SIĘ DO NIEGO.

– HEJ, POCZEKAJCIE CHWILKĘ! – KRZYKNAŁ ZADYSZANY REPORTER. – TO NIE MOŻE BYĆ PRAWDA! NIE WIERZĘ! LODOWY OBŁOK OPADA... BIAŁA ATLANTYDA WYGLĄDA DOKŁADNIE TAK SAMO JAK PRZED

EKSPLOZJĄ! NAWET NIE JEST WYSZCZERBIONA!

– NO TAK – ODEZWAŁA SIĘ JULIA, ODCZYTUJĄC TEKST NA EKRANIE. – WYGLĄDA NA TO, ŻE OD POCZĄTKU MIAŁEŚ RACJĘ. CHCESZ NASYCIĆ WZROK?

19

NIKOGO NIE BYŁO W POBLIŻU DWU MĘŻCZYŹN ZAGLĄDAJĄCYCH DO LODOWEGO KRATERU, TOTEŻ ADMIRAŁ PEARSON POZWOLIŁ SOBIE NA USZCZYPLIWE UWAGI WOBEC KRANTZA.

– TO JEST NIEPOKOJĄCE – PRZYRNAŁ KRANTZ, GDY UDAŁO MU SIĘ WTRĄCIĆ SŁOWO.

– MA PAN CHOLERNĄ RACJĘ, TO JEST NIEPOKOJĄCE – RZEKŁ PEARSON Z PRZEKONANIEM. – SZCZEGÓLNICIE, ŻE PAN POWIEDZIAŁ...

– MIAŁEM WŁAŚNIE POWIEDZIEĆ, ŻE NIE JESTEM CAŁKOWICIE ZASKOCZONY. ŁÓD TO ZADZIWIAJĄCO ELASTYCZNY MATERIAŁ.

– NA TO WYGLĄDA.

– NASTĘPNYM RAZEM UŻYJEMY WIĘCEJ MATERIAŁU WYBUCHOWEGO. ILE CZASU ZAJĘŁOBY DOWIEZIENIE PIĘCIU TYSIĘCY TON? PEARSON OPUŚCIŁ OKULARY OCHRONNE NA OCZY. – POPATRZMY NA NASTĘPNY OTWÓR.

BRNĘLI MOZOLNIE PRZEZ TOPNIEJĄCY LÓD. OD CZASU WYLĄDOWANIA NA BIAŁEJ ATLANTYDZIE PEARSON NIE PRZESTAWAŁ SIĘ DZIWIĆ, ŻE 7. BLISKA NIE JEST ONA BIAŁA, TYLKO JASNOSZARA. W NIEKTÓRYCH MIEJSCACH, TAM GDZIE POWIERZCHNIOWA WODA ODSŁONIŁA PRZEKRÓJ WARSTW, LÓD MIAŁ ZABARWIENIE OD ŻÓŁTEGO DO JASNOZIELONEGO NICZYM SAŁATA.

NASTĘPNY OTWÓR WYPEŁNIAŁA WODA. RUSZYLI DALEJ I ZATRZYMALI SIĘ, ŻEBY POPATRZEĆ NA MIGOTLIWY WODOSPAD PRZELEWAJĄCY SIĘ PRZEZ KRAWĘDŹ STUSTOPOWEGO KLIFU. SPOD KLIFU WARTKO WYPŁYWA-

ŁA RZĘKA NIOSĄC MINIATUROWE GÓRY LODOWE PRZEZ GŁĘBOKI KANION, KTÓRY W MIEJSCU, GDZIE STYKAŁ SIĘ Z MORZEM, ROZSZERZAŁ SIĘ W DELTĘ

O WOLNO SUNĄCEJ WODZIE.

– TO CIEKAWE – ODEZWAŁ SIĘ KRANTZ. – DOKŁADNIE WSZYSTKO TO, CO WIDZIMY: EROZJA, DRAŻENIE WĄWOZÓW PRZEZ RZĘKI, DZIEJE SIĘ TEŻ NA ŁĄDZIE, TYLE TYLKO, ŻE GODZINA NA TEJ GÓRZE LODOWEJ ODPOWIADA STU MILIONOM LAT TAM.

TRZECI WYWIERCONY OTWÓR RÓWNIEŻ ZACZYNAŁ SIĘ WYPEŁNIAĆ WODĄ. TAK JAK W PRZYPADKU POPRZEDNICH OTWORÓW SIŁA EKSPLOZJI POSZERZYŁA JEGO ŚREDNICĘ Z DZIESIĘCIU CALI WYBOROWANYCH PRZEZ WIERTŁO DO TRZYSTU STÓP. NIE WIDAĆ BYŁO JEDNAK WIĘKSZYCH USZKODZEŃ CZY PĘKNIĘĆ LODU, KTÓRE MOGŁYBY BYĆ SKUTKIEM EKSPLOZJI.

KRANTZ ZMARSZCZYŁ BRWI Z NIEPOKOJEM, POCHYLAJĄC SIĘ NAD OTWOREM W KSZTAŁCIE STOŻKA. WYŁOWIŁ UCHEM SŁABY, REGULARNY STUKOT PODOBNY DO TEGO, KTÓRY ZAREJESTROWAŁ GLYN SHERWOOD. PEARSON TAKŻE GO SŁYSZAŁ.

– CO TO MOŻE BYĆ, DO DIABŁA?

KRANTZ PRZYKŁĘKNAŁ NA JEDNO KOLANO I SŁUCHAŁ. – NAPRĘŻENIA W LODZIE. WIĘKSZĄ CZĘŚĆ TEJ GÓRY OBCIĄŻAŁY MILIONY TON JEJ WŁASNEGO LODU I TERAZ SIĘ OD NICH UWALNIA. TEN OTWÓR DZIAŁA JAK

OLBRZYMI WZMACNIACZ, JAK TUBA ANTYCZNEGO FONOGRAFU.

PEARSON NIE BYŁ CAŁKOWICIE PRZEKONANY – STUKOT WYDAWAŁ MU SIĘ ZBYT REGULARNY. Z DRUGIEJ STRONY KRANTZ TO EKSPERT, JEGO OPINIA

JEST ROZSĄDNA, PODCZAS GDY POMYSŁY SHERWOODA SĄ ZBYT SZALONE I NIE MA SENSU SIĘ NAWET NAD NIMI ZASTANAWIAĆ. A JEDNAK...

ROZWAŻANIA PEARSONA PRZERWAŁ WIZG TURBIN. PODNIÓSŁ DO OCZU LORNETKĘ I NASTAWIŁ OSTROŚĆ NA 378-STOPOWY KUTER OCHRONY

WYBRZEŻA, KTÓRY WYZNACZYŁ DO PILNOWANIA TEGO ODCINKA BIAŁEJ ATLANTYDY. NA UKOŚNYCH PASACH KADŁUBA W POBLIŻU DZIUBU – OZNAKOWANIU WSZYSTKICH JEDNOSTEK AMERYKAŃSKIEJ OCHRONY WYBRZEŻA NIEZALEŻNIE OD WIELKOŚCI – PIENIĘA SIĘ BIAŁA WODA. WYSOKOŚĆ JEGO FALI DZIOBOWEJ ROSŁA. KUTER ODPIYWAŁ. MINUTĘ PÓŹNIEJ POJAWIŁ SIĘ LUZUJĄCY GO KUTER „JASON”, NALEŻĄCY DO PIĄTEGO OKRĘGU OCHRONY WYBRZEŻA.

BIAŁA ATLANTYDA ZNAJDOWAŁA SIĘ WCIAŻ W ODLEGŁOŚCI PIĘCIUSET MIL OD WYBRZEŻY STANÓW ZJEDNOCZONYCH. A WYBRZEŻE TO, WRAZ Z POWOLNYM, NIEPOWSTRZYMYWALNYM PRĄDEM ZMIERZAJĄCYM W KIERUNKU PÓŁNOCY, NALEŻAŁO DO STANU WIRGINIA.

20

BYŁA TO PIERWSZA KONFERENCJA NA POKŁADZIE „EUREKI” PROWADZONA PRZEZ ADMIRAŁA PEARSONA. PÓŹNIEJ STAŁY SIĘ ONE CODZIENNĄ PORANNĄ RUTYNĄ. HAGAN NOTOWAŁ. DEKĘ SUTHERLAND SPRAWIAŁ WRAŻENIE ZNUDZONEGO, WALTER KRANTZ – STRAPIONEGO.

PRZEZ OKNA LEWEJ BURTY SHERWOOD MÓGŁ DOSTRZEĆ BLADE LINIE BRZEGOWE BIAŁEJ ATLANTYDY. PROMIENIE SŁOŃCA PADAJĄC NA JEJ ZAOKRĄGLONE PAGÓRKI WYSYŁAŁY W STRONĘ OKRĘTU OCEANOGRAFICZNE-

GO CIĄGŁY POGARDLIWY SYGNAŁ.

PEARSON PRZESZEDŁ PROSTO DO RZECZY. – PO W CZORAJSZYM NIEPOWODZENIU Z TYSIĄCEM TON KRUSZĄCEGO MATERIAŁU WYBUCHOWEGO PAN KRANTZ PROONUJE TERAZ PODOBNĄ OPERACJĘ Z UŻ CIEM PIĘCIU TON I WYBOROWANIE GŁĘBSZYCH OTWORÓW.

– ZBIEŻNYCH I ZAŚLEPIONYCH BETONEM – UZUPEŁNIŁ KRANTZ, OMIATAJĄC NIESPOKOJNYM WZROKIEM WSZYSTKICH ZEBRANYCH.

– CZY KTOŚ CHCE COŚ POWIEDZIEĆ? – ZAPYTAŁ PEARSON.

– TAK – ODEZWAŁ SIĘ SHERWOOD. – TO NIC NIE DA.

KRANTZ ZAMRUGAŁ OZAMI. – DLACZEGO, GLYN?

– ZAŚLEPKI ZOSTANĄ ZMIECIONE PRZEZ EKSPLOZJĘ I DZIEWIĘĆDZIESIĄT PROCENT SIŁY WYBUCHU SIĘ ZMARNUJE. TO SAMO CO ZDARZYŁO

SIĘ WCZORAJ, TYLKO ŻE Z WIĘKSZYM HUKIEM.

KRANTZ WYGLĄDAŁ NA DOTKNIĘTEGO. – CZY NIE SĄDZISZ, ŻE WARTO PRZYNAJMNIEJ SPRÓBOWAĆ?

– TO ZALEŻY OD TEGO, ILE KOSZTUJE PIĘĆ TON TROTYLU – ODPARŁ SHERWOOD Z UŚMIECHEM – POWIEM CI TYLE: NIC NIE ZNISZCZY TEJ GÓRY LODOWEJ PRÓCZ MORZA, KTÓRE OSTATECZNIE NISZCZY WSZYSTKIE GÓRY LODOWE. NAJLEPIEJ PO PROSTU CZEKAĆ I OBSERWOWAĆ.

– TO NIE WCHODZI W RACHUBĘ – OŚWIADCZYŁ PEARSON.

– W POWIETRZU WISI POWAŻNA BURZA POLITYCZNA Z POWODU STRATY „JOHNSONA” I SZTUCZNE ZNISZCZENIE TEJ GÓRY LODOWEJ TO W TEJ CHWILI KWESTIA PRESTIŻU NARODOWEGO.

KRANTZ JĘKNAŁ. SHERWOOD PODZIELAŁ JEGO UCZUCIA.

– CO WIĘCEJ – CIĄGNAŁ PEARSON – JEŚLI PRZYJMIEMY TEMPO TOPNIENIA OBLICZONE PRZEZ PANA SHERWOODA, TO OCKNIEMY SIĘ W SYTUACJI, O JAKIEJ WOLĘ NAWET NIE MYŚLEĆ: A MIANOWICIE, BIAŁA ATLANTYDA ZNAJDZIE SIĘ NA PÓŁNOCNOATLANTYCKICH SZLAKACH ŻEGLU-

GOWYCH, KTÓRE SĄ, JAK PAN KRANTZ WAM POWIE, NAJBARDZIEJ UCZĘSZCZANYMI SZLAKAMI NA ŚWIECIE. BARDZO WIELU KAPITANÓW NAWET DYSPONUJĄCYCH RADAREM DOMAGA SIĘ TARANOWANIA GÓR LODOWYCH. OSTATNIO DUŃSKI STATEK „HANS HEDTOFT” WPADŁ NA TAKĄ I ZGINĘŁO DZIEWIĘCDZIESIĄT OSIEM OSÓB.

– TO SIĘ NIE ZDARZY – ZAUWAŻYŁ KRANTZ. – A GDYBY NAWET, TO MIĘDZYNARODOWA STRAŻ LODOWA BĘDZIE...

– A CO Z MNIEJSZYMI GÓRAMI RODZONYMI PRZEZ NIĄ? – CHCIAŁ WIEDZIEĆ SUTHERLAND ODZYWAJĄC SIĘ PO RAZ PIERWSZY. – Z KAŻDYM DNIEM MAMY ICH WIĘCEJ, I TO NA OGÓŁ WIĘKSZYCH NIŻ GÓRY LODOWE WIDYWANE CZASAMI U WYBRZEŻY NOWEJ FUNDLANDII, PRZY CZYM NIE PŁYNĄ ONE TYM SAMYM DRYFEM CO WIELKA MAMUSIA. JEŚLI CHCECIE ZNAĆ MOJE ZDANIE, TO POWIEDZIAŁBYM, ŻE NIE MOŻNA

NA NIC LICZYĆ W WYPADKU BIAŁEJ ATLANTYDY.

– JA LICZYŁBYM NA ROZWALENIE GÓRY PIĘCIOMA TYSIĄCAMI TON TROTYLU, KTÓRE ROZSADZĄ JĄ OD ŚRODKA – RZEKŁ SUCHO KRANTZ.

– WSZYSTKIE POPRZEDNIE PRÓBY ZNISZCZENIA GÓR LODOWYCH ZAWIODŁY – ZAKOMUNIKOWAŁ SHERWOOD. – ŁĄCZNIE Z PRÓBAMI UŻYCIA SILNYCH ŚRODKÓW WYBUCHOWYCH.

PEARSON SIĘ ZAINTERESOWAŁ. – JAKIE PRÓBY?

SHERWOOD SIĘGNAŁ DO KIESZENI I WYCIĄGNAŁ DOKUMENT SKOPIOWANY Z MIKROFILMU W BIBLIOTECE „EUREKI”. – TO JEST BIULETYN NUMER CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ WYDANY PRZEZ MIĘDZYNARODOWĄ SŁUŻBĘ LODOWĄ JESZCZE W ROKU TYSIĄC DZIEWIĘCET SZEŚCDZIESIĄTYM.

OPISANO W NIM LICZNE PRZEPROWADZONE PRZEZ MIĘDZYNARODOWĄ SŁUŻBĘ LODOWĄ EKSPERYMENTY W ZAKRESIE METOD I ŚRODKÓW NISZCZENIA GÓR LODOWYCH. – PRZERWAŁ I POPATRYŁ NA PEARSONA.

– CZY ŻYCZY PAN SOBIE, ADMIRALE, USŁYSZEĆ, CO MA DO POWIEDZENIA TEN BIULETYN?

– ZNAM GO – OZNAJMIŁ KRANTZ. – JEST BARDZO STARY I WĄTPIĘ, ŻEBY TE OPINIE MIAŁY DZISIAJ JESZCZE JAKIEŚ ZNACZENIE.

– NAJPIERW POSŁUCHAMY, A POTEM ZDECYDUJEMY – ZAPROPONOWAŁ PEARSON. SKIĄŁ W STRONĘ SHERWOODA: – NIECH PAN CZYTA.

SHERWOOD ODCHRZĄKNAŁ. – SPECJALNY ODDZIAŁ MSL WYBRAŁ TYPOWĄ GRENLANDZKĄ GÓRĘ LODOWĄ DO SERII EKSPERYMENTÓW UMOŻLIWIAJĄCYCH STWIERDZENIE, CZY DA SIĘ JĄ ZNISZCZYĆ. PIERWSZYM ETAPEM BYŁO ZRZUCENIE NA NIĄ DWUDZIESTU TYSIĄCFUNTOWYCH BOMB. – SHERWOOD ZADEMONSTROWAŁ STRONĘ Z FOTOGRAFIĄ, NA KTÓREJ POKAZANO ZIEMNO-WODNY SAMOŁOT LECĄCY NAD GÓRĄ LODOWĄ W KSZTAŁCIE PODKOWY. U PODSTAWY GÓRY WIDAĆ BYŁO EKSPLOZJĘ. – ETAP PIERWSZY SKOŃCZYŁ SIĘ NIEPOWODZENIEM – MÓWIŁ DALEJ SHERWOOD. – ZRZUCONO BLISKO DZIESIĘĆ TON NA MAŁĄ GÓRĘ LODOWĄ BEZ EFEKTU. ETAP DRUGI PRZYPOMINAŁ W KONCEPCJI WCZORAJSZĄ OPERACJĘ: WYSADZONO NA GÓRZE LODOWEJ TRZECH LUDZI, KTÓRZY UMIEŚCILI W JEJ STRATEGICZNYCH PUNKTACH ROZMAITE SILNE ŚRODKI WYBUCHOWE: CYTUJĘ: „ILUSTRACJA 22B PRZEDSTAWIA WYBUCH

ŁADUNKU, NA KTÓRY SKŁADAŁO SIĘ PIĘĆSET SZEŚCDZIESIĄT FUNTÓW

TERMITU UMIESZCZONEGO U PODSTAWY WIERZCHOŁKA. TOWARZYSZYŁ MU ZNOWU SPEKTAKULARNY WIDOK, GDY DYM I STOPIONE ŻELAZO ZOSTAŁY WYRZUCONE W POWIETRZE NA WYSOKOŚĆ SETEK STÓP, LECZ GÓRA LODOWA PRAKTYCZNIE NIE ZOSTAŁA NARUSZONA." KONIEC CYTATU.

SHERWOOD ZERKNAŁ NA KRANTZA, KTÓRY OSTENTACYJNIE GO IGNOROWAŁ PATRZĄC PRZEZ OKNO NA MORZE. MÓWIŁ DALEJ: – OSTATNI ETAP POLEGAŁ NA POKRYCIU SADZĄ SZEŚCIU TYSIĘCY JARDÓW KWADRATO-

WYCH GÓRY LODOWEJ, ŻEBY ZWIĘKSZYĆ POCHŁANIANIE PRZEZ NIĄ CIEPŁA Z PROMIENI SŁOŃCA. PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ GÓRA LODOWA ZACZĘŁA SIĘ ROZPADAĆ, ALE PRÓBY NIE MOŻNA UZNAĆ ZA PRZEKONUJĄCĄ, PONIEWAŻ GÓRA I TAK BYŁA BLISKA ROZPADU. PRZECZYTAM KONKLUZJĘ RAPORTU: „GÓRA LODOWA WPRAWDZIE ULEGŁA PEWNYM USZKODZENIOM, TRZEBA JEDNAK PRZYZNAĆ, ŻE WSZYSTKIE WYPRÓBOWANE PRZY NISZCZENIU GÓR LODOWYCH METODY OKAZAŁY SIĘ RACZEJ NIESKUTECZNE."

SHERWOOD SKOŃCZYŁ CZYTAĆ I PRZEZ CHWILĘ PANOWAŁA CISZA. PRZERWAŁ JĄ ADMIRAŁ PEARSON WYCIĄGAJĄC RĘKĘ PO PAPIERY TRZYMANE PRZEZ GEOLOGA. – CHCIAŁBYM ZOBACZYĆ TEN RAPORT.

SHERWOOD PODAŁ MU DOKUMENTY PRZEZ STÓŁ. PEARSON STUDIOWAŁ JE PRZEZ JAKIŚ CZAS. PO CZYM RZUCIŁ PAPIERY NA STÓŁ I POSZUKAŁ W KIESZENI CYGARA.

– Cóż, PANOWIE – RZEKŁ W KOŃCU. – ZACZYNA WYGLĄDAĆ NA TO, ŻE MARNUJEMY NASZ CENNY CZAS. – GŁOS MIAŁ ZMĘCZONY, BEZNAMIĘTNY.

21

ADMIRAŁ PEARSON I SUTHERLAND PRZYGLĄDALI SIĘ Z ZAINTRYGOWANYM WYRAZEM TWARZY, JAK SHERWOOD KŁADZIE OBA KOŃCE DWUNASTOCALOWEJ SZTABKI LODU NA STOJAKU LABORATORYJNYM W TAKI

182

JAMES FOLLETT

SPOSÓB, ŻE LÓD TWORZY MOSTEK NAD STOŁEM. Z POZIOMEJ ŁASKI LODU ZACZĘŁA POWOLI KAPAC NA STÓŁ WODA.

SHERWOOD UŚMIECHNAŁ SIĘ DO SWOJEGO DWUOSOBOWEGO AUDYTORIUM. – TO JEDEN Z TYCH EKSPERYMENTÓW, JAK NA PRZYKŁAD CIĘCIE NOŻYCKAMI SZKŁA POD WODĄ, O KTÓRYCH SŁYSZAŁEM, LECZ

KTÓRYCH SAM NIGDY NIE PRZEPROWADZAŁEM.

MÓWIĄC TO, Z KAWAŁKA STRUNY FORTEPIANOWEJ ZROBIŁ PĘTLĘ WOKÓŁ ŚRODKA ŁASKI LODU, SKRĘCIŁ RAZEM OBA KOŃCE I NA SPOJENIU ZAWIESIŁ KILOGRAMOWY ODWAŻNIK, TAK ŻE ZAWISŁ POD LODEM.

– TERAZ PATRZCIE – POWIEDZIAŁ.

PEARSON I SUTHERLAND PATRZYLI. Z POCZĄTKU NIC SIĘ NIE DZIAŁO. POTEM ODWAŻNIK ZACZAŁ WOLNIUTKO PRZECIĄGAĆ PĘTLĘ PRZEZ LÓD, W TAKI SPOSÓB, JAK DRUT STAROMODNEJ KRAJARKI PRZECINAJĄCY NA PÓŁ KAWAŁEK SERA.

PO PIĘCIU MINUTACH STRUNA PRZECIĄGNIĘTA ZOSTAŁA PRZEZ ŁASKĘ LODU I WRAZ Z ODWAŻNIKIEM ZNALAZŁA SIĘ NA STOLE. LÓD JEDNAK ZAMIAST SPAŚĆ W DWU POŁÓWKACH, POZOSTAŁ NA MIEJSCU OPIERAJĄC SIĘ NA STOJAKU.

– TO SIĘ WYDAJE ZUPEŁNIE NIEPRAWDOPODOBNE – ODEZWAŁ SIĘ PEARSON, SPOGLĄDAJĄC NA NIETKNIĘTĄ ŁASKĘ LODU.

SHERWOOD ZDJĄŁ SZTABKĘ ZE STOJAKA I PODAŁ OBU OBSERWUJĄCYM, ŻEBY OBEJRZELI JĄ SOBIE Z BLISKA. – STRUNA PRZECINA LÓD CAŁKIEM ŁATWO, TYLE ŻE TEN ZNOWU SIĘ ZESPALA, JAKBY SIĘ GOIŁ. ZJAWISKO TO ODKRYŁ MICHAEL FARADAY, JEDNO Z JEGO WIELU BEZUŻYTECZNYCH ODKRYĆ... – SHERWOOD SIĘ ZAWAHAŁ I SPOJRZAŁ PRZEPRASZAJĄCO NA SUTHERLANDA. – DLATEGO WŁAŚNIE OBAWIAM SIĘ, ŻE PAŃSKI POMYSŁ PRZECIĄGNIĘCIA PODGRZEWANYCH KABLI PRZEZ GÓRĘ LODOWĄ I PRZECINANIA JEJ W TEN SPOSÓB NIE ZDA SIĘ NA NIC, KAPITANIE. PRZYKRO MI.

SUTHERLAND WZRUSZYŁ RAMIONAMI. – NIE MYŚLAŁEM NIGDY, ŻE TO COŚ DA. TO TYLKO TAKI SOBIE POMYSŁ.

PEARSON SIĘ UŚMIECHNĄŁ, CO ZDARZAŁO MU SIĘ RZADKO. – PRZYPUSZCZAM, ŻE ODKRYCIE FARADAYA NA COŚ SIĘ JEDNAK PRZYDAŁO, ZAOSZCZĘDZIŁO NAM PARĘ MILIONÓW DOLARÓW.

– MOŻE TO ELEMENTARNE PYTANIE I ZAPEWNE ROBIĘ Z SIEBIE GŁUPKA – RZEKŁ SUTHERLAND – ALE WŁAŚCIWIE DLACZEGO NIKT NIE WPADŁ NA POMYSŁ, ŻEBY UŻYĆ CIEPŁA DO STOPIENIA TEJ LODOWEJ GÓRY?

– Z JEDNEGO PODSTAWOWEGO POWODU – ODPAŘ SHERWOOD.

– UŻYWAŁ PAN WĘŻY Z PARĄ DO ODLADZANIA NADBUDÓWKI I TAKIELUNKU, KAPITANIE?

SUTHERLAND KIWNĄŁ TWIERDZĄCO GŁOWĄ. — NO PEWNIENIE.

— POMYŚLAŁ PAN KIEDY, JAK NĘDZNY OSIĄGA SIĘ EFEKT, JAK DIABELNIE DUŻO TRZEBA UŻYĆ ENERGII, ŻEBY STOPIĆ MAŁĄ ILOŚĆ LODU?

— TAAK. TO RACJA.

— DANA ILOŚĆ LODU POTRZEBUJE NIEMAL TYLE ENERGII, ŻEBY SIĘ STOPIĆ, ILE TRZEBA DO ZAGOTOWANIA POWSTAŁEJ Z NIEGO WODY. NIE MA NA ŚWIECIE WYSTARCZAJĄCO DUŻO ENERGII, ŻEBY STOPIĆ TĘ GÓRĘ LODOWĄ. NAWET GDYBYŚMY MIELI ZUŻYTKOWAĆ ENERGIĘ, KTÓRĄ WYTWARZAJĄ W CIĄGU MIESIĄCA WSZYSTKIE ELEKTROWNIE. — ZASTANAWIAŁ SIĘ PRZEZ CHWILĘ. — LÓD — POWIEDZIAŁ W KOŃCU — TO JEDNO Z NAJDIWNIWSZYCH TWORZYW, JAKIE ZNA LUDZKOŚĆ.

— WŁAŚNIE ZACZYNAM DOCHODZIĆ DO TAKIEGO WNIOSKU

— ZGODZIŁ SIĘ Z NIM PEARSON. — W ZWIĄZKU Z TYM POZOSTAJE MI JEDNA TYLKO MOŻLIWOŚĆ.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

22

— DUŻO O TYM MYŚLAŁEM — POWIEDZIAŁ PREZYDENT — I ODPOWIEDŹ MUSI BYĆ NEGATYWNA. TAK DŁUGO, JAK WY, CHŁOPCY Z MARYNARKI WOJENNEJ, I OCHRONA WYBRZEŻA, DAJECIE SOBIE JAKOŚ RADĘ Z ODPĘDZANIEM WYCIECZKOWICZÓW, TO PÓKI GÓRA NIE STOPI SIĘ DO BEZPIECZNYCH ROZMIARÓW, NIE WIDZĘ POTRZEBY WYRAŻANIA ZGODY NA PAŃSKĄ PROŚBĘ.

PEARSON NIC NIE POWIEDZIAŁ. NIE OSIĄGNĄŁ SWOJEJ OBECNEJ RANGI WCHODZĄC Z PREZYDENTAMI W UTARCZKI SŁOWNE.

— DZIĘKUJĘ, ŻE ZWRÓCIŁ SIĘ PAN DO MNIE W TEJ SPRAWIE

— DODAŁ PREZYDENT TOWARZYSZĄC PEARSONOWI W DRODZE PRZEZ TRAWNIKI CAMP DAVID DO ŁĄDOWISKA ŚMIGŁOWCOWEGO. — MIAŁ PAN PRAWO ZDECYDOWAĆ SAM. KORZYSTAJĄC Z GENERALNEGO PEŁNOMOCNICTWA, JAKIEGO PANU UDZIELIŁEM. BO KIEDY TA PRZEKLĘTA GÓRA MA SIĘ ROZTOPIĆ?

— OPINIE EKSPERTÓW SĄ PODZIELONE, PANIE PREZYDENCIE

— PRZYNAŁ PEARSON. — CI, KTÓRZY DO TEJ PORY MYLILI SIĘ WE WSZYSTKIM, TWIERDZĄ, ŻE MOŻE WYTRZYMAĆ DWA TYGODNIE, CHOĆ NAJPIERW MÓWILI, ŻE TYDZIEŃ, CI ZAŚ, KTÓRZY DOTYCHCZAS MIELI RACJĘ, NA RAZIE NIE WIEDZĄ. JA NATOMIAST WIEM, ŻE WOLĘ RACZEJ MIEĆ

DO CZYNIENIA Z ROSJANAMI NIŻ Z GÓRAMI LODOWYMI, BO PO NICH: *
PRZYNAJMNIEJ WIADOMO, CZEGO SIĘ MOŻNA SPODZIEWAĆ.

PREZYDENT ZAOFEROWAŁ PEARSONOWI SWÓJ ZWYCIĘSKI, WYBORCZY
UŚMIECH NA POŻEGNANIE.

PEARSON PRZYBYŁ NA „EUREKĘ” SIEDEM GODZIN PÓŹNIEJ, A TAM
POWITANO GO NOWINĄ, ŻE BIAŁA ATLANTYDA ZMIENIŁA KURS I WOLNO
ZMIERZA KU WYBRZEŻOM DELAWARE.

23

JULII, JAK WIELU INNYM, WYDAWAŁO SIĘ WPROST NIE DO POMYSŁE-
NIA, ŻE ROZPOCZĄŁ SIĘ PROCES UMIERANIA BIAŁEJ ATLANTYDY. PŁYNĘŁA
SOBIE PRZECIEŻ SPOKOJNIE W CIEPŁYM SŁOŃCU WCZESNEJ WIOSNY
– PIĘKNY, KRYSZTAŁOWY TWÓR, DZIEWICZA KRAINA O ISKRZĄCYCH SIĘ
FALUJĄCYCH WZGÓRZACH, CICHYCH LAGUNACH I HUCZĄCYCH POTOKACH
ZASILAJĄCYCH LENIWIE PŁYNĄCE RZEKI.

A JEDNAK NIEUBŁAGANIE UMIERAŁA. DOWODÓW JEJ ZBLIŻAJĄCEJ SIĘ
ŚMIERCI BYŁO WIELE – MAŁE GÓRY LODOWE STACZAJĄCE SIĘ Z WYNIOS-
ŁYCH KLIFÓW I ODPŁYWAJĄCE Z PRĄDEM PRZYPRAWIAŁY O BÓL GŁOWY
MIĘDZYNARODOWĄ SŁUŻBĘ LODOWĄ, KTÓRA ZNAJDOWAŁA SIĘ I TAK
POD WIELKĄ PRESJĄ; ONE ZAŚ, DOPIERO CO ODŁĄCZONE OD SWOJEJ
RODZICIELKI, UNOSIŁY SIĘ NIEWINNIE NA WODZIE CZEKAJĄC, AŻ JEDEN
Z CZUJNYCH, KRĄŻĄCYCH HERKULESÓW MSL SPOSTRZEŻE JE I PODA ICH
POZYCJĘ NA GOVERNORS ISLAND, GDZIE KAŻDEJ ZOSTANIE PRZY-
DZIELONY NUMER I PRAWDOPODOBNY KURS OBLICZONY PRZEZ KOM-
PUTER.

ŚMIGŁOWIEC, ZAŁADOWANY AŻ PO WIRNIKI FOTOREPORTERAMI,
PODLATYWAŁ TAK BLISKO POCHYLONYCH KLIFÓW, JAK MUCHA DO
BIELONEJ ŚCIANY.

JULIA ZORIENTOWAŁA SIĘ, ŻE SUTHERLAND STOI OBOK NIEJ PRZY
RELINGU. – SKOŃCZYLI WŁAŚNIE DZIENNY NAKRES – OZNAJMIŁ.

– ILE STRACIŁA DOTĄD?

KAPITAN OBSERWOWAŁ ŚMIGŁOWIEC. – OSIEMSET DWADZIEŚCIA
MIL KWADRATOWYCH. POŁOWĘ WIELKOŚCI LONG ISLAND.

– WIĘC NIE ZMIENIŁA SIĘ OD WCZORAJ?

– WEDŁUG KRANTZA I SHERWOODA OBSZAR NA POWIERZCHNI JEST
DOŚĆ STATYCZNY, ONA TRACI GŁÓWNIIE SWOJĄ MASĘ POD WODĄ.

– TAK WŁAŚNIE MYŚLAŁAM – POWIEDZIAŁA JULIA. – POMAGA-

L.IM DZIŚ RANO W LABORATORIUM PRZY BADANIU ZASOLENIA. BIAŁA ATLANTYDA OTOCZONA JEST SŁODKĄ WODĄ. WIE PAN, TO DZIWNE, ŻE ZMNIĘJSZA

SWOJĄ WYPORNOŚĆ SZYBCIEJ NIŻ MASĘ NA POWIERZCHNI.

SUTHERLAND SIĘ ZASĘPIŁ. – DLACZEGO?

– BĘDZIE SIĘ PAN ZE MNIĘ ŚMIAŁ, KAPITANIE.

– PRZYRZEKAM SIĘ NIE ŚMIAĆ.

– NO... ZUPEŁNIE JAKBY BIAŁA ATLANTYDA WIEDZIAŁA, ŻE BLIŻEJ WYBRZEŻA JEST PŁYCIEJ.

SUTHERLAND DOTRZYMAŁ PRZYRZECZENIA.

24

– W KILKU SPRAWACH PAN SHERWOOD I JA SIĘ ZGADZAMY

– POWIEDZIAŁ KRANTZ NA PORANNEJ KONFERENCJI. – PO PIERWSZE...

– GDZIE JEST SHERWOOD? – ZAPYTAŁ PEARSON. – PRZEPRA-SZAM, ŻE PRZERWAŁEM, PANIE KRANTZ.

– Z KAPITANEM SUTHERLANDEM W PRZEDZIALE NAWIGACYJNYM

– POINFORMOWAŁ HAGAN. KRANTZ ZACZAŁ ZNOWU MÓWIĆ. – PO PIERWSZE, ŻE OBJĘTOŚĆ BIAŁEJ ATLANTYDY ULEGŁA ZMNIĘSZENIU O PIĘCSET MIL SZEŚCIENNYCH.

SHERWOOD WSZEDŁ CICHOO DO KABINY I ZAJĄŁ SWOJE MIEJSCE PRZY STOLE.

– ILE ONA WAŻY? – DOPYTYWAŁ SIĘ PEARSON.

– WAGA NIE JEST ISTOTNA – RZUCIŁ ZIRYTOWANY KRANTZ.

– PIĘCSET MILIARDÓW TON – WTRĄCIŁ POSPIESZNIE SHERWOOD WIDZĄC, ŻE ADMIRAŁ JEST BLISKI WYBUCHU.

PEARSON SIĘ USPOKOIŁ, ALE NIE WYGLĄDAŁ NA SPECJALNIE ZADOWO-LONEGO.

– I PO DRUGIE, PAN SHERWOOD I JA ZGODZILIŚMY SIĘ, ŻE BIAŁA ATLANTYDA ZMIENIŁA SWÓJ KURS O DZIESIĘĆ STOPNI NA WSCHÓD W CIĄGU MINIONYCH DWUDZIESTU CZTERECH GODZIN.

– O PIĘTNAŚCIE STOPNI – POPRAWIŁ SHERWOOD. – PRZYSZED-ŁEM WŁAŚNIE Z PRZEDZIAŁU NAWIGACYJNEGO. OKRĘCIŁA SIĘ O KOLEJ-NYCH PIĘĆ STOPNI PRZED KILKOMA MINUTAMI.

KRANTZ UTRACIŁ CHWILOWO PEWNOŚĆ. – NO... NIE ZMIENIA TO NASZEJ PROGNOZY CO DO OSTATECZNEGO LOSU BIAŁEJ ATLANTYDY.

– MYŚLĘ, ŻE ZMIENIA, I TO ISTOTNIE – OŚWIADCZYŁ SHERWOOD.

– POSUNĘ SIĘ JESZCZE DALEJ I POWIEM, ŻE TERAZ NIE MAMY PROGNOZY.

– W CZORAJ — RZEKŁ SPOKOJNIE KRANTZ — ZGADZALIŚMY SIĘ OBAJ, ŻE ATLANTYDĘ W KOŃCU ZABIERZE GOLFSZTROM I ZEPCHNIE NA ZACHÓD, ŻE NAJPIRAWDOPODOBNIJ ROZPADNIE SIĘ OSTATECZNIE NA ŚRODKOWYM ATLANTYKU MIĘDZY CZTERDZIESTYM A PIĘCDZIESIĄTYM STOPNIEM DŁUGOŚCI ZACHODNIEJ.

– TO BYŁO W CZORAJ.

– PIĘCIOSTOPNIOWA ZMIANA KURSU NIE ZMIENIA...

– JA MYŚLĘ, ŻE ZMIENIA WSZYSTKO, WALTER — POWIEDZIAŁ SHERWOOD ŁAGODNYM TONEM. — ONA ZMIERZA TERAZ W STRONĘ NOWEGO JORKU.

25

PREZYDENT, STUDIUJĄC MAPĘ WYBRZEŻA MIĘDZY ATLANTIC CITY A WSCHODNIM KRAŃCEM LONG ISLAND, NIE URONIŁ ANI SŁOWA Z TEGO, CO MÓWIŁ ADMIRAŁ PEARSON. WYBRZEŻE TWORZYŁO TU WIELKĄ LEJOWATĄ ZATOKĘ Z NOWYM JORKIEM U UJŚCIA LEJU.

– JEŚLI UWIEŹNIE W ZATOCE — MÓWIŁ PEARSON — I TAM SIĘ ROZPADNIE, TO ZAGWARANTOWANIE BEZPIECZEŃSTWA ŻEGLUGI STANIE SIĘ WRĘCZ NIEMOŻLIWE, CHYBA ŻEBYŚMY JEJ ZABRONILI W OGÓLE. W KOŃCOWYCH ETAPACH ROZPADU BĘDZIEMY MIELI DO CZYNNIENIA NIE Z JEDNĄ GÓRĄ LODOWĄ, LECZ Z KILKOMA TYSIĄCAMI, I KAŻDA Z NICH BĘDZIE MIEĆ MASĘ KILKU MILIONÓW TON.

PREZYDENT MILCZAŁ. ADMIRAŁ PEARSON MÓWIŁ Z GRUBSZA TO SAMO CO OCHRONA WYBRZEŻA I EKSPERCI Z MSL PODCZAS KONFERENCJI ZWOŁANEJ TEGO SAMEGO DNIA, JESZCZE ZANIM PEARSON PRZYLECIAŁ DO WASZYNGTONU Z POKŁADU „EUREKI”.

– TRZEBA ROZWAŻYĆ ASPEKT BEZPIECZEŃSTWA, JEŚLI PODEJMIEMY DZIAŁANIE TERAZ, GDY GÓRA LODOWA JEST WCIAŻ ODDALONA O DWIEŚCIE MIL OD BRZEGÓW — MÓWIŁ DALEJ PEARSON. — PRZED KILKOMA DNIAМИ REJON BIAŁEJ ATLANTYDY UZNALIŚMY ZA STREFĘ ZAKAZANĄ, NIE MA WIĘC WŁAŚCIWIE PROBLEMU. TRZEBA TYLKO, ŻEBY FEDERALNA AGENCJA LOTNICZA ZROBIŁA TO SAMO, A INTENSYWNE PATROLE LOTNICTWA ZAŁATWIĄ RESZTĘ. — PEARSON ZROBIŁ PRZERWĘ. Z KAMIENNEGO WYRAZU TWARZY PREZYDENTA NIE MOŻNA BYŁO WYSONDOWAĆ, JAKIE WRAŻENIE WYWARŁY NA NIM SŁOWA ADMIRAŁA.

– PONADTO COŚ JESZCZE, PANIE PREZYDENCIE. NIE JESTEM ZNAWCĄ TAKICH SPRAW I NIE CHCIAŁBYM NAWET OCENIAĆ EKONOMICZNYCH SKUTKÓW PRZEDŁUŻAJĄCEGO SIĘ ZAKAZU ŻEGLUGI DLA NOWEGO JORKU, A WŁAŚCIWIE NAWET DLA CAŁEGO KRAJU.

PREZYDENT MIAŁ PRZED SOBĄ TE DANE. NIE BYŁA TO PRZYJEMNA LEKTURA. ŻEGLUGA MORSKA JAKOBY PODUPADAŁA, NIEMNIEJ EKSPORT DO EUROPY PRZEZ NOWY JORK NADAL SIĘGAŁ MILIONÓW DOLARÓW DZIENNIE.

– JAKIE RZĘDU ŁADUNEK MA PAN NA MYŚLI? – SPYTAŁ PREZYDENT.

PYTANIE DAŁO PEARSONOWI NADZIEJĘ. – GENERAŁ WARREN FLOYD MÓWI, ŻE POWINNIŚMY ZACZAĆ OD JEDNEJ MEGATONY. CZYSTY ŚRODEK, BEZ NIEBEZPIECZEŃSTWA SKAŻENIA.

– JAK GŁĘBOKO W LODZIE?

– SZEŚCIESET STÓP. NIE NARUSZYMY UKŁADU O ZAKAZIE PRÓB NUKLEARNYCH. – PEARSON POWSTRZYMAŁ SIĘ OD DODANIA, ŻE WIERCENIE ZGODNIE ZE SPECYFIKACJĄ GENERAŁA FLOYDA JUŻ ROZPOCZĘ-

TO W PRZEWIDYWANIU, ŻE PREZYDENT SIĘ ZGODZI.

– TO WIĘCEJ NIŻ LIMIT STU DWUDZIESTU KILOTON USTALONY DLA PRÓB PODZIEMNYCH – ZAUWAŻYŁ PREZYDENT.

– ROSJANIE WYSTAWILIBY SIĘ NA KPINY ŚWIATA, GDYBY ZACZĘLI ROBIĆ SZUM Z POWODU JEDNEJ MEGATONY – ODPAROWAŁ PEARSON. PREZYDENT ODSUNĄŁ NA BOK MAPĘ I ZACZAŁ CZYTAĆ ZASZYFROWANY ROZKAZ, NA KTÓRYM BRAKOWAŁO TYLKO JEGO PODPISU. WESTCHNAŁ I UJĄŁ PIÓRO.

– OKEJ – RZEKŁ STANOWCZYM TONEM I PODPISAŁ DOKUMENT. BYŁ TO TRZECI WYPADEK W DZIEJACH, GDY AMERYKAŃSKI PREZYDENT ZAAPROBOWAŁ UŻYCIĘ ŚRODKA TERMONUKLEARNEGO PRZECIW NIEPRZYJACIELOWI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

26

– OSIĄGNĘLIŚMY PIĘCIESET PIĘCDZIESIĄT STÓP – OZNAJMIŁ GENERAŁ WARREN FLOYD, OPADAJĄC SWYM CIĘŻKIM CIAŁEM NA KRZESŁO W KABINIE ADMIRAŁA PEARSONA. – I WSTRZYMALIŚMY WIERCENIA. PEARSON WYGLĄDAŁ NA ZASKOCZONEGO. – DLACZEGO?

– NATRAFILIŚMY NA PROBLEM.

– CO ZA PROBLEM? – SKŁONNOŚĆ GENERAŁA FLOYDA DO WYPOWIADANIA KRÓTKICH, PEŁNYCH NIEDOMÓWIEN ZDAŃ WYDAŁA SIĘ PEARSONOWI NIEZWYKLE FRUSTRUJĄCA. JAK SIĘ PRZEKONAŁ, GENERAŁ NIE

LUBIŁ DOBROWOLNIE UDZIELAĆ INFORMACJI. TRZEBA JE BYŁO Z NIEGO WYCIĄGAĆ ZADAJĄC PYTANIE PO PYTANIU.

– HAŁAS – ODPARŁ GENERAŁ FLOYD.

– JAKI HAŁAS?

– JA GO NIE SŁYSZAŁEM.

WSPANIALE, POMYŚLAŁ PEARSON.

– ZA TO MOI CHŁOPCY SŁYSZELI.

– I MÓWIĄ, ŻE CO TO ZA DŹWIĘK?

GENERAŁ FLOYD ROZWAŻYŁ SKUTKI ROZSTANIA SIĘ Z TĄ INFORMACJĄ.

– REGULARNY STUKOT.

PEARSON W DUCHU JĘKNAŁ. – TAK, WIEMY O NIM, GENERALE. PAN WALTER KRANTZ I INNE OSOBY SĄ ZDANIA, ŻE WYWOŁUJĄ GO NAPRĘŻENIA W LODZIE.

GENERAŁA FLOYDA ZMARTWIŁO, JAK SIĘ WYDAWAŁO, ODKRYCIE, ŻE JEGO BEZCENNA INFORMACJA JEST OGÓLNIENIEM.

– ZATEM PROWADZIMY WIERCENIA DALEJ?

– TAK, PROSZĘ PROWADZIĆ, GENERALE.

GENERAŁ FLOYD BYNAJMNIEJ NIE ZABIERAŁ SIĘ DO OPUSZCZENIA KABINY. – I JESZCZE COŚ.

PEARSON CZekał. ZACZYNAŁ ROZUMIEĆ, DLACZEGO TO WŁAŚNIE GENERAŁ FLOYD ODPOWIADA ZA DZIAŁ ZAOPATRZENIA NUKLEARNEGO.

– JUTRO O DZIEWIĄTEJ ZERO ZERO PRZYBĘDZIE URZĄDZENIE.

– PRYZNANIE SIĘ DO TEGO SPRAWIŁO FLOYDOWI POWAŻNY BÓL, ALE ZNIÓSŁ GO NADZWYCZAJ DOBRZE.

– TAK.

»

– URZĄDZENIE NUKLEARNE.

– TAK. – PEARSON ZASTANAWIAŁ SIĘ, KIEDY FLOYD DOTRZE DO SEDNA.

– MA PAN NA POKŁADZIE DWIE OSOBY NIE BĘDĄCE OBYWATELAMI AMERYKAŃSKIMI – OŚWIADCZYŁ FLOYD OSKARŻYCIELSKIM TONEM, PORUSZAJĄC WRESZCIE MERITUM SPRAWY.

- JULIĘ HAMMOND I GLYNA SHERWOODA – RZEKŁ PEARSON OSTRO, PRZECZUWAJĄC KŁOPOTY. – I ZANIM POSUNIE SIĘ PAN DALEJ, GENERALE, MUSI PAN WIEIETEIEĆ, ŻE TA DWÓJKA ODDAŁA MI NIEOCENIOWANE USŁUGI PRZY BORYKANIU SIĘ Z BIAŁĄ ATLANTYDĄ.
- TERAZ TO JA BĘDĘ PANU ODDAWAĆ NIEOCENIONE USŁUGI
- OZNAJMIŁ SUCHO FLOYD. – BARDZO MI PRZYKRO, ADMIRALE, ALE NIE MOGĄ TU JUTRO BYĆ. ICH PRACA SIĘ SKOŃCZYŁA, PROPONUJĘ WIĘC, ŻEBY ICH PAN WYSŁAŁ DO NOWEGO JORKU NA DOBRZE ZASŁUŻONY ODPOCZYNEK.
- ALE O CO CHODZI, GENERALE? NIE JEST SEKRETEM TO, ŻE ZAMIERZAMY UŻYĆ JUTRO URZĄDZENIA NUKLEARNEGO. OZNAJMIŁEM O TYM PRASIE I BĘDZIEMY TO POKAZYWAĆ W TELEWIZJI-
- MUSZĄ ODEJŚĆ – RZEKŁ KATEGORYCZNIE FLOYD. – PRZYKRO MI, ADMIRALE.

27

URZĄDZENIE TO BYŁOBY MARZENIEM TERRORYSTÓW.

MIAŁO NIECAŁE DWADZIEŚCIA CALI ŚREDNICY, DŁUGOŚĆ CZTERDZIESTU PALI I BYŁO NA TYLE LEKKIE, ŻE MOGŁO JE NIEŚĆ TRZECH LUDZI.

ZE WZGLĘDU NA BEZPIECZEŃSTWO ZE ŚMIGŁOWCA DO UJŚCIA SZYBU WYDRAŻONEGO NA GŁĘBOKOŚĆ SZEŚCIUSET STÓP W LODOWYM SERCU BIAŁEJ ATLANTYDY PRZENIOSŁO JE SZEŚCIU MĘŻCZYZN. POTEM PRZYCZEPILI JE DO WCIĄGARKI MECHANICZNEJ ROZKRACZONEJ NAD OTWOREM, PODŁĄCZYLI LINKĘ STEROWNICZĄ I ZACZĘLI WOLNO I OSTROŻNIE OPUSZCZAĆ SZYBEM W DÓŁ. KIEDY URZĄDZENIE ZNALAZŁO SIĘ JUŻ NA MIEJSCU, BULDOŻERY PRZYSTĄPIŁY DO SPYCHANIA TON TOPNIEJĄCEGO LODU, ŻEBY ZATKAĆ NIM SZYB. TRWAŁO TO DWIE GODZINY. SZEŚCIU MĘŻCZYZN NASTĘPNIE POWRÓCIŁO, BY NAD ZAKORKOWANYM SZYBEM USTAWIĆ NIEWIELKĄ PREFABRYKOWANĄ WIEŻĘ. NA SZCZYCIE TEJ KONSTRUKCJI O WYSOKOŚCI DWADZIESTU STÓP UMIESZCZONO FOTOELEKTRYCZNY ODBIORNIK LASEROWY. STEROWANIE RADIOWE UZNANO ZA ZBYT NIEBEZPIECZNE – NIEZLICZONE NOWOJORSKIE PRYWATNE I PUBLICZNE NADAJNIKI ZAJMOWAŁY ZNACZNY PROCENT WIANIA RADIOWEGO, NAWET W ODLEGŁOŚCI DWUSTU MIL OD BRZEGU.

O TRZECIEJ PO POŁUDNIU, TRZY GODZINY PRZED WYBUCEM, NA BIAŁEJ ATLANTYDZIE WSZYSTKO JUŻ BYŁO PRZYGOTOWANE.

TRZYDZIEŚCI

MIL NA ZACHÓD ZNAJDOWAŁ SIĘ LOTNISKOWIEC USS „SARATOGA”.

GOTÓW BYŁ TEŻ BEZZAŁOGOWY SAMOŁOT UMIESZCZONY NA WYRZUTNI KATAPULTY.

28

SHERWOOD I JULIA PRZESTALI ROZMAWIAĆ, GDY NA EKRANIE POJAWIŁ SIĘ PREZENTER DZIENNIKA TELEWIZYJNEGO, ŻEBY ZAPOWIEDZIEĆ BEZPOŚREDNIA, NA ŻYWO, TRANSMISJĘ Z „EUREKI”.

JULIA PRZESZŁA PRZEZ HOTELOWY POKÓJ I NASTAWIŁA TELEWIZOR GŁOŚNIEJ. – TO NIE W PORZĄDKU – ZAUWAŻYŁA, KLĘKAJĄC Z BOKU EKRANU I OBSERWUJĄC ROZMOWĘ REPORTERA Z ADMIRAŁEM PEARSONEM. – NAS WYKOPALI, ALE SPROWADZILI SOBIE REPORTERÓW.

– NIE JEST TO WINA ADMIRAŁA – RZEKŁ SHERWOOD. – CZY MOGLIBYŚMY OGLĄDAĆ BEZ TWOJEGO KOMENTARZA?

PATRYLI W MILCZENIU, JAK PEARSON WYJAŚNIA, ŻE BEZZAŁOGOWY STEROWANY PRZEZ RADIO SAMOŁOT WYŚLE ZAKODOWANY LASEROWY IMPULS NA WIEŻĘ ZNAJDUJĄCĄ SIĘ NA BIAŁEJ ATLANTYDZIE, ODPALAJĄC NUKLEARNE URZĄDZENIE.

NA EKRANIE POJAWIŁO SIĘ UJĘCIE Z PERSPEKTYWY OLBRZYMIJ GÓRY LODOWEJ.

– OBRAZ, NA KTÓRY PAŃSTWO PATRZĄ, POCHODZI Z KAMERY TELEWIZYJNEJ ZAINSTALOWANEJ NA POKŁADZIE BEZZAŁOGOWEGO SAMO-

LOTU – WYJAŚNIŁ GŁOS ADMIRAŁA PEARSONA.

REPORTER USIŁOWAŁ Z NIEGO WYDOSTAĆ OCENĘ EWENTUALNEGO WYNIKU OPERACJI, ALE PEARSON UDZIELIŁ WYMIJAJĄCEJ ODPOWIEDZI.

– CZY TO COŚ DA? – ZAPYTAŁA JULIA.

SHERWOOD WZRUSZYŁ RAMIONAMI. – BÓG JEDEN WIE. MEGAFO-
NOWE BOMBY TO CAŁKIEM NOWE ZABAWKI, JAK TO OKREŚLAJĄ.

NA DOLE EKRANU UKAZYWAŁY SIĘ CYFERKI WSKAŹNIKA UPŁYWAJĄCEGO CZASU. JESZCZE DWIE MINUTY DO ODPALENIA.

– TYM RAZEM TO CHYBA TAK, JAKBY UŻYĆ RĘCZNEGO GRANATU DO WYSADZENIA MOUNT EVERESTU – ZAKPIĘŁA JULIA.

SHERWOOD UŚMIECHNĄŁ SIĘ SZEROKO. – BARDZO DOBRZE, PANNO

HAMMOND.

BEZZAŁOGOWY SAMOŁOT OKRĄŻAŁ GÓRĘ LODOWĄ W ODLEGŁOŚCI TRZECH MIL, A JEGO CIEŃ PRZYPOMINAJĄCY KOMARA PRZESUWAŁ SIĘ KAPRYŚNIE PO NIERÓWNEJ POWIERZCHNI MILCZĄCYCH, ZADUMANYCH KLIFÓW.

– JEST WIEŻA! – POWIEDZIAŁA NAGLE JULIA.

NA EKRANIE POJAWIŁA SIĘ NA CHWILĘ BŁYSZCZĄCA KRATOWNICA LASEROWEGO CELU.

JEDNA MINUTA.

SAMOŁOT ODLECIAŁ. NA EKRANIE NIE BYŁO ZNÓW NICZEGO PRÓCZ MORZA I DALEKICH SYLWETEK MAŁYCH JAK ZABAWKI STATECZKÓW. JAKIŚ GŁOS CEDZĄC SŁOWA OZNAJMIŁ, ŻE TERMONUKLEARNE URZĄDZENIE ZOSTAŁO JUŻ UZBROJONE.

. KAMERA NA „EURECE” POKAZAŁA REPORTERA I ADMIRAŁA PEARSONA PATRZĄCYCH NA MONITOR POZA KADREM.

– SAMOŁOT ZROBI TERAZ KRĄG ROZPOCZYNAJĄC ZBLIŻANIE SIĘ

– WYJAŚNIAŁ PEARSON.

POJAWIŁO SIĘ ZNOWU BEZKRESNE MORZE. FAŁOWAŁO NA EKRANIE, POTEM USPOKOIŁO SIĘ, GDY ZMATERIALIZOWAŁY SIĘ KONTURY BIAŁEJ ATLANTYDY.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ SEKUND.

– SAMOŁOT MA OKOŁO DZIESIĘCIU MIL DO CELU – ZAKOMUNIKOWAŁ GŁOS PEARSONA – I SKIERUJE WIĄZKĘ PROMIENI, GDY ZNAJDZIE SIĘ W ODLEGŁOŚCI TRZECH MIL.

– CO SIĘ STANIE Z SAMOŁOTEM PO DETONACJI, ADMIRALE?

– ZAKŁADA SIĘ, ŻE NIE ZOSTANIE USZKODZONY PRZEZ LATAJĄCE ODŁAMKI LODU I BĘDZIE MÓGŁ WYLĄDOWAĆ NA „SARATODZE”. TO NIEZWYKLE CENNY SPRZĘT.

– ALE NIE TAK CENNY JAK NOWOJORSKA ŻEGLUGA?

W POKOJU HOTELOWYM ZABRZMIAŁ DONOŚNY ŚMIECH PEARSONA.

– RACJA.

TRZYDZIEŚCI SEKUND.

KONTURY BIAŁEJ ATLANTYDY NAGLE NABRAŁY OSTROŚCI I STOPNIOWO UWYDATNIŁY SIĘ POSZCZEGÓLNE, POSZARPANE, KRUSZĄCE SIĘ LODOWE STERTY. JULIĘ OGARNĘŁO PODNIECENIE, GDY TAK PATRZYŁA NA SKAZANĄ NA ZAGŁADĘ BIAŁĄ ATLANTYDĘ. WYDAWAŁA JEJ SIĘ ZBYT PIĘKNA, BY JĄ

NISZCZYĆ. POTEŁ PRZYPOMNIAŁA SOBIE „ORIONA”, TRUMNY USTAWIONE RZĘDEM NA MAŁYM OTOCZONYM MUREM CMENTARZYKU NA WYSPACH ZIELONEGO PRZYŁĄDKA I OAFĄ. DROGIEGO, POCZCIWEGO OAFĄ...

– DZIESIĘĆ SEKUND – DOBIEGŁ UROCZYSTY GŁOS Z GŁOŚNIKA TELEWIZYJNEGO.

JULIA CHWYCIŁA RĘKĘ SHERWOODA I ŚCISNĘŁA JĄ PATRZĄC NA ROSNĄCEGO W OCZACH POTWORA, KTÓRY WCIAŻ BYŁ WIELKOŚCI POŁOWY LONG ISLAND. WIEŻA ZNALAZŁA SIĘ NA ŚRODKU EKRANU I PĘDZIŁA Z NIEPRAWDOPODOBNAŁ PRĘDKOŚCIĄ W STRONĘ KAMER.

– PIĘĆ... – ODLICZYŁ UROCZYSTY GŁOS. – CZTERY...

JULIA BEZWIEDNIE ZACISNĘŁA PALCE NA RĘCĘ SHERWOODA.

– TRZY... DWA... JEDEN... – GŁOS ODLICZAJĄCEGO POZBAWIONY BYŁ WYRAZU.

CIENKA WIĄZKA PROMIENI BŁYSNĘŁA W KIERUNKU WIEŻY Z JEDNEJ STRONY EKRANU.

– ODPALANIE ROZPOCZĘTO. MAMY DETONACJĘ.

NIC SIĘ NIE STAŁO. GDY BEZZAŁOGOWY SAMOŁOT ZAKRĘCIŁ, KAMERZYŚCIE NA „EURECE” UDAŁO SIĘ PRZY UŻYCIU ZDALNEGO STEROWANIA UTRZYMAĆ W KADRZE BIAŁĄ ATLANTYDĘ.

– MINUS JEDNA... DWIE... – CEDZIŁ SŁOWA GŁOS. – NARASTA CIŚNIENIE.

ĆWIERĆ MILI KWADRATOWEJ LODU Z WIEŻĄ POŚRODKU WYBRZUSZYŁO SIĘ W GÓRĘ. CHWILA NIEZDECYDOWANIA, GDY DWIE SIŁY – MASA LODU I UWIĘZIONA ENERGIA NUKLEARNEGO PIEKŁA – ZMAGAŁY SIĘ ZE SOBĄ. NUKLEARNE URZĄDZENIE ZWYCIĘŻYŁO. NASTĄPIŁA BIAŁA ERUPCJA, NIEZLICZONE TONY LODU WYLECIAŁY Z PRĘDKOŚCIĄ DŹWIĘKU W POWIETRZE. EKSPLOZJA TRWAŁA, JAK SIĘ ZDAWAŁO, WIECZNIE: ZE STALE

POSZERZAJĄCEGO SIĘ KRATERU TRYSKAŁY W NIEBO BEZ PRZERWY LÓD, WODA I PARA.

– FIASKO! – OZNAJMIŁ SHERWOOD PATRZĄC WZROKIEM BEZ WYRAZU NA EKRAN TELEWIZORA. – MÓJ BOŻE! FIASKO!

ODGŁOS KOŁOSALNEJ ERUPCJI DOTARŁ DO MIKROFONU W BEZZAŁOGOWYM SAMOLOCIE. NAGŁY HUK ZOSTAŁ ZNIEKSZTAŁCONY PRZEZ APARATU-

RĘ FONICZNĄ, KTÓRA NIE MOGŁA UPORAĆ SIĘ Z BARBARZYŃSKIM ATAKIEM NA JEJ SYSTEMY.

– FIASKO! – POWTARZAŁ SHERWOOD.

– DLACZEGO? – SPYTAŁA JULIA, NIE MOGĄC ODERWAĆ WZROKU OD ZAMIECI O PŁATKACH ŚNIEGU WIELKOŚCI DOMU, KTÓRE TYLKO CUDEM NIE UDERZYŁY W BEZZAŁOGOWY SAMOŁOT.

– GÓRA LODOWA POWINNA SIĘ BYŁA ROZWALIĆ, ROZPAŚĆ. A TYMCZASEM UDAŁO IM SIĘ TYLKO WYRWAĆ W NIEJ CHOLERNIE WIELKĄ DZIURĘ.

JULIA NADAŁ SPOGLĄDAŁA NA EKРАН. – ALE ZOBACZ, JAKIEJ WIELKOŚCI TO DZIURA! ZOBACZ NO!

STRASZNA RANA ZIEJĄCA NA BIAŁEJ ATLANTYDZIE MIAŁA NAJMNIEJ DWIE MILE ŚREDNICY – DWA RAZY TYLE CO KRATER PO UDERZENIU METEORYTU NA PUSTYNI ARIZOŃSKIEJ. SHERWOOD POTRZAŚNĄŁ ZE SMUTKIEM GŁOWĄ.

– TAK... JEST WIELKA. WĄPIĘ JEDNAK, CZY WYSADZILI W POWIETRZE WIĘCEJ LODU NIŻ BIAŁA ATLANTYDA TRACI NORMALNIE W CIĄGU JEDNEGO DNIA.

29

LÓD RUSZYŁ.

NIE ZAWIÓDŁ. NIE MOŻNA GO BYŁO ZATRZYMAĆ. ANI ZNISZCZYĆ.

PORUSZAŁ SIĘ BARDZO WOLNO. JAKBY OPANOWAŁ GO ŚLEPY, LECZ NIEOMYLNÝ INSTYNKT.

A BYŁ TO INSTYNKT ZABIJANIA.

30

KU ROZGORYCZENIU SHERWOODA NIEZASPOKOJONY APETYT JULII NA NOWY JORK I JEGO SKLEPY UTRZYMYWAŁ SIĘ I NASTĘPNEGO DNIA WCIĄŻ BYŁ TAKI SAM. UPARCIE CIĄGAŁA GO ZE SOBĄ NA ZAKUPY I W RÓŻNE ATRAKCYJNE TURYSTYCZNE MIEJSCA – A OBU TYCH RZECZY NIE ZNOSIŁ Z CAŁEJ DUSZY.

WYSZLI WŁAŚNIE Z DOMU TOWAROWEGO „MACYŃ” – ON OBŁADOWANY PACZKAMI, ONA UBRANA W NAJNOWSZY NABYTEK. JULIA PRZYPATRYWAŁA SIĘ WSPANIAŁEMU WYNIOSŁEMU BUDYNKOWI ZA HERALD SQUARE, TYMCZASEM SHERWOOD MACHAJĄC PRÓBOWAŁ ZATRZYMAĆ TAKSÓWKĘ I NIE UPUŚCIĆ JEDNOCZEŚNIE PAKUNKÓW.

– TO EMPIRE STATE BUILDING, PRAWDA. GLYN?

Jaskrawożółte taksówki mknące w fali ruchu ulicznego po Broadwayu pozostały obojętne wobec Sherwooda.

– Tak – warknął zirytowany, nie trudząc się sprawdzeniem, na co Julia patrzy.

– Byłeś kiedy na górze?

– Nie.

– Chciałabym tam pójść.

– Później.

– Teraz.

– Musimy potwierdzić w liniach lotniczych nasz odlot do Londynu. Czyżbyś nie zamierzała wrócić do domu? Ponadto jest mgiełka, guzik zobaczysz.

Wywieszka w niezrównanym marmurowym westybulu Empire State Building informowała, że widoczność na galerijce jest nieograniczona. Zeszli na dół do poziomu dojazdu i tam Sherwood niechętnie kupił dwa bilety. Na górze siedział nadąsany w barze, póki Julia nie zmusiła go do podziwiania widoków.

– Miałam nadzieję, że zjemy dziś wieczorem kolację w jakiejś restauracji, takiej na przykład jak „Cztery Pory Roku”

– powiedziała zagniewana. – Chciałam choć raz włożyć na siebie coś przyzwoitego. Ale jeśli myśl o wyjściu ze mną wydaje ci się tak wstrętne, to ograniczmy się do zjedzenia hamburgera!

Jakiś turysta uśmiechnął się do nich. – Jeśli chcecie się kłócić, to się nie krępujcie. – Usłużnie nastawił głośniej swoje przenośne radio. Tego dnia w dziennikach mówiono głównie o Białej Atlantydzie i niewiele o innych sprawach.

Julia oparła się o balustradę i patrzyła ze zdumieniem w dół na krzątających się niczym mrówki na mikroskopijnych chodnikach ludzi, osiemdziesiąt sześć pięter pod nimi. Zajrzała do swojej broszury.

– O rety, jesteśmy na wysokości tysiąca pięciuset stóp.

Sherwood pokiwał głową. Słuchał radia tego turysty. Biała Atlantyda dryfowała wolno w stronę Nowego Jorku. Jakiś mędrzec w studio rozwijał teorię o ewentualnym efekcie ekologi-

cznym, jaki topniejąca słodka woda wyrze na życie morskie.

– Jak to jest, że na Manhattanie mogą stać tak wysokie budynki? Zapomnij o Białej Atlantydzie, teraz to już nie nasza sprawa.

Sherwood dalej słucał radia. Julia musiała powtórzyć swoje pytanie.

– Przepraszam – rzekł Sherwood. – Co mówiłaś?

– Jak to jest, że w Nowym Jorku buduje się takie kolosalne drapacze chmur?

– Każdy uczeń w szkole wie dlaczego. Pod osadami lodowcowymi Manhattanu znajduje się skała metamorficzna o dużej zwartości, manhattański łupek. Schodzi w dół na parę tysięcy stóp. To najwspanialsza platforma budowlana, jakiej mógłby życzyć sobie każdy inżynier. Jakkolwiek oni przeklinają go, gdy muszą wiercić tunel.

Słowa zamarły mu w ustach. Julia spojrzała na niego bacznym wzrokiem. Ożywienie znikło z jego twarzy. Zesztywniał z wrażenia.

– Glyn, co się stało?

Poruszył wargami.

– Co się stało? Musisz mi powiedzieć! – Julia nagle bardzo się zlekła. Na twarzy Sherwooda malowała się niewypowiedziana groza.

– Glyn, co to takiego?

Sherwood spoglądał na nią szeroko rozwartymi przerażonymi oczami, ale jego wzrok przechodził obok niej i kierował się w stronę odległego mostu wiszącego Verrazano-Narrows i otwartego morza za nim. Nagłe złapał Julię za rękę.

– Prędko! – krzyknął głosem chrapliwym od strachu.

– Musimy skontaktować się z admirałem Pearsonem!

31

– Proszę – błagał Sherwood. – To sprawa życia i śmierci. Proszę, niech pan porozumie się z „Eureką” i powie im, że Glyn Sherwood chce mówić z admirałem Pearsonem. On będzie ze mną rozmawiał.

Strażnik z Ochrony Wybrzeża usprawiedliwiał się. – Przykro mi, ale admirał jest zajęty. Widział pan dziennik? Sherwood oparł dwie ręce na biurku strażnika. – Niech pan posłucha. Kiedyś tu pracowałem. Wiem, gdzie jest pokój łączności. Jeśli pan się nie ruszy, i to już, przejdę przez te drzwi i połączę się z admirałem sam!

Strażnik wstał. – Nie pójdziesz nigdzie, przyjacielu. Masz dowód tożsamości?

Julia próbowała powstrzymać Sherwooda przed przepchnięciem się obok strażnika. – Nie wygłupiaj się, Glyn.

Strażnik złapał go za rękę, okręcił i przytrzymał w mocnym uścisku.

– Teraz sobie pan siądzie – rzekł lekkim tonem – i powie mi, kim pan jest, i przedstawi, jak należy, o co chodzi. Okej?

Sherwood zaklął. Julia przeszukiwała rozpaczliwie torebkę. Ich paszporty zostały w hotelu.

Znajomy głos za nią powiedział: – Wygląda na to, że wy dwoje znowu napytaliście sobie kłopotów.

Rozdział jedenasty

32

Gus Maguire, burmistrz Nowego Jorku, był na zebraniu zarządu portu, na którym dyskutowano o proponowanym katastrofalnym zakazie żeglugi w rejonie Nowego Jorku, gdy otrzymał pilną wiadomość, żeby wrócił do Gracie Mansion. Godzinę później znalazł się z powrotem w swoim gabinecie. Z jego twarzy zniknął goszczący na niej zwykle wyraz dobrego humoru, gdy spoglądał w dół na plan Nowego Jorku rozpostarty na biurku i słuchoł Sherwooda. Admirał Pearson powiedział swoje i teraz milczał.

– Jak wyjaśnił admirał Pearson – mówił Sherwood – Biała Atlantyda ma masę czterystu miliardów ton i przesuwają się w kierunku szelfu kontynentalnego przy wybrzeżu nowojorskim z prędkością wahającą się od półtora do dwu węzłów.
– A potem osiadzie na mieliźnie – rzekł Maguire – i za-

cznie się rozpadać. Tak, admirale?

Sherwood zastanawiał się, jak wyłożyć sprawę nie zaprzeczając opinii najwyższego urzędnika miejskiego. Wahał się.

– Hm... To nie takie proste, panie burmistrzu. A przynajmniej ja myślę, że nie...

Maguire czekał cierpliwie.

– To kwestia olbrzymiej masy Białej Atlantydy i kolosalnej nagromadzonej w tej masie energii kinetycznej. – Sherwood wskazał na wyspę Manhattan. – Większość Nowego Jorku stoi na skale metamorficznej, to znaczy takiej, która ulega zmianie pod wpływem ciepła lub ciśnienia albo obu czynników łącznie.

– Żałowałem, że burmistrz nie zadaje mi pytań i zmusza go tym samym do wyszukiwania słów. – Wszystkie skały metamorficzne, kwarc i tak dalej, mają jedną wspólną cechę, a mianowicie są niebywale twarde i zwarte. Manhattański łupek należy do najtwardszych.

– Co manhattańskiego? – przerwał Maguire.

– Manhattański łupek. Jest to metamorficzna skała całkiem typowa dla tej wyspy i sięga pod same osady lodowcowe i muł hudsonski aż do szelfu kontynentalnego.

– Co to takiego te osady lodowcowe? – spytał Pearson, zauważywszy coraz bardziej niezadowoloną minę burmistrza. Sherwood pozbył się swojej początkowej nerwowości. – To gruz skalny przyniesiony z gór przez lodowce w epoce lodowej. Jest to semimorficzna, homogeniczna masa gliny zwałowej, piasku, żwiru i innych glacialnych narzutów, która pokrywa dużą część Manhattanu na głębokość aż dziewięćdziesięciu stóp. Może do pewnego stopnia zamortyzować niektóre fale uderzeniowe, ale ja wątpię, czy...

Maguire otworzył szeroko oczy. – Jakie fale uderzeniowe?

– ...Wszyscy budowniczowie waszych drapaczy chmur przekopywali się przez osad lodowcowy, żeby dojść do skalnego podłoża, na którym będą budować...

– Jakie fale uderzeniowe? – zagrział Maguire.

– Zwarte warstwy o dużej gęstości przekazują fale uderzeniowe na duże odległości przy bardzo niewielkiej utracie energii

– odparł Sherwood. – Jeśli Biała Atlantyda utrzyma się na swoim obecnym kursie, to za jedenaście dni, licząc od dziś, uderzy w szelf kontynentalny i wyzwoli więcej energii sejsmicznej niż obsunięcie się o dziesięć jardów Uskoku Świętego Andrzeja. Cały Nowy Jork będzie trząść się i dzwonić niczym dzwon.

33

Fala uderzeniowa wstrząsnęła fundamentami miasta o czwartej rano, gdy większość mieszkańców pogrążona była we śnie.

Budynek Woolwortha zatoczył się jak pijany i sychnął tynkiem, gdy otrzepywał się niczym mokry pies. Wieże Światowego Centrum Handlu przechyliły się niczym maszty szkunera podczas szalejącego sztormu, a potem runęły. Sztuczny kanion Wall Street wypełniał się pod wpływem spadających zwieńczeń i gruzów. Śmiercionośna fala uderzeniowa przetoczyła się przez pięć dzielnic miasta – fala całkowitej zagłady, która zdziesiątkowała trzysta mil kwadratowych w niecałe trzy sekundy. Zapadła cisza. Nic się nie ruszało. Potem słychać było kroki, kiedy wstrząśnięci świadkowie symulowanej katastrofy zeszli się wokół olbrzymiego modelu: Sherwood i admirał Pearson, Gus Maguire, Jonas Steele — gubernator stanu Nowy Jork — i dwaj rządowi naukowcy z amerykańskiego Narodowego Centrum Badań Sejsmicznych w Menlo Park w pobliżu San Francisco.

Nikt się nie odzywał, podczas gdy dwaj naukowcy badali perforowane paski papieru, które w czasie tego trzysekundowego sztucznego trzęsienia ziemi wypluła z siebie ich aparatura rejestrująca. Znajdowali się w dużym nie używanym magazynie na West Side, dwie przecznice od budynku Columbia Broadcasting System na Dziesiątej Alei. To właśnie technicy od specjalnych efektów tej stacji pracowali bez przerwy przez dwie doby pod nadzorem dwu rządowych naukowców, budując olbrzymi model. Nie był to model kompletny •— nie dałoby się go zrobić w tak krótkim czasie – znajdowały się tam jednak wszystkie ulice i mosty wraz z pewną liczbą głównych budynków reprezen-

tujących wszystkie rodzaje metod konstrukcyjnych stosowanych w Nowym Jorku. Budynkom brakowało drobnych szczegółów, ale ich rozmiary, a także wytrzymałość odpowiadały rzeczywistym proporcjom. Przed symulowanym trzęsieniem ziemi profesor Gemell, starszy z dwójki naukowców, zademonstrował wytrzymałość modelu uruchomiwszy wentylator, który udawał wicherę o prędkości stu pięćdziesięciu mil na godzinę. Budynki zachwiały się wyraźnie.

To właśnie on zabrał głos jako pierwszy. – Panowie, nie mogę podać dokładnych danych, póki nie przetelegrafujemy tych zapisów do Menlo Park, żeby przetworzyli je na naszym komputerze, ale mogę podać przybliżone. – Zrobił gest w stronę zawieszonoego na suwnicy bramowej głazu, którego użyto do wytworzenia fali uderzeniowej. – Kiedy góra lodowa uderzy, to możemy oczekiwać przyspieszenia jednego metra na sekundę.

– Co to oznacza? – spytał zirytowany Maguire.

– To oznacza silne trzęsienie ziemi – odpowiedział Sherwood.

Gemell się uśmiechnął. – Słusznie. I nie tylko trzęsienie ziemi. Pan Sherwood mówi, że istnieje niebezpieczeństwo przewrócenia się góry lodowej.

Maguire zamknął oczy i jęknął.

– Jeśli to się wydarzy – ciągnął Gemell – będziemy mieli prawie na pewno falę pływu o znacznej amplitudzie.

– Dużą falę pływu – przetłumaczył Sherwood.

– Manhattan i inne dzielnice, może z wyjątkiem niektórych części Brooklynu, są położone nisko. A potem jest lotnisko Kennedy'ego, La Guardia i Coney Island.

– W porządku – warknął Steele. – Mamy obraz.

– Chryste – mruknął Maguire. – Czy nikt nie może powstrzymać tej przeklętej góry? – W jego głosie dźwięczała nuta rozpacz.

– Próbowaliśmy wszystkiego – rzekł Pearson. – Chodzi o czterysta miliardów ton, panie burmistrzu.

W końcu to gubernator stanu ujął w słowa to, o czym

wszyscy myśleli.

– Będziemy musieli ewakuować Nowy Jork, Gus.

Maguire wyglądał na doprowadzonego do rozpacz.

– Z pewnością gdzieś w tym kraju, ojczyźnie rozwiniętej technologii i bogactwa zasobów, można znaleźć jakiś sposób, żeby zatrzymać kawał lodu?

Odpowiedziała mu cisza.

Maguire opadł na skrzynię używaną do pakowania i wpatrywał się w zniszczony model. – Ewakuować Nowy Jork...

Chryste Panie.

Steele siadł obok niego. – Mamy dziesięć dni, Gus. Wezmę wideo z tej symulacji do gubernatora New Jersey. Z ich policją stanową i naszą policją stanową, i twoją policją miejską... powinniśmy dać sobie radę z przeprowadzeniem kolejnych etapów planu.

– Z pewnością możemy coś zmontować – powiedział Maguire z goryczą. – Usiłuję objąć myślą skalę tej operacji... i... do czorta... nie wydaje mi się, żebym potrafił myśleć jasno.

– Myślałem, że Manhattan i tak ma tendencję do ewakuowania się co wieczór między czwartą a szóstą – zauważył Sherwood.

Maguire popatrzył na geologa z pogardą. – Co za głupia uwaga! Powiem panu coś, Sherwood. Manhattan ma powierzchnię dwudziestu jeden mil kwadratowych i koło dwóch milionów mieszkańców. Brooklyn ma powierzchnię dwukrotnie większą 1 trzy miliony ludzi! Bronx czterdzieści jeden mil kwadratowych i dalsze dwa miliony. Mamy jeszcze Queens, panie Sherwood. Wie pan, jak duże jest Queens? Powiem panu, sio osiemnaście mil kwadratowych. A mieszkańców? Powiem panu i to. Dwa miliony. Następnie marny Richmond... Przypuszczam, że możemy pozostawić Richmond panu Sherwoodowi. Może uda się panu dać sobie radę z ćwierć milionem ludzi, dawał pan sobie przecież do tej pory tak doskonale radę z kilkoma setkami mil sześciennych lodu. Na całym obszarze będzie pan miał ponad dwanaście milionów ludzi. Ludzi, panie Sherwood. Ludzi z domami, podwórkami, rodzinami,

krewnymi, korzeniami. A my będziemy musieli ich ruszyć, pięć procent całej ludności Stanów Zjednoczonych!

Steele położył mu rękę na ramieniu. – Okej, Gus. On nie miał nic złego na myśli.

Maguire obrócił się do Steele'a. – Słuchaj, Jonas. Gdybyśmy nawet mogli ich ruszyć, to gdzie, do diabła, ich przeniesiemy?

– Przykro mi, panie burmistrzu – odezwał się Sherwood, w duchu przeklinając nieadekwatność takich przeprosin. Maguire'owi opadły ramiona. Postarzał się o dziesięć lat. Potrząsnął głową wolno i z niedowierzaniem, jakby rozbrzmiewający echem magazyn, model zniszczonego Nowego Jorku i zgromadzeni wokół niego milczący ludzie byli przerażającymi zjawami z jakiegoś okropnego snu, których nie mógł się pozbyć z podświadomości jak pijawek.

– Co m y poczniemy? – spytał smutno. – Cóż teraz poczniemy?

34

– Gubernator stanu zamierza ogłosić Nowy Jork obszarem klęski żywiołowej i zaapelować o pomoc federalną – powiedział Sherwood, gdy wracali z Julią na piechotę do hotelu. Noc przegnała wszystkie taksówki i zastąpiła je wolno sunącymi ciężarówkami. – Pojechał do gubernatora New Jersey, żeby opracować wspólny plan ewakuacji. Oznajmią to późnym rankiem przez radio i w telewizji.

Dotarli do baru otwartego całą noc.

Julia przystanąła. – Mam ochotę na drinka.

Zaczekała, aż barman odejdzie. – Mówiłeś mi kiedyś o projekcie odholowania gór lodowych na Bliski Wschód. Czy nie można by Białej Atlantydy zatrzymać, gdyby się miało wystarczająco dużo statków?

Sherwood popijał małymi łyчками swój trunek i przyglądał się bez zainteresowania barmanowi pucującemu szklaneczki.

– Żadna siła ziemską nie może jej zatrzymać.

Przypłynął następny klient i usadowił się na stołku przy barze.

- Czytałam kiedyś książkę o karate – powiedziała Julia.
 - Piszą tam, jak wykorzystać większą wagę swojego przeciwnika. Wiesz, o co mi chodzi: kiedy on się pcha, a ty pchasz jego, nagle zamiast pchać pociągasz i on pada. Taka jest teoria. Barman przyjął zamówienie od nowo przybyłego.
 - Rąbnięcie jedną megatoną nie zrobiło na Białej Atlantydzie najmniejszego wrażenia – skomentował Sherwood obserwując barmana, który usiłował wydostać kostki lodu z tacki. Zmarszczył brwi i spojrzął na Julię. – Mogłabyś powtórzyć, co mówiłaś?
 - O czym?
 - O karate.
 - Och, tak. – Julia powtórzyła to, co zapamiętała z przeczytanej kiedyś książki.
- Kostki lodu wypadły grzechocząc z tacki. Sherwood wstał i wziął Julię za rękę. Nie zważając na jej protesty, że jeszcze nie dopiła swego trunku.
- Wiesz – powiedział, kiedy znowu znaleźli się na ulicy
 - całkiem możliwe, że ty i ten barman rozwiążaliście problem.

35

Śmigłowiec amerykańskiej Ochrony Wybrzeża po raz trzeci przelatywał ponad trzystoma milami kwadratowymi Białej Atlantydy. Przegląd dobiegał niemal końca.

– Jeszcze dwa punkty zamocowania tutaj – orzekł Sherwood zaznaczając je na mapie.

Pearson obserwował go z ciekawością. – No i co pan myśli?

Sherwood podsunął na czoło okulary ochronne i potarł oczy. Biała Atlantyda błyszczała w porannym słońcu jak niebiańskie światło ostrzegawcze. – Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, póki nie dostaniemy najświeższych sonografów jej podwodnych profili.

– Na rany Chrystusa, Sherwood, ma pan chyba bzika.

Musi pan przecież mieć pogląd, czy to się uda, czy nie.

– A co mówi Krantz?

– On myśli, że może się udać. Z silnym akcentem na może

Sherwood kiwnął głową. – Raz przynajmniej pan Krantz i ja zgadzamy się ze sobą, admirale. To może się udać. Będziemy musieli jednak cholernie się pospieszyć.

36

Departament Stanu zdecydowanie występował przeciwko pomysłowi, żeby prezydent zaapelował przez radio do całego świata. Argumentowali, że mają do dyspozycji aparat dyplomatyczny zapewniający kontakty z poszczególnymi rządami, mają też odpowiednich ludzi na odpowiednich miejscach, którzy mogliby taką misję wypełnić. Na zakończenie stwierdzili, że wygłoszenie tego rodzaju apelu przez prezydenta Stanów Zjednoczonych uwłaczałoby godności jego urzędu.

Prezydent podważał ich obiekcje punkt po punkcie. Apel miał być skierowany do narodów świata. I jeśli pozytywne, konstruktywne kroki zmierzające do ocalenia Nowego Jorku, domów i środków egzystencji kilku milionów obywateli amerykańskich mogłyby uwłaczać godności, to trudno.

– A poza tym – dodał prezydent – naszkicowałem już swoje przemówienie i sporządziłem notatki, jak należy apel zaaranżować.

37

Sherwood i Julia oglądali wstrząsające wystąpienie prezydenta w zatłoczonym saloniku na pokładzie „Eureki”. Żaluzje opuszczono, zasłaniając oślepiający widok Białej Atlantydy oddalonej pięć mil od statku.

Apel rozpoczął się lotniczym zdjęciem Manhattanu zrobionym z odległej perspektywy i napisem głoszącym: UDERZENIE LODU ZA 200 GODZIN 12 MINUT.

Nie było komentarza, żadnych efektów dźwiękowych, żadnej muzyki. Raz przynajmniej głośniki telewizji amerykańskiej milczały, toteż mały ekran z konieczności przyciągał uwagę. Obraz Manhattanu zniknął, zastąpił go montaż dobrze teraz znanych scen: nowojorscy policjanci stanowi zamykają drogi, regulują ruch i aresztują szabrowników. Pokazano kawalkady karettek przewożących pacjentów z Bellevue przez most Queens-

boro, wynoszenie stalowych skrzyń ze złotem w sztabach i papierami wartościowymi z banków do czekających samochodów pancernych strzeżonych przez czujne szeregi policji miejskiej, rodziny ładuujące swoje mienie do samochodów i przyczep, i wreszcie, widok ze śmigłowca na wielkie obozy dla ewakuowanych położone z dala od miasta na tysiącach hektarów zarekwizowanych gruntów uprawnych. Wszystkie sekwencje starannie zmontowano, tak że nie zawierały wzmianki o wybuchającej wciąż na ulicach Nowego Jorku strzelaninie między łupieżczymi bandami bezwzględnych szabrowników plądrujących wyludnione rejony a równie bezwzględnymi linczującymi bandziorami ze straży obywatelskiej. To, z czym musiała mieć do czynienia ciężko pracująca policja miejska i stanowa, przypominało wojnę domową – jak tylko uporano się z jednym incydentem, używając do tego celu zrzuconych ze śmigłowców granatów z gazem „zniechęcającym”, gdzie indziej wybuchał następny.

Telewizyjne obrazy namiotowych obozów dla ewakuowanych zastąpił animowany film ukazujący uderzenie Białej Atlantydy w kontynentalny szelf. Następnie pokazano rozpadające się wieżowce – film wideo z symulowanej katastrofy wywołanej w magazynie realistycznie zwolniono, tak że nad miastem zawisła chmura pyłu towarzysząc niszycielskiej fali uderzeniowej.

Członek ekipy naukowej z „Eureki”, którego pchnięto kiedyś nożem na Dziesiątej Alei, zauważył: – To chyba najlepsza rzecz, jaka mogła się przydarzyć temu miastu. Ta uwaga zmartwiła jakiegoś nowojorczyka. Pearson już miał się wtrącić, kiedy nagle wszyscy się zorientowali, że prezydent zaczął mówić. Siedział przy biurku, ręce miał lekko rozłożone. Był odprężony, całkowicie panował nad sytuacją.

- Od wczoraj przeprowadzana jest rozłożona na etapy, systematyczna ewakuacja Nowego Jorku i zagrożonych obszarów New Jersey.

Patrzył prosto w kamerę i mówił nie korzystając z notatek.

- Do północy dnia dzisiejszego siedemset pięćdziesiąt tysięcy

naszych zagrożonych obywateli zostanie przeniesionych w bezpieczne miejsce, jutro cztery miliony, a ewakuacja zostanie zakończona z powodzeniem pojutrze. Podczas mojej dzisiejszej bytności w Nowym Jorku rozmawiałem z wieloma rodakami, którzy pracowali i mieszkali tam przez całe życie. Z takimi ludźmi jak Ab Shumann i jego żona Martha, którzy prowadzą delikatesy na Alei Ameryk, Paul i Jean Macintyre, którzy mają sklep z towarami żelaznymi w Greenwich Village, i z wieloma innymi. Wszyscy są ciężko pracującymi obywatelami i nie tylko zainwestowali w Nowy Jork swoje pieniądze, lecz także poświęcili mu własne życie. Wszyscy oni chcą wiedzieć jedno: czy można było uratować miasto przed zagładą? Uratować ich domy i środki utrzymania? Prezydent zrobił przerwę. Jego przemówienie celowo miało charakter niewyszukany.

– Odpowiedź brzmi następująco: przerażające zagrożenie ze strony Białej Atlantydy, mimo jej niewiarygodnych rozmiarów, można powstrzymać.

Znowu przerwał. Uśmiechnął się leciutko. – Pamiętam mego nauczyciela ze szkółki niedzielnej, który mi powtarzał, że wiara przenosi góry. Jest to coś, w co nadal wierzę. Tyle że tym razem musimy góry zatrzymać.

Podniósł lekko głowę i dla podkreślenia sensu swoich słów uderzył zwiniętą pięścią w lewą dłoń.

– I zatrzymamy je. – Kolejna pauza. Po czym spokojnie:

– Lecz czegoś takiego Stany Zjednoczone zrobić same nie zdołają. – Spojrzał mówiąc to w dół, na biurko, a następnie powoli podniósł wzrok i popatrzył w stronę kamery.

– Istnieje plan zwalczenia Białej Atlantydy. Plan tyleż śmiały, ile ryzykowny. Plan, który może się powieść z pomocą boską i przy dobrej woli narodów wolnego świata. Zniszczenie Białej Atlantydy, zanim zechce ona umrzeć z własnej woli, leży w możliwościach ludzkości.

Tym razem pauza była dłuższa.

– Mówię „ludzkości”, ponieważ Stany Zjednoczone nie dysponują takimi środkami, żeby bez pomocy innych przeprowadzić etap pierwszy tego planu.

Przeciwko temu właśnie zdaniu oponował zaciekle Departament Stanu. Żywiono tam przekonanie, że lepiej byłoby dopuścić do sprzedaży Dzwonu Wolności Rosjanom niż przyznać się do tego, iż Stany Zjednoczone nie mają środków do osiągnięcia jakiegoś celu. – Taka jest prawda – argumentował prezydent, i inkryminowane zdanie pozostało w tekście.

Wolny najazd kamery na zmęczoną twarz.

– Etap pierwszy przedstawia się prosto. Zaproponowano go rzeczywiście przed kilkoma dniami, ale ja plan odrzuciłem, ponieważ nie mieliśmy gwarancji, że Biała Atlantyda nie zagrozi Kanadzie i Nowej Fundlandii. Teraz tę gwarancję mam. Etap pierwszy zniszczenia Białej Atlantydy wymaga usunięcia bezpośredniego zagrożenia Nowego Jorku. A to oznacza usunięcie Białej Atlantydy. W czasie, który mamy do dyspozycji, można to zrobić tylko w jeden sposób, a mianowicie odholować ją statkami. Nie setką statków. Nie dwiema setkami statków ani nawet trzema setkami... lecz trzema tysiącami statków.

Prezydent pozwolił, żeby jego słowa wryły się w pamięć.

– Trzy tysiące statków, każdy o wyporności nie mniejszej niż pięć tysięcy ton. Takiego ogromu mocy potrzeba, żeby sprowadzić Białą Atlantyde z obecnego jej kursu. Stany Zjednoczone mają w swojej flocie handlowej taką liczbę statków, ale są one rozrzucone po całym świecie. Tylko pięćset pięćdziesiąt zdoła dotrzeć do Nowego Jorku w wyznaczonym czasie.

Prezydent pochylił się do przodu. Był to niewielki ruch, lecz nadał aurę pewności całej reszcie jego przemówienia.

– Oto dlaczego apeluję teraz do wszystkich państw morskich północnego Atlantyku, by skierowały tu każdy nadający się statek, który mogą odstąpić i który zdoła dotrzeć do zatoki Nowego Jorku w ciągu najbliższych sześciu dni. Apeluję do rządów i armatorów w imieniu dwunastu milionów mężczyzn, kobiet i dzieci, których domy, praca, zdrowie, dobytek i całe praktycznie życie zostały wystawione obecnie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Z waszą pomocą i pomocą Boga Wszechmogącego możemy przyczynić się do odwrócenia najgorszej

katastrofy w dziejach naszej planety. Dziękuję.

Na ekranie pojawiła się teraz elektroniczna tablica w studio telewizyjnym. Atrakcyjne dziewczęta siedziały rzędem przy telefonach. Zegar pośrodku studia oznajmiał:

UDERZENIE LODU ZA 199 GODZIN 58 MINUT.

– O, do diabła – odezwał się czyjś pełen konsternacji głos z tyłu kabiny-saloniku na „Eurece”. – Zostawiają to telefonom.

– Ale to działa – zauważył Pearson. – Spójrzcie na tablicę.

Otrzymano już pierwsze zgłoszenie. Dziewczyna rozmawiała przez telefon, a jej palce biegały szybko po klawiaturze. Cunard oferował „Queen Elizabeth II” pod warunkiem, że pasażerowie będą mogli wysiąść na ląd w Nowym Jorku i zostać przewiezieni do bezpiecznego miejsca.

– W takich momentach poznaje się, kto jest naprawdę twoim przyjacielem – powiedział prezydent do swojego asystenta. – Ile statków obiecano nam do tej pory?

– Siedemset osiemdziesiąt pięć.

Prezydent pokiwał głową. Było lepiej, niż przypuszczał. Apel ogłosił przed godziną.

– No i cóż – rzekł przeciągając się i ziewając. – Miejmy nadzieję, że ten szalony pomysł się powiedzie.

– Z telefonem czy z holowaniem?

– I jedno, i drugie – brzmiała lakoniczna odpowiedź prezydenta.

38

Pozostawały 173 godziny do uderzenia lodu, gdy żołnierze piechoty morskiej, od których roiły się niszczące flanki Białej Atlantydy, spostrzegli pierwszy obcy statek.

Przerwali pracę przy swoim gigantycznym zadaniu – wbijaniu całego lasu stalowych dźwigarów w lód – i wiwatowali jak szaleni na cześć pięknego liniowca pasażerskiego. Płynął do Panamy, gdy otrzymał od swoich właścicieli polecenie zboczenia z kursu. Pasażerowie stali wzdłuż relingu i patrzyli w osłupieniu na biały kontynent przesuwający się z prędkością ośmiu mil

po prawej burcie statku.

Przybyła „Queen Elizabeth II”.

– Jedź w prawo! – krzyknął uzbrojony strażnik do kierowcy autobusu. Następne kule uderzyły w autobus, gdy skręcił w Czterdziestą Szóstą Ulicę. Większość pocisków poszła w oparcia siedzeń, dosłownie w odległości cali od przerażonych pasażerów „Queen Elizabeth II”, którzy popadali na podłogę. Strażnik wrzeszczał do swojej radiostacji odbiorczo-nadawczej, kiedy przypadkowa kula trafiła w tylną oponę. Załadowany autobus przechylił się przez chodnik i wpadłszy w poślizg wjechał tyłem w wystawę sklepu. Gdy kierowca autobusu gorączkowo rozpędzał silnik, żeby utrzymać pojazd w ruchu, szaleńczo buksujące koła ostrzelały zbitym szkłem podążające za nim auta. Teraz musiał gwałtownie skręcić kierownicę, żeby wyminąć dwa wozy policyjne z wielkimi syrenami, które pędziły po obu stronach autobusu i zahamowały nagle blokując samochód szabrowników. Odgłosy strzelaniny się oddalały, gdy autobus pospiesznie opuszczał zakazaną strefę, do której nieopatrnie zabłądził wioząc pasażerów do hoteli w Bostonie.

– Okej, ludziska – powiedział ze znużeniem strażnik

– jesteśmy już na terenie nadzorowanym.

Lecz teren ten nadzorowano zaledwie od godziny. I jak pasażerowie ku swemu przerażeniu stwierdzili, spojrzawszy na latarnie uliczne – był to teren, gdzie straż obywatelska miała dużo do roboty.

O zmierzchu strużka statków przybywających do Zatoki Nowojorskiej i wpływających na miejsce zakotwiczenia wskazane przez kutry Ochrony Wybrzeża zamieniła się w powódź. Tankowce, liniowce, rudowce, zbożowce, trzy przetwórnice wielorybnicze i przeszło dwieście uniwersalnych towarowców zgromadziło się tego dnia w Nowym Jorku i stało na kotwicy uszeregowanych rufami.

We wszystkich umysłach była jedna niewysłowiona modlitwa: Boże, spraw, żeby pogoda się utrzymała.

– Mój Boże – powiedział dziennikarz, w jednej ręce trzymając mikrofon, drugą trzymając się pasa asekuracyjnego, żeby nie wypaść ze śmigłowca. – Co za fantastyczny widok! To chyba największe zgromadzenie statków od czasów lądowania aliantów w Normandii. W całym swoim życiu nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nikt przedtem nie widział czegoś takiego. Wygląda na to, że Zatoka Nowojorska stała się gigantycznym miejscem postoju dla wszystkich statków świata! Widzę bandery praktycznie wszystkich państw świata. Setki bander brytyjskich. Dlaczego nie uznajemy już Wielkiej Brytanii za potęgę morską, kiedy ma ona wciąż jedną z największych flot handlowych na świecie?

– I jest tu „Eureka”, okręt będący pływającą kwaterą główną admirała Brandona Pearsona, który koordynuje tę operację... Tam widzimy statek egipski, „Asyut”, który zepsuł się trzysta mil od kanału Ambrose i został przyholowany tu przez zbożowiec izraelski. A na widnokręgu... Czy moglibyśmy podjechać w górę kamerą?... Może nie widać tego na państwa ekranach, ale to jest blade światło migocące na niebie, Biała Atlantyda oddalona o sto siedemdziesiąt mil i poniżej widnokręgu. Dowiedzieliśmy się od admirała Pearsona, że góra lodowa znajduje się w odległości dziewięćdziesięciu mil od szelfu kontynentalnego i zbliża się do niego pod kątem z prędkością półtora węzła.

Do uderzenia lodu pozostało dziewięćdziesiąt godzin.

Dwa tysiące siedemdziesiąt miejsc w Sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ zajęli kapitanowie statków stojących na kotwicy w zatoce. Dalszych siedemset umundurowanych kobiet i mężczyzn tłoczyło się w przejściach. Wspaniałe niebiesko-zielono-złote audytorium – centrum najważniejszego miejsca zgromadzeń na świecie – było pełne.

Blisko trzy tysiące osób słuchało w milczeniu admirała

Pearsona stojącego przy mównicy przed marmurowym podium dla prezydenta i sekretarza generalnego. Niektórzy ze zgromadzonych słuchali symultanicznego tłumaczenia przez słuchawki, inni natomiast przeglądali dostarczoną każdemu broszurę z instrukcjami.

– Nie możemy zatrzymać Białej Atlantydy – podsumował swoje wywody admirał Pearson. – Ale z pomocą boską możemy sprowadzić ją z obecnego kursu.

Po pytaniach i odpowiedziach odprawę zakończono.

Do uderzenia lodu pozostawały sześćdziesiąt trzy godziny.

41

Las stalowych dźwigarów sterczących z dziesięciomilowego pogranicza północnej flanki góry lodowej zajmował powierzchnię sześciuset akrów i przypominał olbrzymią zaporę anty czołgową, zupełnie jakby Biała Atlantyda przygotowywała się na odparcie inwazji od morza. Dźwigary ustawiono w równe rzędy i szeregi na topniejących pochyłościach, każdy z nich w prostej linii do morza. Do podstawy każdego dźwigara, tam gdzie stal dotykała lodu, przyczepiona była cienka druciana linka wytrzymała naprężenie pięćdziesięciu ton. Linki były połączone po dziesięć i tworzyły linę grubości męskiej ręki o wytrzymałości pięciuset ton, a te z kolei zebrane były również w grupy po dziesięć tworząc sto podstawowych lin holowniczych, fabryka w Ohio produkująca liny ze stopu tytanowego pracowała bez przerwy, żeby dostarczyć wymaganą ilość w określonym czasie.

Sherwood i Julia z chrzęstem przeszli przez topniejący lód do pierwszego szeregu dźwigarów i zatrzymali się obserwując ruchliwą scenę.

Mężczyźni należący do Batalionu Inżynieryjno-Budowlanego amerykańskiej marynarki wojennej pracowali jak funkcjonujący gładko, zgrany i sprawny zespół.

Sherwood pokazał Julii najbliższy z gigantycznych zwojów liny holowniczej.

– W każdym z tych zwojów jest sześć mil liny. Całkiem wystarczająco, żeby wzdłuż każdej z nich przyczepić trzydzieści

holujących statków. Te chłopaki z batalionu inżynieryjno-budowlanego, te morskie pszczołki, wyglądają tak, jakby byli już gotowi do spuszczenia na wodę pierwszej z nich.

Julia osłoniła oczy. Jeden ze zwojów, trzykrotnie większy od stojących obok niego ludzi, unosił się na związanych razem pontonach. Zapalono przyczepny motor. Pontonowa tratwa zaczęła się wolno obracać poruszając masywną linę holowniczą. Gdy zsuwała się do morza, przyczepiono do niej w pewnych odstępach jaskrawopomarańczowe pływaki. Przez następną godzinę, jak się wydawało, niewiele się zdarzyło, prócz tego, że grupa cywilów krążyła pomiędzy tymi przypominającymi wartowników dźwigarami wieszając na każdym z nich tabliczki z numerami, żeby w razie gdyby coś zaczęło się psuć podczas operacji holowania, można było je zidentyfikować przy użyciu zdalnie sterowanych kamer telewizyjnych. Pod koniec tej godziny ponton zniknął w oddali.

W pobliżu ryknęła syrena jakiegoś statku. Sherwood i Julia obrócili się. Kanadyjski statek handlowy opływał jeden z iskrzących się cypli i zmierzał ku linii pomarańczowych pływaków naciągniętych jak sznur barwnych koralu na powierzchni morza w tym samym kierunku, w którym dryfowała Biała Atlantyda. Z przeciwnej strony pojawił się drugi statek. Szedł wzdłuż liny holowniczej, utrzymując paralelny kurs z pierwszym statkiem, ale z liną holowniczą między nimi.

Dwa kolejne statki pojawiły się w precyzyjnie odmierzonym czasie, jeden z lewej, drugi z prawej. One również oddalały się od Białej Atlantydy płynąc równolegle do siebie, z liną holowniczą unoszącą się na morzu między ich kadłubami, i orientując swój kurs według kursu pierwszych dwu statków. Przypominało to dostojnego, lecz groteskowego kadryla lewiatanów.

Julia położyła rękę na jednym z lodowatych dźwigarów i patrzyła zafascynowana na następną parę przypadkowo dobranych partnerów towarzyszących sobie nawzajem, każdy po swojej stronie liny holowniczej. Śmigłowiec nadzoru kręcił się nad statkami jak komar kontrolujący procesję cyrkowych słoni.

Zdjęła rękę z dźwigaru i położyła ją tam z powrotem.

- Coś wyczuwam. Sprawdź, czy i ty czujesz.
- Co?
- Jakiś stukot.

Sherwood przyłożył czubki palców do dźwigaru. Wyczuł niewyraźną, bardzo odległą i regularną wibrację.

- Czujesz? – dopytywała się Julia.
- Prawdopodobnie łód wychwytuje uderzenia śruby jednego z tych statków.
- To brzmi podobnie jak te zarejestrowane przez ciebie stukoty.

Sherwood się uśmiechnął. – Nie martwiłbym się tym.

Słuchaj, lepiej już wracajmy na „Eurekę”, zanim odlecą wszystkie śmigłowce.

Z wysokości tysiąca stóp można było dostrzec, że statki utworzyły szyk jodełkowy wzdłuż liny holowniczej. Po każdej jej stronie było piętnaście statków i każdy z tych trzydziestu statków doczepił swoją linę holowniczą. Kolejne statki odłączały się już od głównej flotylli i kierowały na pozycję, żeby utworzyć drugą jodełkę. Żaden ze statków przyczepionych do Białej Atlantydy i płynących przed nią nie holował jej – jeszcze nie; ich silniki pracowały na wolnych obrotach, żeby utrzymać stały luz.

- Musi się jeszcze utworzyć dziewięćdziesiąt dziewięć grup
- zauważył Sherwood.

Przylecieli na „Eurekę” piętnaście minut później i tam powitały ich ponure twarze.

Dla wybrzeża wschodniego prognoza przewidywała sztorm, który miał nadciągnąć do Zatoki Nowojorskiej w ciągu najbliższych dwudziestu godzin.

Do uderzenia lodu pozostawało czterdzieści godzin.

Rozdział dwónasty

42

Kamery^ telewizyjne były wszędzie. Co najmniej dwieście znajdowało się na różnych wysokich miejscach w całym Nowym

Jorku; zainstalowane na wysokich budynkach, gotowe do uchwycenia widoku Śmierci miasta i przekazania go głośnemu światu, czekającemu, przycupniętemu i gotowemu się nań rzucić – przed niezliczonymi milionami telewizorów.

Na opuszczonej teraz Białej Atlantydzie też było kilka kamer, przesyłających obrazy rzędów dźwigarów do centrali „Eureki”. Na centralnym ekranie przed admirałem Pearsonem znajdował się radarowy obraz Białej Atlantydy nadawany z AWACS-a krążącego na wysokości pięciu tysięcy stóp. Z ostrej sylwety góry lodowej wystawały do przodu palce stu grup holujących statków – rozstawionych szerokim wachlarzem dwa tysiące siedemset osiemdziesiąt doskonale skoordynowanych statków płynących z tą samą prędkością co dwieście osiemdziesiąt mil kwadratowych lodu, który miały nadzieję pokonać.

Inny ekran prezentował stałą komputerową ocenę sytuacji, podając ciśnienie atmosferyczne, prędkość i kierunek wiatru, kierunek i prędkość dryfowania Białej Atlantydy, przewidywany czas i miejsce uderzenia lodu. Gdy otrzymano końcowy meldunek o sprawdzeniu wszystkich układów od ostatniej holującej grupy, ciśnienie atmosferyczne stale opadało, a prędkość wiatru wzrastała.

Odebrano kilka pożegnań i życzeń powodzenia od odpływających statków, którym inżynierowie nie zezwolili na udział w operacji, bo ich silniki nie wytrzymałyby forsownej próby – konieczności dawania pełnej mocy przez przewidywanych dwadzieścia godzin operacji.

Pearson popatrzył na główny ekran i spojrzył na Sutherlanda, który siedział obok niego. Sutherland skinął lekko głową. – No tak, panie i panowie – rzekł Pearson zdecydowanym tonem. – Oto nadszedł właściwy moment.

Podniósł mikrofon i powiedział: – „Eureka” do wszystkich grup, dziesięć procent mocy za dziesięć sekund.

Do centrali popłynęły potwierdzenia. Ktoś na jakimś statku pozostawił włączony przełącznik przesyłowy. Słychać było słaby brzęk telegrafu maszynowni.

Julia stała obok Sherwooda. Wskazał jej jeden z monitorów telewizyjnych z kamery znajdującej się na Białej Atlantydzie i nakierowanej na grupę dźwigarów wbitych w lód.

Liny lekko się napinały.

Pearson siedział z kamiennym wyrazem twarzy, gdy odbierano meldunki od holujących grup. Pracę silników na dziesięć procent mocy kontynuowano przez pół godziny, żeby dać mechanikom okrętowym na wszystkich jednostkach czas na sprawdzenie tensometrów na linach holowniczych i upewnienie się, że wszystko jest w porządku.

– „Eureka” do wszystkich grup – powiedział admirał Pearson. – Trzydzieści procent mocy za dziesięć sekund.

Jeden z techników odliczał sekundy.

I znowu popłynęły potwierdzenia, i znowu słychać było ten słaby brzęk na jednym ze statków.

Dwa tysiące trzysta lin holowniczych napięło się, dwa tysiące trzysta obserwowanych z niepokojem strzałek tensometrów zaczęło się przesuwać.

Następne trzydzieści minut na sprawdzanie układów. Załogi na wszystkich statkach bacznie obserwowały swoje liny holownicze, gotowe w razie konieczności do odcięcia ich i ucieczki, gdyby cokolwiek poszło źle

Światło słabło. Bryza się nasilała.

Brytyjski marynarz zaklął raczej ze strachu niż ze złości, gdy pośród eksplodującego obłoku nawianych drzazg lodowych Biała Atlantyda zrodziła nagle małą górę lodową.

Ludziom na statkach wydawało się, że już holują tę monstrualną górę lodową, było to jednak złudzenie wywołane przez prąd i słabe oświetlenie.

UDERZENIE LODU ZA 30 : 50 – oznajmiła jedna z linijek z tajemniczymi danymi na ekranie komputera.

– Mamy dwie minuty opóźnienia – zawiadomił Sutherland.

Pearson zarządził pięćdziesięcioprocentowa moc silników.

– Hej – rzekł Sutherland minutę później. – Prędkość wzrosła o jedną dziesiątą węzła.

Oczy Pearsona powędrowały na ekran. – Wiatr się nasila. Sutherland nie odpowiedział. Pearson miał rację – nie można było orzec, czy wzrost prędkości o jedną dziesiątą węzła wykazany przez czujniki pomiarowe pozostawione na górze lodowej wywołany został przez statki, czy też złowieszczo zmieniający się wiatr, który nieubłaganie przybierał na sile.

– „Empress of Oslo”! – odezwał się nagłąco przez głośnik ktoś mówiący ze skandynawskim akcentem. – Grupa dwudziesta druga. Gorące żołytko. Odcinamy się i uciekamy!

Od jednej z holujących grup oderwało się radarowe echo.

Kuter Amerykańskiej Ochrony Wybrzeża zaanonsował, że statek, jak się zdaje, może wysunąć się naprzód bez pomocy, ale oni będą mu towarzyszyć.

– Prędkość wiatru dwadzieścia dwa i cztery dziesiąte

– powiedział Sutherland. – Admirale, czy nie sądzi pan, że należy skrócić czas pięćdziesięcioprocentowej mocy? Prędkość wiatru wzrosła o trzy węzły w ciągu piętnastu minut.

– Trzymamy się harmonogramu.

Sutherland zagryzł dolną wargę i obserwował monitor z danymi. – Admirale... – zaczął.

– Musimy dać tym statkom dużo czasu, by mogły się upewnić, że ich silniki i urządzenia sterowe zdołają wytrzymać to, co je czeka przy stuprocentowej mocy – odparł Pearson z rozdrażnieniem, nie patrząc na Sutherlanda. – Trzymamy się harmonogramu.

Jakby potwierdzając roztropność Pearsona drugi statek zaanonsował, że zabiera się do odcięcia i ucieczki.

– Charlie Jeden do „Eureki” – dobiegł przyjazny głos z krążącego AWACS-a. – Mamy satelitarne zdjęcia huraganu Tricia. Wyż utrzymuje się wciąż na wschodzie. Wygląda na to, chłopcy, że znajdziecie się na jej obrzeżu za osiem godzin dwadzieścia minut.

– Na miłość boską, admirale – zamruczał Sutherland.

– Musimy skrócić czas i dać teraz pełną moc.

Pearson myślał przez chwilę, po czym nacisnął przełącznik przesyłowy u podstawy mikrofonu. – „Eureka” do wszystkich

grup. Zmiana planu. Stuprocentowa moc za dziesięć minut. Wezwania za pięć minut, minutę trzydzieści sekund i dziesięciosekundowe odliczanie.

Pearson zwolnił przełącznik. – Zadowolony pan, kapitanie Sutherland?

Komputer oznajmiał:

UDERZENIE LODU ZA 30 : 49

43

Do północy statki dawały stuprocentową moc już od sześciu godzin. Groźba defektu mechanicznego zmusiła jeden ze statków do odczepienia swojej liny od głównej liny holowniczej. opuszczenia pozycji w grupie przez wysunięcie się przed konwój i skręcenia w bok – jego szalona ucieczka w bezpieczne miejsce przypominała umykanie nocnego zwierzaka przed zbliżającą się dywizją pancerną.

Biała Atlantyda zwiększyła swoją prędkość o jeden węzeł i poruszała się w kierunku szelfu kontynentalnego z prędkością dwu i pół węzła, ale wciąż nie można było określić, czy to zasługa statków, czy umiarkowanego wiatru.

– Wydaje mi się to szaleństwem – szepnęła Julia do Sherwooda.

– Co takiego?

– Próba zmuszenia jej, żeby poruszała się szybciej.

– Karate – odparł tajemniczo Sherwood.

Wybuchły okrzyki radości. Monitor radarowy ukazywał kolejną górę lodową, która odłamała się od północnego krańca swej rodzicielki. Przestrzeń między matką a dzieckiem powoli się rozszerzała – dając być może dowód, że statki wywierały na ruch potwora pewien wpływ.

– Ta wichura dotrze do nas za dwie godziny, admirale

– powiedział Sutherland.

– No i co?

– Jeśli będziemy czekać z obrotem na nadejście dnia, to może być za późno.

Pearson kiwnął głową. – Ma pan oczywiście rację, Sutherland. I oczekuje pan ode mnie, żebym wydał rozkaz wymagający

wykonania przez wszystkie statki tego skoordynowanego manewru w nocy, manewru, który byłby wystarczająco trudny i przy świetle dziennym?

– Nie ma pan wyboru – powiedział ze spokojem Sutherland.

– I znowu ma pan rację.

Odezwał się głośnik. – „Bonner” prowadzący grupę pierwszą do „Eureki”.

– Mówcie, „Bonner”.

– Wysłuchaliśmy komunikatu meteorologicznego, admirale, i porozumiałem się z innymi statkami z mojej grupy.

Myślimy, że można już teraz pozwolić mojej grupie na zmianę kursu, a także na to, bym zasygnalizował kierownikowi grupy

drugiej, żeby potem, jak zmienimy kurs, dokonał tego samego.

Można też zezwolić, aby grupa druga dała sygnał grupie trzeciej i tak dalej wzdłuż całej linii.

– Dziękuję, „Bonner”. Czekać.

Pearson zwrócił się do Sutherlanda. – Co pan myśli?

– Spróbujmy.

– To oznacza przekazanie dowodzenia kierownikom grup.

Sutherland wzruszył ramionami. – To oni przecież próbują zatrzymać tę cholerną górę.

Pearson nacisnął przełącznik przesyłowy. – Okej, „Bonner”. Wydamy nowe rozkazy kierownikom grup.

Z głośnika doleciał chichot. – Już to zrobiłem, admirale.

Zmieniamy kurs już teraz. – Głośnik umilkł.

– Teksańczyk – stwierdził Sutherland, sprawdzając listę statków i ich kapitanów.

– To widać – skonstatował kwaśno Pearson.

Julia trąciła łokciem Sherwooda. – Spójrz na radar!

Pierwsza grupa statków kierowała się w bok od głównego konwoju. Potem kolejno, jedna po drugiej, niczym szukające macki ukwiału, wszystkie grupy zaczęły skręcać w prawo.

– Wszchemogący Boże! – szeptał Sherwood w ciemnościach w tylnej części centrali. – To się udało! Naprawdę się udało!

Biała Atlantyda obracała się powoli wzdłuż osi, a jej północna flanką wciąż skierowana była w stronę holujących statków. Był to niezbity dowód, że wielki konwój zdobywa przewagę nad olbrzymią górą lodową.

Komputer przetworzył nowe informacje i oznajmił:

UDERZENIE LODU ZA 24:00.

Pozostawała dokładnie jedna doba. Pojawił się jednak promyk nadziei – komputer podał tę samą przepowiednię co przed godziną.

44

Po drugiej rano otarła się o nią krawędź huraganu. Statkom udało się już wówczas obrócić o 180 stopni i zmierzały z powrotem w kierunku, z którego przypływały.

Północna flanką Białej Atlantydy zwrócona była teraz na południe i ukazywała swój rozpadający się dziób setkom mocujących się z nią statków, których śruby wściekle młóciły wodę ubijając ją na pianę. Wiatr dmący w czoło konwoju nasilił się przechodząc od stałych jęczących podmuchów, które uderzały w takielunek i żurawie bumowe, do przeciągłego, kpiącego ryku triumfu. Morze stało się rozkołysaną zaporą kipiącą nienawiścią, grzebało dzioby statków i z pogardą obnażało śruby napędowe, które obracały się bezsilnie nie mając w co się wgrzyźć.

Obserwatorzy w centrali „Eureki” siedzieli* w milczeniu – bezradni świadkowie odwiecznej walki człowieka z morzem. Siły przeciwników się równoważyły. Biała Atlantyda stała w miejscu. Podczas gdy jednak morze miało nie kończące się zasoby kolosalnych sił, których jeszcze nie zmobilizowało, to łomoczące, dygocące silniki dwóch tysięcy ustawionych w szeregu statków nie miały już żadnych.

– Nie damy rady tego zrobić – powiedział Sherwood do Julii głosem pełnym cichej rozpacz. – Wystarczy, żeby jeden z tych statków...

Nie dokończył zdania. Jeden z monitorów telewizyjnych, na którym widać było oświetloną armię dźwigarów zapuszczonych w lód, dokończył je za niego – przynajmniej pięćdziesiąt

stalowych kotwic lin przekręcało się wolno i rozrywało lód.

45

– Grupy od czternastej do dziewiętnastej! – warknął Pearson do mikrofonu. – Wysadzać! Wysadzać! Wysadzać! Był to ustalony wcześniej sygnał dla kierowników grup do zdetonowania ładunków wybuchowych owiniętych wokół głównych lin holowniczych.

Kilka sekund później do centrali „Eureki” doleciał odgłos sześciu następujących po sobie detonacji.

Pearson patrzył na wykres radarowy ukazujący jarzące się wydłużone echa. Były to statki odpływające od konwoju niczym mrówki opuszczające swoje mrowisko.

– Tych sześć grup to sto pięćdziesiąt statków – oznajmił przynębiony Sutherland. – Utrata od pięciu do siedmiu procent.

Pearson się nie odzywał. Jak wszyscy w centrali

obserwował bacznie ekran komputera. Wiatr ifale zaczęły zyskiwać przewagę. Biała Atlantyda znowu się poruszała- W kierunku północy – wolno ciągnąc konwój z powrotem w stronę Nowego Jorku i szelfu kontynentalnego.

UDERZENIE LODU ZA 22:10 – przewidywał komputer,

lecz gdy Biała Atlantyda nabrała prędkości, wprowadził poprawkę:

UDERZENIE LODU ZA 19:40.

46

Wichura przycichła o świcie, ale wiadomość nie zmniejszyła aury rozpacz i poczucia klęski

Przypływ utrzymywał Białą Atlantyde w nieubłaganym, śmiertelnym uścisku i bezlitośnie pchał ją na północ

Jeszcze dwa statki odpadły z powodu braku Paliwa.lub mechanicznego defektu. Z dwóch tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu statków, które podjęły się holoWania. na początku operacji, w zaprzęgu pozostało mniejwięcej kilkaset

UDERZENIE LODU ZA 10:03.

Biała Atlantyda znajdowała się dwadzieścia mil od Stromeego podwodnego spadku szelfu kontynentalnego gdzie kończył się Atlantyk i zaczynała ameryka

Admirał Pearson sztywno wstał z krzesła * przeciągnął się. Siadł obok Julii i Sherwooda. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i troska.

– No cóż – powiedział ze znużeniem w głosie. – Próbowaliśmy z całych sił.

– Kiedy zamierza pan wydać polecenie statkom, żeby porzuciły hol? – spytała Julia.

Pearson ziewnął. – Przypuszczam, że tusz przed samym uderzeniem lodu. Jest szansa, że ci chłopcy na morzu zwalniają jednak prędkość dryfowania. Pół węzła mniej może pomóc w zmniejszeniu zniszczeń. Co myślisz, synu?

Sherwood nie sądził, żeby pół węzła stanowiło jakąś dużą różnicę, ale nie miał serca tego powiedzieć. Pokiwał więc głową i rzekł: – Tak, może.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne – odezwała się Julia, potrząsając ze smutkiem głową. – Nowy Jork nie jest czymś tak złym, jak to usiłuje przedstawić nam prasa. Nie zasługuje na to, co go czeka.

– Żadne miasto nie zasługuje na to, co czeka Nowy Jork

– skonstatował krótko Pearson. – Módlmy się więc o cud. UDERZENIE LODU ZA 9: 55 – zakomunikował ekran komputera.

47

Pozostawało pięć godzin do uderzenia lodu, gdy głuche dudnienie obwieściło początek cudu.

Bar samoobsługowy na „Eurece” gwałtownie opustoszał, personel wybiegł na pokład, żeby być tego świadkiem.

Sherwood i Julia nie wiedzieli, co sobie powiedzieć, gdy obserwowali przez ochronne okulary rozgrywające się w odległości pięciu mil widowisko.

Na pobliskich okrętach wojennych rozległ się alarm dla całej załogi.

Biała Atlantyda rozpadała się na dwoje.

– Nie obchodzi mnie to, że nie macie dość danych!

– wrzeszczał Pearson. – Nie możecie odgadnąć? Jakie szkody

wyrządzi sam ten kawał lodu? No! Myśleć!

Sherwood gorączkowo usiłował ocenić wielkość gigantycznej góry lodowej, która, jak ukazywał monitor radaru, odpływała w bok od Białej Atlantydy.

- Musi stanowić co najmniej trzecią część masy Białej Atlantydy. Ale... ale... – zająknął się.
- Charlie Jeden do „Eureki” – rozległo się z głośnika.
- Dokładne rozmiary tej odpadniętej góry lodowej wynoszą dziesięć mil na dziesięć, sto mil kwadratowych, trzydzieści procent tego, co pozostało.
- Jakie więc wyrządzi szkody? – domagał się znowu odpowiedzi Pearson.
- Niewielkie – odparł Sherwood. – Może słaby wstrząs ziemi, a może nawet i to nie.
- „Eureka” do wszystkich grup – powiedział Pearson do mikrofonu, nie próbując ukryć podniecenia. – Mamy dane! Dobry Bóg uwolnił nas od jednej trzeciej waszego brzemienia! Sto procent mocy za dziesięć sekund! Znowu, ze świeżym wigorem, statki rzuciły się do przeciągania liny z przeciwnikiem.

UDERZENIE LODU ZA 4:40 – zaanonsował kilka minut później komputer.

Upłynęło pięć minut.

UDERZENIE LODU ZA 4:35.

- Niech mi kto powie, dlaczego się zatrzymuje? – spytał Pearson.
- Trochę czasu musi zabrać wyhamowanie jej impetu. Dopiero potem będą mogli tak naprawdę zacząć ciągnąć
- wyjaśnił Sherwood.
- Ile?
- Przykro mi, niestety nie wiem.

Minęły dwie godziny, lecz uszczuplona Biała Atlantyda wciąż dryfowała w stronę szelfu kontynentalnego. Jeden z ekranów komputera ukazywał nawet mapę z przewidywanym kursem góry lodowej i punktem zderzenia.

UDERZENIE LODU ZA 2:00.

- Cholera – burknął pod nosem zły Pearson, odkrywając,

że powrócił do zwyczaju z dzieciństwa – ssania kciuka i to do krwi.

Julia trzymała mocno rękę Sherwooda i nic nie mówiła.

UDERZENIE LODU ZA 1:00.

– Zwalnia o trzy dziesiąte węzła – poinformował Sutherland. – No, dranie, ciągnijcie! Ciągnijcie jak wszyscy diabli! Jego apelu skierowanego do statków nikt nie usłyszał – przełącznik na mikrofonie był wyłączony.

UDERZENIE LODU ZA 0:40.

Czterdzieści minut, pomyślał Sherwood. Jaka to odległość? Mniej niż dwa tysiące jardów, prawda?

– Dostaniemy wykres szelfu kontynentalnego – oznajmił Sutherland.

UDERZENIE LODU ZA 0:30.

Ręka Julii w dłoni Sherwooda była śliska od potu. Usiłował ją uwolnić, ale Julia na to nie pozwoliła.

– Nadal zwalnia – komunikował Sutherland. – Prędkość dziewięć dziesiątych węzła.

UDERZENIE LODU ZA 0:20.

– Dwadzieścia minut – powiedział z goryczą Pearson.

– Dlaczego ona się nie zatrzymuje?

UDERZENIE LODU ZA 0:10.

– Zwolniła do czterech dziesiątych węzła. – W głosie Sutherlanda brzmiało podniecenie.

UDERZENIE LODU ZA 0:05.

Na wykresie linia ostrej krawędzi szelfu kontynentalnego była wyraźna.

– Dwie dziesiąte węzła! – krzyknął Sutherland. – Zatrzymuje się! Zatrzymuje się!

Nie zatrzyma się, pomyślał Sherwood.

UDERZENIE LODU ZA 0:02.

– Jedna dziesiąta. – Tym razem głos Sutherlanda był spokojny, jakby przypomniawszy sobie o swojej pozycji kapitana.

UDERZENIE LODU ZA 0:01.

Sherwood zamknął oczy.

– Nic – powiedział Sutherland. – Nic. Nic.

- O czym pan mówi?
- Zatrzymała się.

Sherwood otworzył oczy i popatrzył na dane na ekranie.
UDERZENIE LODU ZA 00:00.

Roześmiał się. Cóż to niby miało znaczyć?

Biała Atlantyda zatrzymała się i jej masa trzech miliardów ton spoczywała tuż przy krańcu szelfu kontynentalnego.

UDERZENIE LODU... UDERZENIE LODU... UDE-

RZENIE LODU... – powtarzał nierozumny komputer, ale wszyscy się śmiali, cieszyli i płakali, i nikt nie miał głowy na to, żeby go wyłączyć.

48

Upłynęły dwa tygodnie, zanim mocne strumienie zimnej wody z wodomiotaczy na pięciu statkach pożarniczych, przeznaczonych do gaszenia ognia na naftowych platformach wiertniczych, poprzecinały Białą Atlantyde na posłuszne małe lodowe górki. Holowniki i statki żeglugi przybrzeżnej odciągały je na wyznaczony obszar topnienia, ciągnący się przez Zatokę Nowojorską jak gigantyczne pole minowe.

„Eureka” stała na kotwicy w odległości mili od najbliższego statku, którego zdalnie sterowane miotacze atakowały osiemdziesięcioma tysiącami galonów wody na sekundę największy z pozostałych kawałów niegdyś potężnej góry lodowej.

Julia pogrążona w myślach, oparta na relingu „Eureki”, patrzyła na tę scenę. – Nie powiedziałeś mi nigdy, dlaczego przedtem nie użyłeś węży?

– Nie było czasu – odparł Sherwood. – Zobacz, ile to trwa. Co jednak nie usprawiedliwia mnie, że o tym nie pomyślałem. Powinienem być uświadomić sobie o wiele wcześniej, że zimna bieżąca woda topi lód 'szybciej niż cokolwiek innego. Wtedy, gdy tylko zobaczyłem, jak prędko te rzeki na Białej Atlantydzie drążą wąwozy, i nie czekać, żeby pokazał mi to barman.

Wielką górę lodową przepołowiono mocnym strumieniem wody, który przeciął lód jak piła łańcuchowa kłode balsy. Julia lustrowała otwarty kanał w poszukiwaniu łodzi moto-

rowej, którą mieli przyjechać z Nowego Jorku jej rodzice. Wylądowali poprzedniego dnia na nowo otwartym lotnisku Kennedy'ego.

Nowy Jork powracał do stanu normalności, ku utraconiu Ochrony Wybrzeża, której powierzono trudne zadanie przegania roju małych stateczków wyprawiających się na ryzykowne wycieczki, w niebezpieczny rejon lodowego pola, póki jeszcze istniało.

Nagle w pobliżu „Eureki” samoistnie rozpadła się dwukrotnie od niej większa lodowa góra. Julia patrzyła, jak niestabilny lód fiknął powolnego koziołka. Po dwu tygodniach pobytu na polu lodowym sceneria ta traciła już swój początkowy fascynujący urok. Przez kilka sekund koło rozpadniętej góry lodowej coś burzyło powierzchnię. Poruszało się szybko, pozostawiając na rozburzonej wodzie ślad w kształcie litery V. Julia pokazała palcem.

– Popatrz. Tam... Och, za późno, już zniknęło.

Sherwood spojrział w tym kierunku. – Co to było?

Julia się wahała. – Będziesz się śmiać.

– Przrzekam, że nie będę – powiedział z powagą Sherwood.

– No... to wyglądało jak peryskop.

Sherwood jednak się śmiał, za co dostał kopniaka w goleń.

49

Frank Knight, oficer służbowy w brytyjskim Dowództwie Łączności Rządowej w Cheltenham, drzemał przed swoim pulpitem sterowniczym. Książka w broszurowej oprawie wyśliznęła mu się z ręki.

Piętnaście minut po północy komputer Honeywell wyświetlił na ekranie zwiędłą wiadomość.

PRZYJĘTO WŁAŚCIWIE ZAKODOWANE W PAŚMIE
DŁR PILNE NIEPLANOWE SYGNAŁY ZE ŹRÓDŁA
PODAJĄCEGO SIĘ ZA JEDNOSTKĘ 7 JEDNOSTKA
7 INSTRUKCJE OBECNIE NIEWAŻNE PROSIMY PO-
WIADOMIĆ CZAS 00:15 KONIEC WIADOMOŚCI +
Komputer cierpliwie odczekał następne dwie minuty, po

czym rozległ się przytłumiony sygnał ostrzegawczy.

EPILOG

Już trzecią godzinę trwało na pokładzie „Eureki” hałaśliwe przyjęcie z okazji zwycięstwa, gdy Sherwood przypomniał sobie nagle, żeby zajrzeć do wiaderka z morskimi próbkami, w którym stała ostatnia butelka szampana. Przyszedł w samą porę.

Odnalazł Julię roześmianą i żartującą z admirałem Pearsonem, odciągnął ją na bok.

– Wyciągnij rękę i zamknij oczy. Mam dla ciebie prezent. Zaintrygowana zrobiła to, o co prosił. Coś ukłuło ją delikatnie w dłoń.

– Otwórz oczy.

Spojrzała w dół. W malej sadzawce na jej dłoni pływał mniejszy od kostki cukru kawałek lodu. Popatrzyła pytająco na Sherwooda.

Ten się uśmiechnął. – To wszystko, co z góry zostało.

Szczęście, że przypomniałem sobie w porę. Julia popatrzyła znowu na dłoń. Lecz Biała Atlantyda znikła.

Kontynent powoli się unosił. Uwolnił się od wielkiego ciężaru, który dźwigał przez pięć milionów lat. Ruchem stopniowym, ale takim, w którym skomasowała się energia nieustannych zim pięćdziesięciu tysięcy stuleci. Na kalocie lodowej pojawiły się pęknięcia. Poszerzały się z hukiem, wypełniającym, jak się wydawało, cały wszechświat. Początkowe szczeliny zamieniły się w kaniony.

KONIEC